



Piotr Lisiewicz
TAŃCZYŁ NA PIĘCIOLINII
SWEGO ŻYCIA



Tomasz Sakiewicz
DLACZEGO SYPIE SIĘ
NIEMIECKA EUROPA

#125
7/2016

NIEZALEŻNA
GAZETA
POLSKA
NIE
PANSTWO

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PANSTWO

cena 12 PLN (w tym 6% VAT)

www.panstwo.net

nakład 17 240

indeks 211060

#125 7/2016



ROSJA GŁÓWNYM ZAGROŻENIEM DLA POLSKI I EUROPY

ODSTRASZYĆ ROSJĘ



fot. Tomasz Skowronowicz/Gazeta Polska

Główny wróg jest na Wschodzie / 4



fot. Tomasz Adamowicz/Gazeta Polska

Nasi bracia mniejsi / 28



fot. NAC

Tańczył na pięciolinii swego życia / 40



fot. PAP / Rafał Nowakowski

Kiler wykłęty i obroza Skiby / 70



fot. Shutterstock

Tak smakuje Laos / 80

Spis treści

TEMAT NUMERU 4-27

Antoni Rybczyński

Główny wróg jest na Wschodzie / 4

Z Benem Hodgesem
rozmawia Michał RachońGłównym celem Rosji jest podział
państw NATO / 12Militaryzacja polityki Rosji jako
strategiczne wyzwanie dla Zachodu / 15Jakub Augustyn Maciejewski
Wojsko wymaga konkretów / 20Ryszard Czarnecki
Warszawski szczyt NATO:
sukces i jego cena / 23Olga Doleśniak-Harczuk
Złe, podłe i niedobre NATO bije misia / 24

IDEE 28-39

Małgorzata Matuszak

Nasi bracia mniejsi / 28

Robert Tekieli

Bóg papuga / 32

Bezpieczeństwo kraju wartością
podstawową / 36

HISTORIA 40-69

Piotr Lisiewicz

Tańczył na pięciolinii swego życia / 40

Dariusz Jarosiński

Romantycy znad Narwi / 46

Magdalena Złotnicka

Czarny króliczek na drodze
Polańskiego / 52

Bohdan Urbankowski

Za naszą wolność i waszą / 58

Józef Boheński

De Virtute Militari.

Zarys etyki wojskowej / 65

KULTURA 70-79

Krzysztof Karnkowski

Kiler wykłęty i obroza Skiby / 70

Sylwia Krasnodębska

Tristan i Izolda na Titaniku / 74

Królowa bluesa zaśpiewa
w katowickim Spodku / 76

Sylwia Krasnodębska

Propaganda 7/9 / 78

ŚWIAT 80-97

Stefan Czerniecki

Tak smakuje Laos / 80

Hanna Shen

Chiński mariaż partii i biznesu / 88

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji / 91

oprac. Stefan Czerniecki

Ostatni krzyk Maduro? / 96

Stale rubryki



Katarzyna Gójska-Hejke

Opozycja nie gra w białoczerwonych barwach

NA POZĄTEK

3



Małgorzata Matuszak

Czym jest... błogosławieństwo

KATECHIZM INTELIGENTA

35



Ryszard Czarnecki

Namibia niejedno ma imię

CZARNECKO TO WIDZĘ

73



Olga Doleśniak-Harczuk

Muezzin w Hagii Sophii

Z GLOBALNEGO TYGŁA

94



Marcin Wolski

Po pierwsze: bezpieczeństwo!

PAPKULTURA

98



Tomasz Sakiewicz

Dlaczego sypie się niemiecka Europa

OSTATNIE SŁOWO

99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

POLITYKA CYWILIZACJA HISTORIA

miesięcznik

wydawca

SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA

02-056 Warszawa

ul. Filtrowa 63/43

e-mail: redakcja@niezalezna.pl

www.panstwo.net

ZESPÓŁ

Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska-Hejke (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzbicki, Marcin Wolski, Magdalena Złotnicka

SEKRETARZ REDAKCJI

Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY

Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY

Mariusz Troliński

DTP

Aleksander Rączkarkow

KOREKTA

Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE

tel. +48 22 290 00 90 wew. 3

prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

47124010531111001019991772

DRUK LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska-Hejke

NA POCZĄTEK

Opozycja nie gra w biało-czerwonych barwach

W obliczu perspektywy naszego sukcesu na szczycie NATO w Warszawie Kreml uruchomił całą swą maszynę wpływu przeciwko Polsce.

Ben Hodges, głównodowodzący siłami USA w Europie, nie miał wątpliwości – Anakonda 2016 to najlepiej zorganizowane ćwiczenia wojsk Paktu Północnoatlantyckiego od dziesięcioleci, a strona polska wywiązała się doskonale z roli ich gospodarza. Niemal dokładnie wtedy, gdy amerykański generał wygłaszał pochwały pod adresem naszego kraju i ministerstwa obrony, ci, którzy od lat prowadzili politykę destrukcji siły obronnej RP, zaatakowali szefa MON.

Elementem groteskowym tej szkodliwej i niebaczącej na pozycję Polski przed szczytem NATO akcji jest użycie w niej w roli ekspertów współpracowników komunistycznej bezpieki. Po raz kolejny w historii III RP przeciwko Antoniemu Macierewiczowi uruchomiono agenturalną sieć zbudowaną w PRL na potrzeby Moskwy i dla obrony jej interesów. Odpowiedzialni za polskie sprawy na arenie międzynarodowej od miesięcy nie mają wątpliwości, iż w obliczu perspektywy naszego sukcesu na szczycie NATO w Warszawie Kreml uruchomił całą swą maszynę wpływu przeciwko Polsce. Z rozmów naszych dyplomatów z partnerami z innych krajów Paktu jasno wynikało, że problemem są wojska sojusznicze nad Wisłą, a nie w krajach bałtyckich. Rosjanie słusznie uznali, że wyłącznie wzmocnienie obrony NATO w Polsce jest realne, a jakieś oddziały na Litwie, Łotwie czy w Estonii będą bardziej krzepiącą dekoracją niż prawdziwym problemem.

Walka z rosyjskim lobby toczyła się do ostatnich tygodni przed szczytem. Polski rząd wygrał tę batalię. I dokładnie w tym momencie wystartowały działania mające na celu podważenie wiarygodności głównego architekta sukcesu. Użyto nawet kłamstw rozpowszechnianych swego czasu przez komunistycznego bandytę, przez wiele lat pełniącego funkcję rzecznika junty Jaruzeńskiego. Gdy kilkanaście dni przed historyczną decy-

zją Sojuszu Północnoatlantyckiego różnej maści współpracownicy komunistycznej bezpieki lub członkowie resortowych rodzin stawiali absurdalne pytanie, czy Antoni Macierewicz ma związki z Moskwą, na zasadności zyskiwały argumenty każące sprawdzić, czy aby akcja przeciwko szefowi MON nie ma źródeł na Łubiance.

WALKA Z ROSYJSKIM LOBBY TOCZYŁA SIĘ DO OSTATNICH TYGODNI PRZED SZCZYTEM. POLSKI RZĄD WYGRAŁ TĘ BATALIĘ. I DOKŁADNIE W TYM MOMENCIE WYSTARTOWAŁY DZIAŁANIA MAJĄCE NA CELU PODWAŻENIE WIARYGODNOŚCI GŁÓWNEGO ARCHITEKTA SUKCESU.

Bo głównym beneficjentem operacji pod hasłem: „wotum nieufności dla ministra obrony” nie będzie przecież ani któraś z sił opozycyjnych, ani żaden były wysoki urzędnik, który został w PRL zarejestrowany przez uzależnioną od Kremla bezpiekę. Nikt nie zyska sławy, nikt nie powiększy swojego poparcia. Nikt w końcu nie wzmocni interesu Rzeczypospolitej. Ale próba wywołania zamieszania wokół szefa MON może wesprzeć rosyjskie starania o storpedowanie lub przynajmniej ograniczenie przełomowej dla nas decyzji Sojuszu. Bo ta walka na pewno będzie trwała do końca. Dziwnym trafem partie opozycyjne w tej grze nie są w biało-czerwonych barwach. I to też wart odnotowania fakt. ■

Antoni Rybczyński

Główny wróg jest na Wschodzie

Polska na długo przed agresją rosyjską na Ukrainę ostrzegała, że głównym zagrożeniem dla całego NATO, głównym jego wrogiem, wciąż pozostaje Moskwa. Dziś ten pogląd stał się stanowiskiem całego bloku, co oficjalnie zostanie potwierdzone na jego szczycie 8–9 lipca. Nie jest przypadkiem, że właśnie w Warszawie. Jakie zadania stoją przed uczestnikami szczytu, czego można po nim oczekiwać?

Brak jednego, jednoczącego zagrożenia był problemem dla NATO od końca zimnej wojny. Do tego dochodziło rosnące zniecierpliwienie USA postawą europejskich sojuszników, redukujących swój wkład obronny. W ostatnich latach pojawiły się jednak zagrożenia, które ożywiły Sojusz, przekonały część jego członków co do sensu dalszego jego istnienia. Dwa główne zewnętrzne zagrożenia, nad którymi pochyla się w Warszawie przywódca NATO, to rosyjska agresywność na flankach wschodniej i północno-wschodniej oraz destabilizacja w sąsiedztwie Sojuszu na flankach południowej i południowo-wschodniej. Dla części krajów to rosyjskie awanturnictwo stanowi odpowiedź na pytanie o to, co jest największym zagrożeniem dla NATO. Dla innych ważniejsze jest zagrożenie płynące z Bliskiego Wschodu i północnej Afryki. Szczyt w Warszawie powinien pogodzić te dwa stanowiska – już

łożyła kres partnerstwu z Zachodem, które w ten czy inny sposób trwało od 1990 r. Moskwa postrzega NATO jako zagrożenie i działa na rzecz jego osłabienia poprzez dobrze skoordynowane wielotorowe działania (kampania dezinformacyjna, zastraszanie wojskowe, w tym atomowe).

To będzie jeden z najważniejszych szczytów w historii NATO. Zamknie epokę postzimnowojenną, otworzy nową. Ma wytyczyć kurs na kolejne lata, w sytuacji rosnącej niestabilności. NATO stoi w obliczu szeregu wyzwań, nie tylko tych dających zamknąć się w kryterium geograficznym, lecz także globalnych. Wyzwań już nie tylko *stricte* militarnych.

Największe dziś wyzwanie ma jednak charakter właśnie militarny. Jednym z głównych tematów obrad w Warszawie, jeśli nie najważniejszym, będzie problem rosyjski. Tym bardziej że do niedawna wy-

CHOĆ USA I NATO SĄ LEPIEJ PRZYGOTOWANE DO KONFRONTACJI DZIŚ NIŻ BYŁY NA
POCZĄTKU 2014 R., GDY ROSJA NIELEGALNIE ANEKTOWAŁA KRYM I PRZEPROWADZIŁA
FAKTYCZNĄ INWAZJĘ NA WSCHODNIĄ UKRAINĘ, ZACHODNI SOJUSZNICY MAJĄ JESZCZE
DUŻO DO ZROBIENIA.

teraz zapowiada się go jako szczyt solidarności, demonstrację jedności NATO. Jej symbolem może być przyjęcie tzw. koncepcji 360 stopni, która oznacza możliwość adekwatnej odpowiedzi Sojuszu na zagrożenia płynące ze wszystkich kierunków.

► Wyzwania i zagrożenia

Jak pisze Klaus Naumann, były szef sztabu Bundeswehry i były przewodniczący Komitetu Wojskowego NATO, „zagrożone są dziś trzy filary Sojuszu, które w przeszłości pomagały zachować pokój i stabilność”. Po pierwsze, niekwestionowany (pod względem militarnym dziś nawet bardziej niż za zimnej wojny) lider Paktu, USA, błędnie postrzegają Europę jako mniej lub bardziej spokojną, pokojową, więc zwracają się ku swym pacyficznym granicom i Azji. Niezbędny atlantycki filar NATO został w ten sposób osłabiony. Po drugie, manipulacja przez Moskwę zamrożonymi konfliktami w Europie zwiększająca liczbę nierozwiązanych kryzysów, w tym choćby napływ imigrantów, uderza w europejski filar NATO. Jeśli te pęknięcia się pogłębią, może dojść do osłabienia, a nawet rozpadu UE. Po trzecie, Rosja po-

dawało się, iż w tej sprawie jest zgodność członków NATO, że podziały z UE nie przekładają się aż tak bardzo na Sojusz. Tymczasem szokująca wręcz krytyka ćwiczeń Anakonda w Polsce przez szefa niemieckiej dyplomacji Franka-Waltera Steinmeiera nakazuje dużą ostrożność. Przypomina się szczyt w Bukareszcie, gdy Berlin z Paryżem wymuszali decyzje korzystne dla Moskwy. W Warszawie zapaść mają ostateczne decyzje wzmacniające wschodnią flankę Sojuszu oraz można oczekiwać działań na rzecz pewnego powrotu do mechanizmów z czasów zimnej wojny, jeśli chodzi o wojskową sferę działania bloku. Ale jednocześnie utrzymana będzie jakaś forma dialogu z przeciwnikiem (ma się odbyć posiedzenie Rady NATO – Rosja).

► Odstraszyć wiarygodnie

W opublikowanym w „Foreign Affairs” artykule gen. Philip Breedlove podkreśla, że Rosja chce znów być globalną potęgą, szuka okazji do rozszerzenia swych wpływów za granicą, co pokazała jej interwencja w Syrii, a relacje z Zachodem uważa za grę zero-jedynkową. I to nie zmieni się w przewidy-

walnej przyszłości, zatem NATO musi nastawić się na rosyjskie zagrożenie w długiej perspektywie. Najważniejsze dla Sojuszu jest, by pokazać, że jego siły w Europie rzeczywiście stanowią „wiarygodny czynnik odstraszający”. Choć USA i NATO są lepiej przygotowane do konfrontacji dziś niż były na początku 2014 r., gdy Rosja nielegalnie anektowała Krym i przeprowadziła faktyczną inwazję na wschodnią Ukrainę, zachodni sojusznicy mają jeszcze dużo do zrobienia.

W ostatnich latach zimnej wojny siły NATO i Układu Warszawskiego w Europie miały mniej więcej zbliżone potencjały. Około 2,3 mln żołnierzy po zachodniej stronie żelaznej kurtyny wobec około 2,1 mln wojskowych na wschodzie. Choć blok sowiecki miał więcej czołgów, artylerii i samolotów, to NATO równoważyło liczebną różnicę jakością broni. Przede wszystkim jednak Zachód posiadał wiedzę, miał opracowane scenariusze, a jego politycy mieli pełną świadomość, jak radzić sobie z potencjalną inwazją Układu Warszawskiego. Po drugiej zaś, względna równowaga sił powodowała, że inwazja taka była niemal nieprawdopodobna. Dziś obu tych czynników nie ma. NATO i USA zlekceważyły gwałtowną militaryzację Rosji po 2008 r. Więcej, same wciąż się rozbrajały i nie są odpowiednio przygotowane do szybkiej reakcji na agresję militarną. Nie są nawet wystarczająco przygotowane na przeciwdziałanie temu rodzajowi wojny hybrydowej, którą Moskwa rozpętała na wschodzie Ukrainy. W kulminacyjnym momencie zimnej wojny USA miały w Europie ponad 400 tys. żołnierzy, dziś jest ich mniej niż 100 tys., a jedna trzecia z nich znajduje się na Starym Kontynencie na zasadzie rotacyjnej. Choć w sumie NATO wciąż ma znaczną przewagę konwencjonalną, to szybka inwazja Rosji na jakieś państwo członkowskie postawi Sojusz przed faktami dokonanymi.

Przyjęcie jakiegokolwiek nowej strategii postępowania w Europie musi być związane z uznaniem, że Rosja stwarza egzystencjalne zagrożenie dla USA, ich sojuszników i dla międzynarodowego porządku – apeluje tuż przed szczytem NATO były do niedawna dowódca sił Sojuszu w Europie. I proponuje głównie państwu Sojuszu konkrety, z których część przynajmniej zostanie zapewne przyjęta w Warszawie. A więc skuteczna mieszanka sił stacjonujących na stałe w Europie z tymi bazującymi na zasadzie rotacji, dyslokacja dużej ilości sprzętu oraz zdolność szybkiego przerzutu sił z Ameryki do Europy – to ma odstraszyc Rosję. W opinii Breedlove’a, USA powinny rozmieścić w Europie sprzęt dla dwóch lub trzech dodatkowych brygad zmechanizowanych na wschodzie oraz zapewnić zaopatrzenie dla utrzymania tych

Kalendarium NATO 1949–2016

Miarą sukcesu najpotężniejszego we współczesnej historii świata wielostronnego paktu obronnego jest nie tylko pokonanie w zimnej wojnie Związku Sowieckiego i Układu Warszawskiego, lecz także powiększenie liczby członków z 12 w 1949 r. do 28 w 2009 r. Do udziału w NATO dążą kolejne kraje europejskie.

1949 – podpisanie Traktatu Północno-atlantycznego. W skład NATO wchodzi 12 państw: Belgia, Dania, Francja, Holandia, Islandia, Kanada, Luksemburg, Norwegia, Portugalia, Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Włochy. Głównym celem nowego bloku jest powstrzymanie ekspansjonizmu sowieckiego.

1950 – utworzenie sił sojuszniczych złożonych z 50 dywizji (najwięcej – 20 – francuskich). Siedziba NATO mieści się w Paryżu.

1952 – NATO przyjmuje do swego grona Grecję i Turcję.

1954 – wobec konwencjonalnej przewagi bloku wschodniego. NATO opiera swoją strategię na użyciu taktycznej broni jądrowej, w Europie pojawiają się uzbrojone w nią amerykańskie jednostki.

1955 – w skład NATO wchodzi RFN. Moskwa ogłasza w odpowiedzi powstanie Układu Warszawskiego.

sił przez co najmniej dwa miesiące intensywnego konfliktu.

► Nie tylko bataliony

W NATO coraz powszechniej akceptuje się – wydawałoby się od zawsze oczywistą – prawdę, że putnowską Rosję prowokuje nie siła Sojuszu, nie jej zwiększanie, lecz właśnie słabość i brak determinacji. Warszawski szczyt ma się skupić więc na sile. NATO powinno odnowić swoje zobowiązanie do skutecznej strategii odstraszenia (poprzez wiarygodną obronę) i odprężenia (poprzez dialog). NATO powinno powtórzyć swe zobowiązanie do odstraszenia atomowego, które ma na celu uniemożliwienie jakiegokolwiek użycia broni jądrowej. Sojusz powinien rozważyć utworzenie dodatkowych natowskich

utrudniałyby dotarcie odsieczy z zachodu. Drugi problem to rosnąca wojskowa obecność Rosji na Dalekiej Północy: coraz wyraźniej widać, że w wojennych planach Kremla Arktyka ma być kolejnym polem konfrontacji z NATO. W tej kwestii ważne będzie współdziałanie Sojuszu z Finlandią i Szwecją.

Najważniejsze decyzje, jeśli chodzi o konfrontację z Rosją, które zapadną w Warszawie, dotyczyć muszą jednak zwiększenia militarnej obecności sojuszniczej na wschodniej flance. Logika sugerowałaby przesunięcie stałych baz NATO z dużych krajów zachodnich na wschód, bliżej granic potencjalnego agresora – jeśli podczas zimnej wojny krajem frontowym naspikowanym wojskiem i bronią była RFN, to teraz powinna być takim Polska. Tyle że główni rozgrywający w Sojuszu wciąż czują się zobowiązani zapisami porozumienia z Rosją z 1997 r., więc stałej obecności

TAK JAK WŁOSI CZY PORTUGALCZYCY CHRONIĄ PRZESTRZEŃ POWIETRZNĄ KRAJÓW BAŁTYCKICH I ZAPEWNE ZNAJDĄ SIĘ W SKŁADZIE WIELONARODOWYCH BATALIONÓW NA WSCHODNIEJ FLANCE, TAK POLACY CZY ŁOTYSZE MOGĄ WSPIERAĆ DZIAŁANIA SOJUSZU NA BLISKIM WSCHODZIE – PRZEJAWEM TEGO JEST OSTATNIA DECYZJA O MISJACH SZKOLENIOWYCH POLSKIEGO WOJSKA W KUWEJCIE I IRAKU. NA TYM POLEGA SOJUSZNICZA SOLIDARNOŚĆ. NA TYM POLEGA SIŁA I JEDNOŚĆ NATO.

i międzynarodowo kierowanych sił, takich jak program Alliance Ground Surveillance (AGS) czy zwiększenie operacyjności sił szybkiego reagowania Very High Readiness Joint Task Force (VJTF). Jednocześnie wydaje się, że na szczycie zostanie także zarysowana druga, równoległa, ścieżka otwartości na dialog i gotowości Sojuszu do wzmacniania systemu kontroli zbrojeń i środków budowy zaufania z Rosją, oczywiście w przypadku podobnej gotowości ze strony rosyjskiej.

Dobrze by było, gdyby na szczycie pochyłono się nad takimi elementami rosyjskiego zagrożenia, jak strategia A2/AD i ekspansja arktyczna. NATO musi opracować koncepcję skutecznej neutralizacji atutów Moskwy, jakimi są aktywa militarne w wysuniętych bastionach kaliningradzkim i krymskim. Chodzi o tzw. strategię blokady dostępu (anti-access/area denial) siłom przeciwnika do określonego teatru działań. Taki scenariusz jest choćby możliwy w razie inwazji na kraje bałtyckie – broń stacjonująca w obwodzie kaliningradzkim i na Bałtyku poważnie

nie będzie. Zastąpić ją musi podniesienie wiarygodności planów szybkiej dyslokacji dużych sił Sojuszu na wschód. Bo samo rozmieszczenie czterech batalionów – w sumie około 4 tys. ludzi – w krajach bałtyckich i Polsce to za mało. Nawet w porównaniu z liczebnością formowanych przez Rosję dwóch nowych dywizji w Zachodnim Okręgu Wojskowym (od 20 tys. do 40 tys.). W Warszawie zapadną jednak ostateczne decyzje, które kraje Sojuszu będą dowodzić czterema wielonarodowymi batalionami w Polsce i krajach bałtyckich. Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Niemcy są gotowe, by dowodzić trzema z czterech planowanych batalionów. Kto będzie dowodził czwartym? Niewykluczone, że jeśli nie znajdzie się chętny na Starym Kontynencie, to będzie to Kanada. Główni decydenci NATO mówią, że przyjęta zasada stacjonowania tych batalionów nie narusza porozumienia z Moskwą z 1997 r. Ale Kreml i tak wie swoje. Szef administracji prezydenta Rosji Siergiej Iwanow powiedział, że zapowiedziany przez NATO rotacyjny tryb rozmieszczenia sił sojuszu

w pobliżu granic Rosji jest naruszeniem umów. W interpretacji rosyjskiej gotowość bojowa sił NATO jest stała, pomimo rotacji.

► Sprawdzone rozwiązania

W stolicy Polski członkowie NATO muszą pokazać, że wywiązali się ze zobowiązań przyjętych na szczycie w Newport w 2014 r. Tutaj jednym z głównych kryteriów będzie wykazanie się stopniem zwiększenia wydatków na obronę przez poszczególne kraje. Druga ważna odpowiedź na zadanie z Walii to postępy w budowie nowych sił szybkiego reagowania (Very High Readiness Joint Task Force). Ale w Warszawie można się też spodziewać innych dyskusji i być może decyzji dotyczących ogólnie militarnego aspektu działalności NATO. W Warszawie Sojusz powinien podjąć decyzje dotyczące kluczowych zdolności wymaganych dla efektywnego funkcjonowania NATO. Chodzi nie tylko o nowe zdolności, na przykład w obszarach systemów tankowania w powietrzu czy zwiadu i rozpoznania, lecz także przywrócenie tych, które Sojusz posiadał kiedyś, np. zdolności prowadzenia sprzymierzonych operacji na poziomie dywizji lub korpusu. Po zakończeniu zimnej wojny znaczna część jednostek branych pod uwagę w takich działaniach została po prostu rozwiązana, podczas gdy terytorium NATO bardzo się rozszerzyło. Sojusz musi też zwiększyć interoperacyjność między różnymi rodzajami armii. Oba te wyzwania są związane ze wzmocnieniem zdolności do prowadzenia szeroko zakrojonej wojny konwencjonalnej, które jest niezbędne wobec wzrostu zagrożenia rosyjskiego. Podczas zimnej wojny były przygotowane szczegółowe plany i procedury, jeśli chodzi o szybkie przekraczanie granic krajów członkowskich przez wojsko. Ale po zakończeniu zimnej wojny zapomniano, żeby przygotować podobne plany dla nowych członków NATO. Okazuje się, że jedno z państw ma takie ograniczenia w konstytucji, że jednocześnie na jego terytorium nie może być – nawet tranzytem – więcej niż 1,6 tys. obcych żołnierzy.

Na szczycie NATO jego członkowie powinni przypomnieć też o roli, jaką broń atomowa odgrywa w strategii odstraszania, oraz otworzyć drogę do bardziej widocznego ćwiczenia tych zdolności. Nie chodzi o wymachiwanie szabelką, ale o wiarygodność i zademonstrowanie, że procedury ewentualnego użycia broni jądrowej pozostają efektywne. W Warszawie należy oczekiwać potwierdzenia obowiązujących zasad użycia broni atomowej przez Sojusz, zarówno na poziomie taktycznym, jak i strategicznym. Koncepcja strategiczna z 1999 r. uznała broń jądrową za jeden z filarów militarnego odstraszania. Doktry-

1959–1960 – USA rozmieszczają w Europie (Wielka Brytania, Włochy, Turcja) broń jądrową średniego zasięgu.

1966 – Francja wycofuje się ze struktur militarnych Sojuszu (w pełni wróciła w 2009 r.).

1967 – główna siedziba NATO przeniesiona z Paryża do Belgii. Od tamtej pory siedziba polityczna Sojuszu mieści się w Brukseli, zaś główne dowództwo wojskowe w Mons.

1982 – Hiszpania przyjęta do NATO. Aż do końca zimnej wojny Sojusz liczył 16 członków.

1991 – deklaracja o partnerstwie NATO z krajami Europy Środkowej i Wschodniej.

1994 – Sojusz uruchamia program Partnerstwa dla Pokoju. Dzięki niemu NATO i kraje partnerskie mogą dzielić się informacjami, a pozostające poza Sojuszem państwa prowadzą wspólne ćwiczenia z NATO i modernizują swoje siły zbrojne zgodnie z natowskimi standardami.

1997 – szczyt NATO w Paryżu. Podpisanie dokumentu regulującego relacje Sojuszu z Rosją.

1999 – do Sojuszu przystępują Polska, Czechy i Węgry.

1999 – interwencja NATO w konflikt zbrojny w Kosowie, naloty na Serbię.

2001 – po atakach terrorystycznych na USA po raz pierwszy w historii Sojusz uruchomił procedury związane z artykułem V (atak na jednego członka NATO równy atakowi na cały Sojusz).

2002 – powołanie Rady NATO–Rosja jako płaszczyzny dialogu Sojuszu z Moskwą.

2003 – NATO przejmuje dowództwo nad siłami koalicji w Afganistanie. Pierwsza w historii operacja Sojuszu poza regionem Atlantyku północnego.

2004 – NATO rozszerza się o siedem państw. Obok Bułgarii, Rumunii, Słowacji i Słowenii są trzy republiki postsowieckie: Estonia, Łotwa i Litwa.

na z 2010 r. wciąż kładzie nacisk na atomowy profil NATO i zmian w tej dziedzinie raczej nie będzie.

► Południowa flanka

Dla części członków Sojuszu rosyjskie zagrożenie nie jest tak odczuwalne, jak problemy na południu. Z tej strony grozi cały wachlarz niebezpieczeństw – i nawet kraje wschodniej flanki nie powinny zamykać na nie oczu. Tym bardziej że walka z islamskim terroryzmem i Państwem Islamskim nie jest tak zupełnie „drugim frontem”, a co za tym idzie, nie ma tu miejsca na dyskusje, co jest większym zagrożeniem. Tak naprawdę IS i kryzys migracyjny są ściśle związane z działaniami Rosji i jej bliskowschodnich sojuszników. Walka z dżihadystami w Syrii jest w pewnym sensie walką o zabezpieczenie się przed rosyjską agresją. Liderzy NATO powinni wyjaśnić w Warszawie, jak Sojusz może pomóc zwiększyć bezpieczeństwo jego członków wobec islamskiego terro-

na będzie współpraca w tej dziedzinie z Tunezją i Jordanią. NATO nie wyklucza też większego wsparcia rządu Libii. Zapewne zapadną też decyzje o większym zaangażowaniu w operacje przeciwko przemytowi imigrantów przez Morze Egejskie. Niewykluczone, że nastąpi to poprzez rozszerzenie śródziemnomorskiej operacji Active Endeavour, uruchomionej jako antyterrorystyczne przedsięwzięcie po zamachach 11 września.

Aktywność NATO wobec zagrożeń z kierunku południowego powinna pokazać solidarność członków Sojuszu. Tak jak Włosi czy Portugalczycy chronią przestrzeń powietrzną krajów bałtyckich i zapewne znajdują się w składzie wielonarodowych batalionów na wschodniej flance, tak Polacy czy Łotysze mogą wspierać działania Sojuszu na Bliskim Wschodzie – przejawem tego jest ostatnia decyzja o misjach szkoleniowych polskiego wojska w Kuwejcie i Iraku. Na tym polega sojusznicza solidarność. Na tym polega siła i jedność NATO.

NATO MUSI BYĆ GOTOWE NA PODEJMOWANIE DZIAŁAŃ W SFERZE ZARZĄDZANIA KRYZYSEM TAKŻE POZA GRANICAMI SOJUSZU. W DZISIEJSZYM ŚWIECIE WIĘKSZOŚĆ KONFLIKTÓW I SYTUACJI KRYZYSOWYCH, NIEZALEŻNIE DO LOKALIZACJI, MA WPŁYW NA BEZPIECZEŃSTWO I STABILIZACJĘ WSZYSTKICH KRAJÓW NATO.

ryzmu i niestabilności na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej (upadające państwa, wojny domowe, masowe migracje). Choć w tym wypadku rola Sojuszu siłą rzeczy musi być ograniczona i raczej polityczno-logistyczna (wspomagająca) niż militarna. Główną rolę do odegrania mają tutaj bowiem narodowe rządy i UE.

NATO musi rozwinąć kompletną strategię dla bezpieczeństwa i obrony południowych i południowo-wschodnich regionów i peryferii. Należałoby rozwinąć pakiet możliwości, wychodząc z założeń artykułu 4. Traktatu. Instrumentami do wyboru mogą być wielonarodowe siły NATO zdolne do współdziałania z regionalnymi partnerami poprzez umowy o pogłębionym partnerstwie. Konieczna jest zwiększona współpraca NATO z UE i pogłębione partnerstwo z Unią Afrykańską i Radą Współpracy Zatoki. W Warszawie można oczekiwać potwierdzenia zaangażowania NATO w działania i współpracę z innymi krajami, mającą na celu stabilizację obszarów graniczących z Sojuszem. Stoltenberg już w maju 2016 r. zapowiedział szkoleniowe wsparcie Sojuszu dla armii irackiej walczącej z dżihadystami. Kontynuowa-

► Partnerzy i misje

Obradom członków NATO tradycyjnie towarzyszyć będzie mnóstwo spotkań i rozmów z zaproszonymi gośćmi, choćby krajami partnerskimi Sojuszu. Można oczekiwać kontynuacji dotychczasowego kursu w przypadku współpracy z Gruzją, Ukrainą, Mołdawią, Finlandią i Szwecją. W świetle wydarzeń ostatnich dwóch lat i tego, co dzieje się teraz na Wschodzie, szczególnie ważna jest Ukraina. Na szczycie w Warszawie odbędzie się spotkanie przywódców państw członkowskich z prezydentem Petrem Poroszenką. Powtórzą najpewniej stanowisko, przypomniane niedawno przez Stoltenberga: „Sojusznicy nie uznali i nie uznają nielegalnej aneksji Krymu. Będziemy nadal wzywać Rosję, by przestała destabilizować Ukrainę. Rosja powinna przestać wspierać separatystów i wycofać swoje siły i sprzęt wojskowy z terytorium Ukrainy”. Na szczycie zostanie ostatecznie zaaprobowany kompleksowy pakiet pomocowy NATO dla Kijowa. Celem jest pomoc Ukrainie w ustanowieniu bardziej skutecznych i efektywnych

struktur obronnych i bezpieczeństwa oraz we wzmocnieniu cywilnej kontroli nad nimi. Do tej pory NATO pomagało Ukrainie przy pomocy doradców oraz funduszy powierniczych w takich obszarach, jak dowodzenie, logistyka, cyberobrona i leczenie rannych żołnierzy. Rozwijane są także nowe projekty, w tym dotyczące takich obszarów, jak przeciwdziałania wojnie hybrydowej oraz urządzeniom wybuchowym.

Dużo mniej mówi się o Gruzji i oczekiwania gruzińskie są dużo mniejsze. Przegrana wojna z Rosją w 2008 r. zahamowała proces integracji Gruzji ze strukturami Sojuszu. Podczas szczytu NATO w Walii w 2014 r. Tbilisi zaoferowano tylko program „wzmoczonej współpracy”, a nie MAP (Membership Action Plan), na który nikt też nie liczy w Warszawie. Nie można natomiast wykluczyć, że poczynione zostaną jakieś inne ustalenia nieformalnie zbliżające Tbilisi do Sojuszu. Od dwóch lat widać taki proces. W sierpniu 2015 r. w Gruzji otwarto ośrodek szkoleniowy NATO, a w czerwcu Francja sprzedała Gruzinom nowoczesny system obrony przeciwlotniczej. Nie zważając na rosyjskie protesty, wiosną tego roku w Gruzji odbyły się największe w historii Sojuszu ćwiczenia na Kaukazie, z udziałem głównie Amerykanów i Brytyjczyków.

NATO musi być bowiem gotowe na podejmowanie działań w sferze zarządzania kryzysem także poza granicami Sojuszu. W dzisiejszym świecie większość konfliktów i sytuacji kryzysowych, niezależnie od lokalizacji, ma wpływ na bezpieczeństwo i stabilizację wszystkich krajów NATO. Dlatego w stolicy Polski zatwierdzone będzie też najpewniej przedłużenie misji w Afganistanie – choć tylko w wymiarze szkoleniowo-doradczym. Doniosłe znaczenie będzie też miało oficjalne uznanie przez uczestników szczytu cyberprzestrzeni za sferę, w której mogą rozgrywać się konflikty, tak jak na lądzie, w powietrzu i na morzu. Obrona przed atakiem na systemy cybernetyczne to część kolektywnej obrony Sojuszu, co oznacza, że taki atak na jeden z krajów członkowskich wywoła reakcję całego NATO. Zobowiązanie do zbiorowej obrony zgodnie z artykułem 5. Traktatu Północnoatlantyckiego w przypadku takiego ataku NATO ogłosiło na szczycie w Newport w Walii w 2014 r. Decyzje ogłoszone w Warszawie mają umożliwić koordynację działań i zdolności krajów NATO mających na celu ochronę systemów cybernetycznych.

Problem cyberobrony pokazuje, jak zróżnicowana jest gama zagrożeń i wyzwań stojących dziś przed NATO. To sprzyja zresztą zacieśnianiu współpracy Sojuszu z Unią Europejską – co będzie zapewne także jednym z punktów szczytu. Szczytu, na którym warto już chyba rozpocząć dyskusję o nowej oficjalnej strategii NATO, która będzie uwzględniać nowe uwarunkowania i zagrożenia. ■

2008 – na szczycie w Bukareszcie Niemcy i Francja blokują objęcie Ukrainy i Gruzji planem przygotowań do członkostwa w NATO (tzw. MAP); kilka miesięcy później Rosja napała na Gruzję.

2009 – do Sojuszu dołączają Albania i Chorwacja – NATO liczy 28 członków.

2014 – szczyt NATO w Walii. Sojusznicy podejmują pierwsze decyzje w odpowiedzi na agresję rosyjską na Ukrainie i aneksję Krymu. Zapowiedź wzmocnienia sił szybkiego reagowania.

2016 – zaproszenie do NATO otrzymuje Czarnogóra.

2016 – szczyt NATO w Warszawie ma zatwierdzić wzmocnienie wschodniej flanki Sojuszu i przyjąć kompleksowe decyzje dostosowujące Sojusz do nowej sytuacji bezpieczeństwa w Europie, w której głównym przeciwnikiem i zagrożeniem dla pokoju jest agresywna Rosja.

Przez prawie 70 lat istnienia Organizacja Traktatu Północnoatlantyckiego (North Atlantic Treaty Organisation – NATO) wykazała się niezwykłą elastycznością i zdolnością dostosowania do zmieniających się warunków międzynarodowych, wyzwań i celów. Początkowo typowo obronna organizacja, w latach 60. ubiegłego wieku stała się politycznym instrumentem polityki *détente*. Jak ważny i silny to projekt, pokazały lata 90. XX wieku, gdy mimo upadku głównego przeciwnika i zakończenia zimnej wojny, NATO wciąż trwało. Ba, nawet się rozszerzało. Okazało się narzędziem stabilizacji Europy Środkowej i Wschodniej poprzez przyjmowanie kolejnych członków. Daje w ten sposób nie tylko gwarancje bezpieczeństwa, lecz także rozszerza idee euroatlantyckich tradycji demokratycznych. Pogłoski o „śmierci” NATO okazały się przedwczesne – agresywna polityka putinowskiej Rosji nadała nowy impuls Sojuszowi, który obecnie – w pewnym sensie – wraca do swych korzeni.



Głównym celem Rosji jest podział państw NATO

Rosja chce stworzyć wrażenie, że niektóre kraje nie wypełnią zobowiązań wynikających z artykułu 5. Traktatu Północnoatlantyckiego. Chodzi o zaciemnienie obrazu spójności NATO – z **gen. BENEM HODGESEM**, głównodowodzącym siłami USA w Europie, **rozmawia MICHAŁ RACHOŃ**.

► **Panie Generale, powiedział Pan kiedyś, że Rosja jeszcze dwa lata temu była Pańskim przyjacielem. Co się stało, że już tak nie jest?**

Wszyscy na Zachodzie mieliśmy nadzieję, że po zimnej wojnie Rosja stanie się pełnoprawnym i zaangażowanym członkiem społeczności międzynarodowej, i przez pewien czas rzeczywiście nim była. Mam w pamięci kilka przykładów współpracy Rosji i NATO. Proszę przypomnieć sobie siły IFOR w Bośni, mieliśmy rosyjską brygadę, która była częścią naszych sił, pamiętam trzygwiazdkowego rosyjskiego generała, który stacjonował w Mons w Belgii. Rosja jest ważnym państwem o dużych zasobach. Nielegalna aneksja Krymu była więc z tego punktu widzenia bardzo zaskakującym aktem. Wcześniej mieliśmy inwazję w Gruzji, której 20 proc. terytorium Rosja ciągle okupuje – nie rozumiem dokładnie, dlaczego to robi, ale wydaje mi się, że oni wierzą, że mają prawo do własnej sfery wpływów i imperialnego podejścia do innych państw. Natomiast ja uważam, że w XXI wieku to nie działa.

► **Na ile zmieniła się natura rosyjskich sił zbrojnych po zakończeniu zimnej wojny?**

W rosyjskiej tradycji przez wieki ważne były mas – wielkie liczby ludzi. W dzisiejszych czasach jest to nierealne. Rosja zainwestowała więc naprawdę duże pieniądze, poczynając od 2007 r. – rok przed inwazją w Gruzji – w modernizację armii. Postawiła na uzawodowienie żołnierzy, powierzyła komunikację radiową podoficerom, co jest rewolucją w militarnej tradycji Rosji. Zmieniła też koncepcję wykorzystywania informacji, stosując własną interpretację faktów, zastraszanie, atakowanie przeciwników tą informacją. Dziś lepiej niż w przeszłości widać takie działania. A to daje nam możliwość powstrzymywania tego typu działalności, zmniejszania jej oddziaływania.

► **Dowodzi Pan siłami zbrojnymi USA w Europie. Na czym polega natura rosyjskiego zagrożenia dla Europy?**

To Rosja dokonała inwazji na Krym – miejsce, gdzie i tak obecna była jej flota. Co więc spowodowało, że dokonali inwazji z pomocą „zielonych ludzików”, a później nielegalnie zaanektowali niepodległe terytorium innego państwa? Dokonała tego Rosja, która napadła też na Gruzję, która używa straszaka nuklearnego przeciwko Szwecji, Danii, Rumunii. (...) Dla mnie jasne

jest to, że głównym celem Rosji jest podział państw NATO.

Rosja chce stworzyć wrażenie, że niektóre kraje nie wypełnią zobowiązań wynikających z artykułu 5. Traktatu Północnoatlantyckiego. Chodzi o zaciemnienie obrazu spójności NATO.

► **Udało się zmylić Zachód na przykład w przypadku wojny w Gruzji. Putinowi upiekł się ten konflikt...**

To fakt, Rosja ciągle okupuje 20 proc. terytorium Gruzji, nie wpuszcza tam misji obserwacyjnej Unii Europejskiej, co było elementem umowy wynegocjowanej przez byłego prezydenta Francji Nicolasa Sarkozy'ego. Więc skoro Rosjanie nie podporządkowali się tej umowie i nie wprowadzili jej w życie, to nikt nie powinien być zaskoczony, że nie dotrzymują umowy Mińsk II na wschodzie Ukrainy.

► **Panie Generale, zaprezentował Pan mapę trzech regionów. Pierwszy to Syria przy granicy z Turcją, drugi to Donbas – tam trwają wojny, trzeci to pogranicze Polski, Litwy, Białorusi i Obwodu Kaliningradzkiego. Jakie są wspólne cechy tych trzech regionów? Dlaczego zdecydował się Pan pokazać je razem?**

Jednym z powodów, dla których zdecydowaliśmy się zestawić te tereny na mapie, zwanej mapą orientacyjną, była pomoc w wyjaśnieniu geografii Europy. Dla większości Europejczyków jest to jasne, ale w USA nie zawsze jest to takie oczywiste. Wystarczy spojrzeć na to, co Rosja zrobiła dla rozwinięcia swojego potencjału zamykania regionu Morza Bałtyckiego poprzez swoje działania w Kaliningradzie. Jestem pewien, że większość ludzi nie wie, że Kaliningrad to suwerenne terytorium Federacji Rosyjskiej, tuż między Litwą a Polską. Ale w związku z jej inwestycjami w broń przeciwko okrętom i lotnictwu przeciwnika, w broń walki elektronicznej – tam są trzy brygady wojska, to bardzo duże siły wciśnięte między dwóch zachodnich sojuszników – ważne jest, by ludziom na świecie pokazać, gdzie dokładnie znajduje się takie miejsce. Oczywiście my odnosimy się też do przesmyku suwalskiego, 80-kilometrowego odcinka od Kaliningradu do Białorusi. To dla sił rosyjskich tyle co nic. Kiedy popatrzymy na mapę rosyjskich ćwiczeń wojskowych, widać, że są w stanie szybko relokować tysiące żołnierzy w sposób niezapowiedziany. Przy okazji – wszystkie nasze ćwiczenia są zapowiadane, więc jeśli mowa o zachowaniach prowokacyjnych, to dopuszcza się ich Rosja,

organizując każde ze swoich manewrów bez zapowiedzi. To jest potencjalne zagrożenie, które musimy potrafić oddalić, dlatego wskazaliśmy ten fragment na mapie...

► Jak NATO może bronić takiego potencjalnego miejsca wojny?

Po pierwsze, ważna jest odpowiedzialność każdego z narodów, aby zrobić wszystko, by się obronić. Nie chodzi wyłącznie o wydawanie 2 proc. PKB na obronność, co wszyscy obiecują. To również kwestia zdolności obronnych, ćwiczeń, a także sojuszu, który realizować będzie obietnice ze szczytu NATO w Walii rok temu. Widzę w tej kwestii dużo postępów. Niemcy wykazują tutaj przywództwo i dużą aktywność w kwestii niemiecko-polskiej brygady. (...) Niemiecka armia ożywiła swoje zainteresowanie wielonarodową jednostką w Szczecinie, więc mamy niemieckie przywództwo w armii, jest też kwestia rządu, który utrzymuje sankcje przeciwko Rosji. Myślę, że to jest to, co powinniśmy robić, aby powstrzymać Rosję, i byśmy nie musieli używać dział na naszych czołgach w celu odzyskiwania straconych terytoriów naszych sojuszników.

► Europa powinna być dla wojsk sojuszniczych czymś w rodzaju międzystanowej autostrady... Co miał Pan na myśli? Z czego wynikają kłopoty USA w przerzucaniu sił na wschodzie Europy?

Oczywiście to nie dotyczy tylko sił amerykańskich. To odnosi się do wszystkich. Przeprowadzenie konwoju na przykład z Polski na Litwę czy z Niemiec do Polski, czy z Polski na Słowację wymaga dwóch tygodni ze względu na sprawy administracyjne, a te kraje są przecież w Unii Europejskiej, NATO i Schengen. To nieakceptowalne.

Musimy mieć możliwość szybkiego przemieszczania wojsk pomiędzy państwami, jeżeli chcemy odpowiednio reagować na zagrożenia. Dwa tygodnie to zdecydowanie za dużo. Myślę, że sojusz ma w kwestii powołania czegoś w rodzaju militarnej strefy Schengen, która pozwoli naszym krajom poruszać się wewnątrz przestrzeni, o jakich mówimy, wiele do zrobienia. Wszystko oczywiście w porozumieniu z zasadami ruchu na autostradach w Europie, bezpieczeństwa itd.

► Przyjrzyjmy się mapie masowych migracji, które widzimy w Europie. Czy widzi Pan konflikt na Ukrainie, bombardowania w Syrii i falę migrantów w południowo-wschodniej Europie?

Niestabilność w wielu częściach świata jest faktem. Dlatego stabilność w Europie jest tak ważna dla USA, biorąc pod uwagę wymianę handlową pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a UE, która jest pięciokrotnie większa niż między kimkolwiek innym na świecie. Toteż prosperity ekonomiczne dla USA bezpośrednio łączy się ze stabilnością i bezpieczeństwem w Europie. Dlatego są tu nasi żołnierze i dlatego jesteśmy częścią najbardziej skutecznego sojuszu w historii świata. Bo chcemy zapewniać bezpieczeństwo i stabilność. Z tego względu przejmujemy się kryzysem migracyjnym. Mój kraj przeznaczył 4,5 mld dolarów dla agencji na Bliskim Wschodzie, aby pomóc syryjskim uchodźcom zostać u siebie, zamiast ruszać w drogę do Europy. Ale jestem pewien, że Unii Europejskiej ostatecznie podoba się to wyzwanie, tak jak poradziła sobie z podobnymi sprawami w przeszłości.

► Ciągłe pytamy o katastrofę smoleńską, w której zginęło kilku generałów NATO, prezydent państwa-członka Sojuszu oraz wielu ważnych reprezentantów Polski. Mówimy o wojnie hybrydowej, mówimy o tym po zestrzeleniu samolotu MH-17. Jak niepodległe państwo może rozwiązać problem braku wiedzy i dowodów w tej sprawie, braku wraku? Czy NATO może pomóc w tej trudnej sprawie z Rosją?

To straszna strata ludzi służących krajowi, strata jego przywódcy, ale nie wiem, czy to sprawa dla Sojuszu. Solidarność z Polską widziałbym natomiast w kwestiach jej bezpieczeństwa. To niestabilny region, wskazuje na to zestrzelenie samolotu nad Ukrainą. Widać, że są tu ludzie zdolni do nieodpowiedzialnego działania. Nie wiem, co było przyczyną katastrofy polskiego samolotu, więc nie wiem, czy wypada mi mówić, co NATO powinno lub czego nie powinno zrobić w tej sprawie.

► Na koniec pytanie o dowody znajdujące się wciąż w rękach Rosjan. To był samolot należący do lotnictwa państwa NATO. Czy zatem Sojusz powinien i może zrobić cokolwiek w sprawie wraku?

Nic nie mogę dodać. Nie mam władzy, nie jestem odpowiednią osobą do komentowania. ■

Zapis rozmowy Michała Rachonia z gen. Benem Hodgesem przeprowadzonej na antenie TV Republika 7 października 2015 r.

tłumaczył i opracował
 Antoni Rybczyński

Odbudowa wojskowego potencjału Rosji, a przede wszystkim wykorzystanie siły militarnej w prowadzeniu polityki zagranicznej przez Kreml, stwarzają strategiczne wyzwanie dla Zachodu. Kraje NATO, w tym Wielka Brytania, powinny zredefiniować swoją ocenę zagrożenia rosyjskiego i uświadomić sobie, że mamy do czynienia z powrotem do czasów zimnowojennej rywalizacji. To główne tezy raportu wydanego przez think tank brytyjskiej armii: Centrum Historycznych Analiz i Badań nad Konfliktami (CHACR). Zdaniem jego autorów, należy podjąć działania, które uniemożliwią Rosji – która ćwiczy taki scenariusz – szybkie zajęcie terytoriów bezpośrednich sąsiadów, zanim NATO zdąży zareagować.

Militaryzacja polityki Rosji jako strategiczne wyzwanie dla Zachodu



Brytyjski raport należy traktować jako mocny głos za poważnym wzmocnieniem wschodniej flanki NATO, jak też generalnego wzmocnienia militarnego Zachodu. Wśród autorów dokumentu są głównodowodzący brytyjską armią generał Nick Carter oraz ponad tuzin innych wysokich oficerów, w tym główny strateg armii generał major Mark Carleton-Smith oraz dowódca jedynej brytyjskiej dywizji szybkiego reagowania generał major Patrick Sanders. Poniżej przedstawiamy fragmenty raportu.

► Gorący pokój

Konsekwencją doświadczeń Zachodu w rozmieszczaniu sił od 1990 r., ale szczególnie od 2001 r., stało się przesunięcie akcentu z obrony na bezpieczeństwo. W najbardziej trafny sposób stanowisko w sprawie ta-

wojsk w Syrii w 2015 r., i nawet rosyjska reakcja na ustalenia publicznego dochodzenia w sprawie zabójstwa byłego rosyjskiego agenta Aleksandra Litwinienki – wszystko to są przejawy rosyjsko-zachodniej konfrontacji; tak zwanego gorącego pokoju.

Rosja przyspiesza proces przygotowania jej społeczeństwa i sił zbrojnych do wojny i odzyskała swoją pozycję jako globalne i regionalne mocarstwo, właściwą jej własnym odczuciom. Aby zrozumieć mobilizację Rosji, należy rozważyć rosyjski interes narodowy z punktu widzenia samych Rosjan. Wtedy możliwe jest zidentyfikowanie – używając słownictwa rosyjskiego – zasięgu zjawiska kryzysu na zachodniej i południowej orbicie Rosji: zachodnią interwencję w Azji Centralnej i Syrii, zaangażowanie w tzw. kolorowe rewolucje, w tym konflikt o regionalną dominację na Ukrainie, ekspansjonistyczną politykę instytucji euroatlantyckich (NATO i UE). [...]

KRAJE EUROPEJSKIE ZREDUKOWAŁY SWE SIŁY ZBROJNE, A INFLACJA OBCIĘŁA KOSZTY OBRONY, PODCZAS GDY NASZE SPOŁECZEŃSTWA CORAZ BARDZIEJ NIE SĄ SKŁONNE DO PONOSZENIA STRAT: LUDZKICH, FINANSOWYCH CZY NAWET W STYLU ŻYCIA. NASZA ZDOLNOŚĆ DO KONWENCJONALNEJ WALKI I WIARYGODNEGO, SKUTECZNEGO POWSTRZYMANIA UŻYCIA PRZEZ ROSJĘ KLASYCZNEJ „TWARDEJ SIŁY”, STOJĄ POD ZNAKIEM ZAPYTANIA.

kiej polityki oddawał – wobec braku zagrożeń dla Wielkiej Brytanii – 10. Strategiczny Przegląd Obrony i Bezpieczeństwa [doktrynalny, cykliczny dokument przyjmowany przez rząd Wielkiej Brytanii – red.]. Jednakże po raz pierwszy za tego pokolenia Rosja staje się wyzwaniem dla bezpieczeństwa i zaczynamy być świadkami ponownego zwrócenia się w stronę obrony – zarówno na poziomie narodowym, jak i sojuszu (NATO). Choć zagrożenie ze strony brutalnego ekstremizmu, w domu i za granicą, nadal dominuje w politycznych sporach i publicznej debacie, to jednak rosyjski oportunizm jest tym, co stwarza największe zagrożenie. 15. Strategiczny Przegląd Obrony i Bezpieczeństwa [przyjęty przez rząd w listopadzie 2015 r. – red.], opierając się już na silnym zobowiązaniu do obrony kolektywnej i bezpieczeństwa w NATO, wyrażonym na szczycie w Walii w 2014 r., identyfikuje odrodzenie zagrożeń związanych z państwami i zauważa, że „Rosja staje się coraz bardziej agresywna, autorytarna i nacjonalistyczna, coraz mocniej definiując się w opozycji do Zachodu”. Interwencje w Gruzji w 2008 r., aneksja Krymu w 2014 r., rozmieszczenie

Asertywność Rosji wywołuje poważne następstwa dla Zachodu. Przede wszystkim musimy lepiej zrozumieć Rosję i poprawić zdolność naszego myślenia strategicznego i decyzyjności, zarówno w przypadku interesów narodowych, jak i interesów całego Sojuszu. Aby uniknąć appeasementu lub utraty wiarygodności, Zachód musi zidentyfikować swoje „czerwone linie”, trzymać się ich i odstraszać od ich przekroczenia. Bardziej realistyczne podejście do stosunków międzynarodowych wymaga nowego skupienia się na wszelkich aspektach odstraszenia. Nie możemy być przywiązani tylko do „przemysłowej” perspektywy siły w siłowym konflikcie, w polityczną wolę będzie bowiem wycelowana również rosyjska „wojna nowej generacji”. Militarnie musimy studiować rosyjskie zamiary, zdolności i sposoby walki. Walka na wielką skalę, odporność, współdziałanie z sojusznikami stają się tematami koncepcyjnej i praktycznej wagi. Na poziomie narodowym, bez niepotrzebnego wzbudzania alarmu, powinniśmy rozpocząć proces przygotowywania społeczeństwa do ery konfrontacji, co być może przedstawia największe ryzyko dla

naszego bezpieczeństwa i dobrobytu od końca zimnej wojny. [...]

► Siła militarna jako narzędzie polityki Rosji

Polityczny imperatyw cięcia wydatków na obronę w Zjednoczonym Królestwie i innych zachodnich krajach utrudnia przyznanie, że klasyczna wojna jest wciąż ważna [...]. Nowe formy użycia siły („wojna hybrydowa”) nie sprawiły, że nie może do niej dojść. Tak naprawdę w pewnych częściach świata, takich jak na przykład subkontynent indyjski, wciąż pozostaje wiele z jej dwudziestowiecznego charakteru. W Europie to wciąż kluczowy i coraz bardziej istotny element rozwoju rosyjskiej wielowymiarowej wojny, która zawiera w sobie także użycie broni atomowej. Kraje europejskie zredukowały swe siły zbrojne, a inflacja obciążyła koszty obrony (uniemożliwiając zwiększenie wyposa-

ki. Z powodzeniem uczynił Zachód wrogiem w oczach wielu jego ludzi i w oczach całego rosyjskiego establishmentu obronnego i bezpieczeństwa – ministerstw „siłowych” – armii, wojsk wewnętrznych, oddziałów resortu ds. sytuacji nadzwyczajnych, służb wywiadowczych i bezpieczeństwa. Ich poczucie afrontu i resentymentu wobec Zachodu jest dziś wręcz namacalne. Ktokolwiek będzie następcą Putina, ciężko będzie mu to zmienić, nawet gdyby chciał.

Zachód jest więc postrzegany jako wróg, który chce dopaść Rosję; Rosja będzie bezpieczna tylko wtedy, gdy będzie kontrolowała swych sąsiadów [...]. Kiedy Putin doszedł do władzy 15 lat temu, Rosja utrzymywała bardzo dużą armię w porównaniu z jej bezpośrednimi sąsiadami i wciąż mogła ich zastraszać, ale to była tylko część potencjału armii sowieckiej i nie miała tych możliwości masowej mobilizacji. Nie było w tym zaskoczenia, że utrzymano większość doktry-

ZACHÓD STOI W OBLICZU BEZPOŚREDNIEGO STRATEGICZNEGO ZAGROŻENIA ZE STRONY ROSJI, NA KTÓRE WCIAŻ NIE ODPOWIADA W SPOSÓB WYSTARCZAJĄCY I KTÓREGO NIEKTÓRZY W EUROPIE NIE CHCĄ UZNAĆ ZA FAKT. KONSEKWENTNY BRAK ADEKWATNEGO REAGOWANIA ZACHODU MOŻE BYĆ INTERPRETOWANY W MOSKWIE JAKO JEGO NIEZDOLNOŚĆ DO DZIAŁANIA I MOŻE OŚMIELIĆ ROSJAN DO DAJSZYCH AKCJI.

żenia i liczby żołnierzy na dużą skalę), podczas gdy nasze społeczeństwa coraz bardziej nie są skłonne do ponoszenia strat: ludzkich, finansowych czy nawet w stylu życia. Nasza zdolność do konwencjonalnej walki i wiarygodnego, skutecznego powstrzymania użycia przez Rosję klasycznej „twardej siły”, stoją pod znakiem zapytania.

W przypadku Rosji nie stoimy w obliczu kielkującego kryzysu, lecz strategicznego wyzwania. Nie da się z tym uporać poprzez zarządzanie kryzysem. To wyzwanie potrzebuje strategicznej odpowiedzi opartej na perspektywicznym myśleniu, wspartym przez operacyjną zdolność i wydajność. Można dyskutować, w jakim stopniu strategiczne wyzwanie ze strony Rosji dla Zachodu wynika z postępowania Putina. Ale nie ma wątpliwości, że w definiowaniu Rosji jako różnej od Zachodu, jako niepotrzebującej Zachodu, i jako moralnie stojącej ponad Zachodem, Putin wyznaczył Rosji kurs na przewidywalną perspektywę. Jego kampania informacyjna i wywieranie wpływu odniosła w Rosji wielki sukces. Jak widać z obecnej obelżywej retoryki wychodzącej z Moskwy, Putin wypuścił dżina z butel-

nalnego myślenia sowieckiego i sowieckich koncepcji użycia broni – to wartościowe dziedzictwo. Ale rosyjska armia straciła wiele z poprzedniego poczucia celu i wpływów politycznych. Putin preferował wariant, w którym – rzucając wyzwanie Zachodowi – wolał rozwijać i używać środki pochodzące raczej z dziedzictwa KGB. Postawa Putina zdradza jego sowieckie pochodzenie. Uważa, tak jak to było w sowieckich czasach, że generalnie Zachód jest bez porównania silniejszy od Rosji: w kategoriach ekonomicznych, w technologii i cyberprzestrzeni, w zdrowiu i odporności ich społeczeństw i systemów politycznych. Co więcej, ta luka się powiększa. Putin zdaje sobie też sprawę ze słabości i podziałów Zachodu i gra tym całkiem nieźle, mimo że ma w rękę słabe karty. Ale jako dobry uczeń Marksa wie, że kiedy przyjdzie co do czego, wówczas Rosja przegra każdy konflikt z Zachodem, w którym Zachód będzie miał czas na zmobilizowanie się i wyciągnięcie swoje asy [...].

Ostatnim rosyjskim przywódcą chcącym poprawić konkurencyjność Rosji był Gorbaczow. Próbował wewnętrznych reform i zapłacił za to stanowiskiem.

Putin nie popełni tego błędu. Usiłuje więc poprawić konkurencyjność Rosji poprzez zmianę otoczenia, w którym współistnieją Rosja i Zachód. Łamie zasady postwojennego świata, by zmienić go w interesie Rosji. Dąży do złamania europejskiego systemu bezpieczeństwa, który on i większość w Rosji postrzegają jako „okrażanie, duszenie i próbowanie rozbioru” Rosji, jak to było w czasach sowieckich. Wewnętrzne dolegliwości Rosji i porażki w polityce zagranicznej – jak w przypadku Majdanu na Ukrainie w 2014 r., kolorowych rewolucji, „arabskiej wiosny”, spadku cen ropy itd. – są przedstawiane nie jako rezultat własnej niekompetencji Rosji czy efektów globalizacji, lecz jako bezpośredni wynik zachodniej wrogości. Teoria spiskowa wygrywa za każdym razem. Ponadto zachodni porządek sam wygląda, jakby się chwiało. Zachodnie interwencje w celu narzucenia swojego porządku (Irak, Afganistan, Libia, Syria) przyniosły nieład. Putin oferuje nowy rodzaj ładu. Niektóre kraje preferują ten model (na przykład była argentyńska prezydent Kirchner). W Rosji wyraża się to tradycyjną ksenofo-

wojskowej jako ważnego elementu konfliktu i konkurencji. Ta nowa koncepcja militarna wiele zawdzięcza sowieckiemu myśleniu strategicznemu i operacyjnemu. To próba innowacyjnego wykorzystania starych narzędzi do rozbicia integralności NATO i UE. Putin wydaje się doceniać tę nową i użyteczną rolę, którą rosyjskie Siły Zbrojne mogą odgrywać w forsowaniu jego celów i pomagać w „wyrwaniu się” Rosji z „okrażenia” Zachodu. Widzimy teraz rezultat: mocno rosnące wydatki na obronę, nowe typy broni, agresywną retorykę, demonstracyjne taktyczne wyzwania. Ta rosnąca rola wojska w polityce nie oznacza, że Putin pozwoli wojskowemu zdominować rosyjską politykę i strategiczne myślenie, jak to było w czasach sowieckich, ale oznacza, że rosyjskie wojsko stało się użytecznym narzędziem polityki raz jeszcze i że stawia to nas w obliczu bardzo poważnego wyzwania.

Najlepszym przykładem tego nowego myślenia strategicznego jest to, co można było zaobserwować podczas ćwiczeń. Ich analiza skłania do interesujących przemyśleń.

PUTIN ŁAMIE ZASADY POSTWOJENNEGO ŚWIATA, BY ZMIENIĆ GO W INTERESIE ROSJI. DĄŻY DO ZŁAMANIA EUROPEJSKIEGO SYSTEMU BEZPIECZEŃSTWA, KTÓRY ON I WIĘKSZOŚĆ W ROSJI POSTRZEGAJĄ JAKO „OKRAŻANIE, DUSZENIE I PRÓBOWANIE ROZBIORU” ROSJI, JAK TO BYŁO W CZASACH SOWIECKICH.

bią i skrajnym nacjonalizmem. Ten rodzaj myślenia wojsko wykorzystuje do wzmocnienia się i autopromocji. Ostatnie dwa lata były okresem błyskawicznej ewolucji myślenia, postaw i działania w Rosji. Wojsko wraca na scenę jako ważny gracz w rosyjskiej polityce zagranicznej.

► Wojsko jako użyteczne narzędzie

Wojsko odrodziło się w oczach Putina jako instytucja posiadająca realną polityczną użyteczność. Po pierwsze, we współpracy z FSB, zapewnili znaczący wkład w sukces rosyjskiej kampanii na Ukrainie. Sprawili, że zredefiniowano użycie siły wojskowej jako ważnego elementu tego, co nazywamy wojną hybrydową. W uznaniu tej użyteczności Putin misję rozmieszczania wszystkich form siły oraz rozwoju doktryny ich użycia powierzył Sztabowi Generalnemu, który stworzył Centrum Narodowej Obrony w Moskwie. Po drugie, co jest jeszcze bardziej znaczące, widzimy rozwój nowej operacyjnej koncepcji użycia Sił Zbrojnych. Sztab Generalny rozwija przydatność klasycznej siły

Wewnętrzne: W dniach 2–10 kwietnia 2015 r. oddziały ministerstwa spraw wewnętrznych (70 proc. z nich to zawodowi żołnierze, a nie poborowi) przeprowadziły zakrojone na dużą skalę, operacyjno-strategiczne ćwiczenia pod kryptonimem „Bariera 2015”. Ogłoszono, że są prowadzone w okolicznościach podobnych do tych na ukraińskim Majdanie, a w ich ramach ćwiczone obronę granic państwowych, utrzymania porządku społecznego oraz ochronę terenów zabudowanych i infrastruktury. Zasięgiem ćwiczenia te objęły większość europejskiej części Rosji. Jednym z ważniejszych celów było sprawdzenie koordynacji działania wojska i władz cywilnych, FSB, agencji antynarkotykowej. Wykorzystywano także środki i narzędzia typowe dla tłumienia zamieszek ulicznych. Całe te „antymajdanowe” ćwiczenia równie dobrze mogłyby być zastosowane do likwidacji problemów w krajach bałtyckich, Białorusi czy samej Rosji.

Zewnętrzne: Miesiąc wcześniej, w marcu 2015 r., rosyjskie Siły Zbrojne zostały poddane dużo większym, niezapowiadany ćwiczeniom, a raport z nich został przedstawiony Putinowi przez ministra obrony Soju

i szefa Sztabu Generalnego Gierasimowa. Ta ocena niezapowiedzianego testu bojowej gotowości Sił Zbrojnych pokazuje, że były to w rzeczywistości wielkie ćwiczenia strategiczne. Nie było rozpisanego scenariusza, m.in. od różnych sił wymagano niezaplanowanych, nieraz błyskawicznych reakcji, a do rosyjskiego systemu dowodzenia włączono białoruskie wojsko. Wydaje się, że strategiczną myślą kryjącą się za tymi ćwiczeniami było zablokowanie Zachodowi dostępu do kluczowych obszarów: rodzaj „zapobiegawczej wysuniętej obrony”. W efekcie w razie eskalacji kryzysu Rosja rozmieści swoje wojska na bardzo wczesnym etapie, dając Zachodowi dużo mniej czasu na reakcję niż być może wcześniej się spodziewaliśmy. Taka strategia szybkich ruchów, aby rosyjskie siły mogły zająć i utrzymać strategiczne cele, zanim Zachód będzie mógł zareagować, stawiając go w obliczu faktów dokonanych, jest typowa dla tradycyjnej rosyjskiej, a wcześniej sowieckiej doktryny militarnej. Krym jest doskonałym tego przykładem. Powinien być odbierany jako obronny środek przeznaczony do neutralizacji wyższości Zachodu w nowoczesnych technologiach i naszej dominacji w globalnym systemie ekonomicznym i politycznym. Jest też wobec tego czymś, co ma odstraszać nas od prób użycia lub zagrożenia użycia siły w ogóle w wypadku takiego kryzysu. To odstraszanie jest wsparte przez broń atomową w celu neutralizacji użycia przez nas karty nuklearnej. [...]

Niestety, Zachód nie ma już narzędzi, którymi dysponował podczas zimnej wojny, do śledzenia i reagowania na rosyjskie działania. Niemal straciliśmy zdolność do koncepcyjnego myślenia nad strategią nuklearną. Pozbyliśmy się też w dużej części naszej militarnej, konwencjonalnej zdolności odstraszania oraz większości sił konwencjonalnych, potrzebnych do wspierania atomowych okrętów podwodnych. Nie mamy natowskiego mechanizmu „wskazówek i ostrzegania” do monitorowania przygotowań i eskalacji oraz utrzymywania naszego politycznego kierownictwa w świadomości sytuacji. Straciliśmy zdolność nauczania i ćwiczenia naszych politycznych i wojskowych przywódców w strategicznym myśleniu i działaniu. Natomiast należy podkreślić, że reakcja naszego politycznego, militarnego i ekonomiczno-finansowego establishmentu, zarówno narodowego, jak i międzynarodowego, na każdą rosyjską militarną i dyplomatyczną aktywność jest ściśle monitorowana przez Rosję. Tradycyjnie nie doceniliśmy wysiłku, jaki wkłada w to Rosja, tak jak stale nie doceniamy jej starań w próbach kształtowania naszej percepcji wydarzeń. Podczas zimnej wojny rozumieliśmy, że jesteśmy w stanie strategicznej konkurencji. Działania Putina w sposób oczywisty pokazują, że raz jeszcze znaleźliśmy się w śmiertelnie poważnej strategicznej rywalizacji [...].

Ale ani nasze narody, ani – na to wygląda – nasi politycy tego nie rozumieją.

Zachód stoi w obliczu bezpośredniego strategicznego zagrożenia ze strony Rosji, na które wciąż nie odpowiada w sposób wystarczający i którego niektórzy w Europie nie chcą uznać za fakt. Konsekwentny brak adekwatnego reagowania Zachodu może być interpretowany w Moskwie jako jego niezdolność do działania i może ośmielić Rosjan do dalszych akcji, co jeszcze bardziej pogorszy sytuację. [...]

► Co dalej?

Geopolitycznie Rosja stwarza poważne wyzwania w polityce zagranicznej dla Zjednoczonego Królestwa. Jako członek NATO Zjednoczone Królestwo jest zobligowane do działania razem ze swymi sojusznikami, jeśli istnieje ryzyko dla ich terytorialnej integralności. Nawet jeśli scenariusz, który może wywołać odpowiedź zgodnie z artykułem 5, i doprowadzić do bezpośredniego starcia, nie stanowi ryzyka w najbliższej perspektywie, to konflikty zastępcze i przejawy determinacji politycznej mogą wymagać rozmieszczenia sił brytyjskich. Jest to widoczne w rozmieszczeniu brytyjskiego personelu w Europie Wschodniej, czego ostatnim przykładem może być Polska. Bliskie sąsiedztwo rosyjskich działań koło granic NATO prowadzi do zwiększenia ryzyka niezamierzonych spięć i napięć, co wymaga dyplomatycznych wysiłków na rzecz deeskalacji. Ostatni incydent z zestrzeleniem rosyjskiego samolotu przez Turcję jest tego przykładem.

Rosja stanowi też bezpośrednie wyzwanie dla brytyjskiego zaangażowania na Bliskim Wschodzie. Jest to najbardziej widoczne w przypadku Syrii. Podczas gdy Wielka Brytania przyjmuje z zadowoleniem każdy wysiłek na rzecz powstrzymania i odpowiedzenia Państwu Islamskiemu, rosyjska kampania w Syrii ma na celu przede wszystkim zapewnienie przetrwania reżimowi Asada, który bezpośrednio sprzeciwia się polityce brytyjskiej. Atakowanie opozycji syryjskiej nie tylko torpeduje pracę Wielkiej Brytanii i jej sojuszników, lecz także sprzyja Państwu Islamskiemu. Natomiast rozbudowa i utrwalanie obecności wojskowej Rosji w Syrii jest wyzwaniem dla interesów brytyjskich we wschodniej części Morza Śródziemnego. [...]

Konkluzja raportu CHACR brzmi: Zjednoczone Królestwo nie może ignorować rosnącego potencjału militarnego Rosji, systemów broni nowej generacji, śmiałych ruchów w polityce zagranicznej i rozmieszczania wojska za granicą. Wymaga to stałego monitoringu, oceny i długoterminowej polityki odpowiedzi. Zachodzi nagle, ważna potrzeba przywrócenia Wielkiej Brytanii jej zdolności do prowadzenia wojny na dużą skalę. ■

Wojsko wymaga konkretów

Jakub Augustyn Maciejewski

Niezadowolenie prezydenta Rosji Władimira Putina i kunktatorstwo szefa niemieckiej dyplomacji Franka-Waltera Steinmeiera współgrało wraz z kolejnymi operacjami największych ćwiczeń na ziemiach polskich od 1989 r. Obecność amerykańskich wojsk nad Wisłą wywołuje reakcje, które mogą zapowiadać geopolityczny przełom.



W dniach 7–19 czerwca na terenie Polski i Litwy odbyły się manewry wojskowe o kryptonimie „Anakonda 2016”, największe od 1989 r. Same ćwiczenia nie zwiększyły możliwości obronnych wschodniej flanki NATO. General Ben Hodges, dowódca wojsk amerykańskich stacjonujących w Europie, potwierdził, że wnioski z analizy Instytutu RAND sprzed pół roku oraz po czerwcowych manewrach są takie same: Pakt Północnoatlantycki nie jest w stanie obronić Litwy, Łotwy i Estonii. A jednak Anakonda miała kluczowe znaczenie w stosunkach z Rosją jako akt stanowczej woli politycznej Zachodu: nie jesteśmy znów tacy niezdecydowani – odczytali demonstrację siły strategów z Moskwy. Poza tym sam Zachód potrzebuje jasnych sygnałów i deklaracji, że chce się bronić.

► **Pomiędzy Niemcami a Rosją – ale z USA**

Obserwatorzy rosyjscy zostali dopuszczeni do ćwiczeń na mocy Dokumentu Wiedeńskiego z 2011 r. Zrezygnowali jednak z możliwości śledzenia wszystkich manewrów wojskowych, a zdecydowali się na inspekcję rejonu wskazanego – w ten sposób mieli prawo do sprawdzenia obszaru o powierzchni około 20 tys. km kwadratowych, w obrębie którego znajdują się polskie poligony Drawsko i Wędrzyn – mogli być świadkami jedynie części ćwiczeń, za to preferowali obejrzenie obiektów stałych Wojska Polskiego.

Rosjanie bacznie przyglądali się ćwiczeniom także pod kątem spójności NATO. Z satysfakcją odnotowali wypowiedzi niemieckiego ministra spraw zagranicznych Franka-Waltera Steinmeiera formułowane w duchu krytyki Sojuszu i roli Polski. Dyplomata nie chce „dostarczać żadnych pretekstów do ożywienia dawnej konfrontacji”. Wyraził także nadzieję, że właściwą drogą do ułożenia stosunków z Rosją są dialog i postulaty rozbrojenia. To zastanawiające, bowiem takie propozycje rozbrojenia USA i ZSRS padały w dobie zimnej wojny, zwłaszcza na początku lat 80., i były inspirowane przez komunistów – to właśnie słabość armii sowieckiej i niemożność nadążania za technologicznym pędem Amerykanów skłaniała Moskwę do rozpętania kampanii propagandowej na rzecz pokoju i zmniejszenia wydatków na zbrojenia. Było to korzystne nie tylko dla zmniejszenia dystansu między dwoma supermocarstwami, lecz także dlatego, że Rosjanie od zawsze byli mistrzami w kamuflowaniu wydatków militarnych.

Faktycznie scenariusz przewidywał walkę sojuszu niebieskich, broniących państw nadbałtyckich przed sojuszem czerwonych. Nikt nie ma wątpliwości, że potencjalnym agresorem na te kraje może być tylko Rosja we współpracy z Białorusią. Jednak w porównaniu z rosyjskimi scenariuszami wcześniejszych ćwiczeń z serii „Zapad”, wersja NATO-wska jest łagodna jak akcja humanitarna.

W 2013 r. sojusz rosyjsko-białoruski ćwiczył atak na państwa bałtyckie, w których miałyby dojść do konfliktów na tle etnicznym i religijnym. Taki rozwój wypadków przewiduje doktryna obronna Federacji Rosyjskiej, wprowadzana jeszcze w czasach prezydentury Dmitrija Miedwiediewa. Obrona „świata rosyjskiego”, także poza granicami kraju, jest wyrazem ewolucji ideologii Kremla, problem w tym, że uzasadnienie interwencji może być bardzo blache. Pamiętajmy, że na Łotwie czy w Estonii Rosjanie stanowią około jednej czwartej ludności, co czyni działania hybrydowe niezwykle łatwym do użycia narzędziem w rękach Moskwy. W 2013 r. Rosjanie ćwiczyli także „atak nuklearny na Warszawę” – niemiecka dyplomacja nie odnotowała tego jako „pretekstu do ożywienia dawnej konfrontacji”. Taki rodzaj kunktatorstwa ośmiela drugą stronę. Nawet Aleksandr Łukaszenka drwił z Polaków w czasie ćwiczeń, nazywając naszą politykę „lamentowaniem”, które ma ubłagać USA o instalację elementów tarczy antyrakietowej w kraju.

Jeszcze 22 czerwca Władimir Putin wygrażał w rosyjskiej Dumie, że jego kraj odpowie na „agresywną retorykę” NATO, którego ćwiczenia są przeprowadzane tak blisko granic Federacji. Złowieszczo współgra to ze słowami szefa niemieckiej dyplomacji, jakby obaj panowie śpiewali w jednym duecie. Dodatkowo Putin zapowiedział wzmoczenie wysiłków w celu zwiększenia „obronności” kraju. Rzekomą dobrą wolę Rosji wobec zdradzieckiego Zachodu prezydent Rosji porównał do sytuacji... sprzed II wojny światowej. Wziąwszy poprawkę na narrację rosyjską, która datuje wybuch światowego konfliktu na 22 czerwca 1941 r. (atak III Rzeszy na ZSRS), zdradza to element rosyjskiej ideologii jako syndromu obłądzonej twierdzy i ofiary światowych spisków.

► **Sojuszniczy na ziemi polskiej**

Pośród 31 tys. uczestników Anakondy 2016, niemal połowę stanowili żołnierze amerykańscy – 13,9 tys. ludzi. Trzonem armii NATO byli Polacy w liczbie ponad 12 tys. Swoich żołnierzy wysłało 18 państw Paktu, w tym Hiszpania i Wielka Brytania (po 1,2 tys. ludzi), Niemcy przysłali zaledwie 230 osób – to mniej niż Rumunia (250) i niewiele więcej niż Chorwacja (200). W ćwiczeniach uczestniczyło też pięć państw partnerskich, w tym Ukraina (35 żołnierzy).

Już 7 czerwca w okolicach Torunia przeprowadzono desant 1,2 tys. spadochroniarzy z 30 samolotów, a część skoczków stanowili żołnierze zza Atlantyku, którzy przylecieli specjalnie na ćwiczenia. W ramach ćwiczenia SABER STRIKE w okolicach Chełmna dokonano przeprawy przez Wisłę około 300 pojazdów, które mogły pokonać rzekę dzięki wielonarodowemu korpusowi inżynieryjnemu, zabezpieczającemu transport od strony technicznej. To ważna operacja, sprofilowana zwłaszcza na obronę

państw nadbałtyckich, które z resztą NATO łączy jedynie wąski przesmyk suwalski. Ten krótki (80 km) odcinek granicy polsko-litewskiej spędza sen z powiek dowódcom NATO – Rosja jest w stanie w ciągu kilkunastu godzin zablokować dostęp Zachodu do Litwy poprzez błyskawiczny atak z Obwodu Kaliningradzkiego i Białorusi. To oznacza, że w razie konfliktu państwa nadbałtyckie nie będą bronione, a odbijane z rąk agresora. Operację przekraczania rzeki powtórzono 15 czerwca w okolicach Chełmna, nie zabrakło też sprawdzania, jak zareagują poszczególne jednostki, które wpadną w zasadzki wroga na terenach zaleśnionych.

9 czerwca w Ustce odbyły się ćwiczenia przeciwlotnicze i przeciwrakietowe, dzień później ćwiczone nocny atak śmigłowców. 11 czerwca sprawdzano sprawność wojsk chemicznych i medycznych, ćwiczone także ewakuacje ludności cywilnej.

W czasie działań Anakondy nie pominięto aspektów wojny hybrydowej. Po raz pierwszy uwzględniono nowe pole walki – bezpieczeństwo cybernetyczne. W dobie komputerowego sterowania znaczną częścią sprzętu wojskowego istnieje możliwość ingerencji wroga w działanie broni. W Białobrzegach odbyło się szkolenie z obrony cybernetycznej dla kilkudziesięciu oficerów NATO. W specjalnie chronionym budynku bez okien prowadzono wykłady i ćwiczenia, które były niedostępne dla zagranicznych obserwatorów – o ile więc analitycy są w stanie oszacować proporcje sił broni konwencjonalnej obu stron (czołgi, piechota, lotnictwo), o tyle nie znamy poziomu zaawansowania broni cybernetycznej. Jak czytamy w relacji z Białobrzegów na portalu army.mil.pl, w wojnie nowej generacji używa się nie tylko informatyki, lecz także technik psychologicznych. Jeden z polskich oficerów kliknął w odnośnik internetowy informujący, że „mecz Polska–Irlandia już do obejrzenia!” – po sprawdzeniu linka jego komputer został totalnie sparaliżowany. Podstępny tego rodzaju oznaczają, że najmniejszy przejaw odprężenia lub potrzeby rozładowania napięcia może być wykorzystany przez ekspertów od wojny cybernetycznej.

Rosjanie już kilka lat temu przekonywali, że podczas symulowanego ataku na niszczyciel USS Donald Cook zlokalizowany wówczas na Morzu Czarnym, byli w stanie wyłączyć amerykańskie radary niczym „wciśnięcie przycisku na pilocie”. Taka wersja wydarzeń jest najprawdopodobniej jedynie rosyjską dezinformacją – to ona jest dziś pierwszym zwiastunem wojny hybrydowej.

► Nadrobić zaniedbania ostatniej dekady

Zdeterminowanym rzecznikiem wzmocnienia obronności wschodnich krajów NATO jest gen. Ben Hodges. Jeszcze przed ćwiczeniami wyraził opinię, że w jednym z krajów regionu powinna stanąć amerykańska brygada, dysponująca własnym sprzętem, która po 9 miesiącach

byłaby zmieniana przez następnych Amerykanów. Rotacja ma zapewnić wysoką efektywność brygady, a także umożliwić większej liczbie żołnierzy i oficerów zaangażowanie się w obronność tej części Sojuszu. General odniósł wywiad dla „Defences News”, w którym w stanowczych słowach skarżył się na braki w uzbrojeniu: „Nie mam wyrzutni rakiet, nie mam M270 MLRS, nie mam HIMARS, nie mam niczego!”. Dowódca miał na myśli gąsienicowe i wieloprowadnicowe wyrzutnie rakietowe, którymi NATO dysponuje, ale których brak w naszym regionie. General wyraził też oburzenie, że niski poziom uzbrojenia wojsk amerykańskich w Europie był spowodowany traktowaniem Rosji jako partnera politycznego. Dlatego Hodges jasno stwierdził, że to Moskwa jest największym wrogiem Paktu Północnoatlantyckiego. To mocne słowa – Białe Dobre w ciągu ostatniej dekady unikał takich sformułowań i nawet przy dyskusji o „tarczy antyrakietowej” nie był w stanie zwerbować, przed kim ma nas zabezpieczać. Podsumowań ćwiczeń wojskowych general dokonywał w wywiadach dla europejskiej prasy – wskazywał także na liczne braki w łączności pomiędzy jednostkami. Poważnie zabrzmiała wypowiedź, że komunikacja radiowa i internetowa nie jest dostatecznie chroniona. „Przypuszczam, że wszystko, co piszę na swoim Blackberry, jest czytane [przez wroga – przyp. J.A.M.]”.

► Polska mobilizuje Zachód

– Bardzo dużo nauczyłem się podczas tego ćwiczenia; było to chyba najlepiej zorganizowane ćwiczenie w ciągu ostatnich 30 lat, w którym brałem udział – przekonywał Hodges na zakończenie Anakondy 2016. Antoni Macierewicz osadził ćwiczenia wojskowe w szerszym kontekście cywilizacyjnym: „Przyszłoby czas, by powiedzieć Polakom i całemu światu: Sojusz Północnoatlantycki nie pozwoli nikomu naruszyć naszych granic. Ćwiczenia, które odbyłyście, miały charakter obronny, bo NATO broni niepodległości, całości, wolności i demokracji. Praw człowieka i tego wszystkiego, co zbudowała cywilizacja chrześcijańska i zachodnia przez ubiegłe wieki, broni wolność” – to nie są ciche słowa, to jasna deklaracja polityczna. Ilu polityków europejskich jasno przypisałoby wspólnocie Zachodu wartości chrześcijańskie? Minister Obrony Narodowej stwierdził, że na ten moment, gdy sojusznicy Polski są naprawdę gotowi jej bronić, Polacy czekali 70 lat.

Owoce działań polskiego rządu mogą się wkrótce pojawić. Hodges przypuszcza – a nie należy do osób źle poinformowanych – że jeszcze tego lata zostanie ostatecznie podjęta decyzja o przemieszczeniu amerykańskiej brygady na wschód. Gdzie dokładnie? To zależy od szczytu NATO – wojsko jest tylko przedłużeniem polityki. Najbliższe rozmowy w Warszawie mogą mieć największe znaczenie militarne dla Polski od czasów przystąpienia do Paktu Północnoatlantyckiego. ■



Ryszard Czarnecki

Warszawski szczyt NATO: sukces i jego cena

Szczyt NATO w Warszawie jest olbrzymim sukcesem militarnym i przełomem psychologicznym – i to nie tylko wśród państw Paktu, lecz także wśród potencjalnych, w przyszłości, członków NATO i aliantów za wschodnią granicą RP.

Jeśli nawet politycy tych państw nie mówią tego wprost, to tak myślą i tak działają – hasło z 1939 r.: „Nie będziemy umierać za Gdańsk” dalej pokutuje, także w dużej części państw Paktu Północnoatlantyckiego. Przypomnijmy, że to tercet Niemcy–Francja–Włochy zablokował w 2008 r. na szczycie NATO w Bukareszcie otwarcie drogi dla Gruzji do „NATO-wskiej rodziny”. Gdy dzisiaj szef niemieckiego MSZ Frank-Walter Steinmeier mówi, że manewry Anakonda w Polsce to wymachiwanie szabelką na Rosję, to tym bardziej należy uznać za olbrzymi sukces formalne decyzje szczytu NATO w Warszawie – które w dużej mierze przygotowane zostały wcześniej – o militarnej obecności państw członkowskich Paktu na terenie Polski i krajów bałtyckich. Osiągnięto to, gdy coraz więcej elit polityczno-biznesowych Europy Zachodniej szuka pretekstu do ponownego zacieśnienia stosunków z Rosją – przedłużenie kolejnych sankcji UE wobec Kremla nastąpiło prawdopodobnie po raz ostatni. Postanowienia lipcowego szczytu są sukcesem naszym oraz Rygi, Tallina i Wilna. Ale i dowodem, że Polska ugrała w tej skomplikowanej grze krzyżujących się interesów nie tylko więcej niż początkowo można było oczekiwać, ale zdecydowanie więcej niż to, czego poprzednie władze realnie chciały rok temu. Bajania Sikorskiego o dwóch brygadach należy potraktować tak, jak na to zasługują, i tradycyjnie wzruszyć ramionami.

Szczyt NATO w Warszawie jest olbrzymim sukcesem militarnym i przełomem psychologicznym – i to nie tylko wśród państw Paktu, lecz także wśród potencjalnych, w przyszłości, członków NATO i aliantów za wschodnią granicą Rzeczypospolitej. Dla Kijowa czy Tbilisi jest to szczególnie moment, bo na oczach tych państw Pakt Północnoatlantycki publicznie dokonuje podarcia i wrzucenia do kosza na śmieci umowy Rosja–NATO z 1997 r., zakładającej stałą nieobecność wojsk NATO w krajach sąsiadujących z Federacją Rosyjską. Dla Rosji był to od dawna, od co najmniej agresji na Gruzję w sierpniu 2008 r., świstek papieru. Dla stro-

ny euroatlantyckiej stał się on takowym dopiero, o naiwności, po agresji Kremla na Krym i wschodnią Ukrainę. Pokazanie przez szeroko rozumiany Zachód, że jednak, mimo wszystko, mimo oporów Niemiec – bo przecież to jednak wciąż w USA decydują – można mieć w nosie strategiczne i prestiżowe interesy Rosji, jest zachętą dla naszych wschodnich sąsiadów, aby rosyjskiego niedźwiedzia w dalszym ciągu bezkarnie brać za kudły. To doprawdy może być geopolityczny, wymierzony w przestrzeń postsowiecką, breaking point.

Geopolityczne szachy, szczególnie gdy nie są to „szachy błyskawiczne” (a takie naprawdę istnieją), wymagają czasem poświęcenia figury dla zdobycia figury ważniejszej czy nawet hetmana. Tak należy odczytać decyzję o czynnym wejściu Polski do koalicji przeciwko Państwu Islamskiemu. Polacy nie będą walczyć, ale szkolić i „dokonywać rozpoznania”. Niby to soft-obecność, ale tak naprawdę poszerzenie koalicji o największe państwo „nowej Unii” (nowej Europy, jakby to sformułował nieszczyśny ekssekretarz obrony USA Donald Rumsfeld) i szóstego co do wielkości państwa UE. Czy grozi nam to potencjalnym odwetem ze strony islamskich terrorystów? Tak, choć przecież koalicja anty-ISIS liczy przeszło 60 państw, a na zamachy najbardziej narażone są kraje z największymi skupiskami muzułmanów typu USA, Wielka Brytania, Francja i w jakiejś mierze Niemcy. Jednak: tak, ale gra warta jest świeczki. Nie przypadkiem decyzja taka podjęta została niedługo przed szczytem NATO jako silna polska karta w grze na finiszu tych negocjacji.

Polska nie jest samotną wyspą na światowym oceanie. Nie istnieje pojęcie „geopolitycznej autarkii”. Jeżeli ma to służyć znacząco zwiększeniu polskiego bezpieczeństwa geostrategicznego względem Rosji – to trzeba to było zrobić, nawet zaciskając zęby. Geopolityka nie jest restauracyjnym menu, z którego można wybrać, co się chce. Wybraliśmy większe bezpieczeństwo geopolityczne w pakiecie z udziałem w koalicji przeciwko wrogom chrześcijaństwa. Zapewne była to konieczność. ■



Olga Doleśniak-Harczuk



Złe, podłe i niedobre NATO bije misia

Czy Europie grozi nowa wojna? Austriacki polityk: NATO zamierza zaatakować Rosję. Frank-Walter Steinmeier przestrzega NATO przed wymachiwaniem szabelką. Mimo sporów Sigmar Gabriel i tak pojedzie w odwiedziny do Putina. Wolfgang Ischinger: moim marzeniem jest spotkanie Obama–Putin jeszcze przed szczytem. Manewry Anakonda? To jakieś zabawy w piaskownicy! – Takie nagłówki królowały w niemieckich mediach już kilka tygodni przed warszawskim szczytem NATO. Oprócz newsów, na łamach czołowych dzienników posypały się też prokremlowskie apele o nienakręcanie mitycznej spirali nienawiści, a eksperci znani z komitywy z Władimirem Putinem tłumaczyli, dlaczego prezydenta Rosji nie wolno demonizować. Czerwiec A.D. 2016 przejdzie do historii Europy nie tylko jako miesiąc, w którym Wielka Brytania powiedziała Unii „wychodzę”, lecz także jako czas gorączkowej hiperaktywności europejskiego Putinternu. Pytanie, czy dla wszystkich starczy stołków w Gazpromie?

Niekwestionowanym prymusem bardzo w czerwcu modnej antynatowskiej retoryki był szef dyplomacji Niemiec, Frank-Walter Steinmeier, który w ganieniu Zachodu za brak wyrozumiałości dla Rosji zdeklasował samego Gerharda Schrödera, co nie jest zadaniem łatwym. Obaj panowie uaktywnili się mocniej w połowie czerwca, po Forum Petersburskim, które Moskwie miało posłużyć do rozmiękczenia i tak coraz mniej twardego stanowiska UE wobec sankcji. Schröder w wywiadzie dla „Süddeutsche Zeitung” ostrzegł przed „nowym wyścigiem zbrojeń” z Rosją, skrytykował udział Bundeswehry w planowanym wzmocnieniu wschodniej flanki NATO i potępił sankcje nałożone na Rosję po aneksji Krymu. „Pomysł, że ktoś z rosyjskiego kierownictwa mógłby mieć w ogóle zamiar interwencji w którymś z państw NATO, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością” – stwierdził Schröder, dodając za chwilę, że Niemcy nie mogą, konfliktując się z Rosją, zaprzepaścić dokonania Ostpolitik Willy’ego Brandta. Wywiad ukazał się 18 czerwca. Tego samego dnia na odsiecz Rosji ruszył też Frank-Walter Steinmeier, były szef gabinetu kanclerskiego Schrödera. Jak informował „Bild”, Steinmeier skrytykował manewry „Anakonda-16”, nazywając je „wymachiwaniem szabelką”. Zapomniał przy tym najwyraźniej, że szabelką wymachują również jego rodacy z Bundeswehry wysłani na ćwiczenia przez kanclerz Merkel. Co prawda, w symbolicznej liczbie 400 żołnierzy, ale jednak. Podczas gdy w samych Niemczech głos Steinmeiera został w większości mediów uznany za typowy przejaw przynależności do grona tzw. Russlandverstehers, a chadecy z obu siostrzanych partii CDU i CSU nie zostawili na mini-strze suchej nitki, w Rosji jego wypowiedź uznano za „głos rozsądku”. Steinmeier może grać na nowe rozdanie polityczne w Niemczech po przyszłorocznych wyborach parlamentarnych (to tylko jedna, a nie jedyna opcja). Umizgiwanie się do Rosji i jej kolejnych przywódców przy jednoczesnym ignorowaniu obaw i potrzeb wschodnich sąsiadów w kwestiach bezpieczeństwa to posunięcia taktyczne, a nie przeoczenie. I tak należałoby jego zachowanie interpretować.

► Nabroili? Ukarać albo przyznać rację

Apetyt na stołek kanclerski w SPD jest coraz większy, a klimat w Niemczech sprzyja zmianom na najwyższych szczeblach władzy. W kręgach biznesowych zniecierpliwienie sankcjami blokującymi interesy z rosyjskim partnerem sięgnęło zenitu, polityka migracyjna Merkel słono kosztowała chadeków i doprowadziła do ostrej polaryzacji w łonie samej CDU, nie wspominając już o woltach CSU i coraz mocniejszej

pozycji Alternatywy dla Niemiec, korzystającej na błędach Merkel. Imigranci tłumnie przybyli do Niemiec robią, co chcą, a zazwyczaj chcą inaczej niż Niemcy, atmosfera się więc zageszcza i taki polityk jak Steinmeier, o ile będzie to robił umiejętnie, jest w stanie zbić kapitał polityczny na słabościach Merkel i swoich zaletach do Kremla. Podgryzanie NATO to tylko gra wstępna. Jest jednak i druga strona medalu. Angela Merkel nie od wczoraj siedzi w polityce i przy całym „uznaniu” dla makiawelicznych posunięć Steinmeiera, jadła na śniadanie polityków nieporównywalnie bardziej lotnych od niego, trudno więc uwierzyć, by Steinmeier ją zaskoczył, nieproszony wyszedł przed szereg. Jeżeli tak było – powinna niezwłocznie postarać się o to, by złożyć dymisję, tak dla przykładu i ku przestrodze innym, którym chodzi po głowie bunt. Jeżeli krytyka pod adresem Steinmeiera płynąca z szeregów konserwatywnych i proamerykańskich w Berlinie jest faktem, a nie hucpą pod wschodnioeuropejską publiczność, to na takim posunięciu Merkel tylko by zyskała. Ukręciłaby łeb lobby prokremlowskiemu. Owszem, na miejscu tego łba pojawiłby się inny, w końcu SPD to koalicjant i nie pozwoli wyrządzić sobie krzywdy, ale zanim następca Steinmeiera na dobre by się rozkręcił, Merkel zyskałaby na czasie. A tymczasem o zmianach na stanowisku w niemieckim MSZ głucho. W lutym 2014 r. za dużo mniejsze przewinienia minister rolnictwa Hans-Peterem Friedrich zaledwie po trzech miesiącach sprawowania funkcji odszedł z rządu. NATO jest widocznie wyceniane znacznie niższej afery w łonie koalicji.

► Strategia dwóch wesel

Czy ktoś jeszcze pamięta ponoć samowolną akcję zmarłego niedawno szefa niemieckiej dyplomacji Guida Westerwellego na Ukrainie? Westerwelle w grudniu 2013 r. wraz z Witalijem Kliczko odwiedził protestujących na Majdanie. Zebrał za to cięgi od premiera Miedwiediewa i kolegów z rządu. Wiadomo było, że Westerwelle już za chwilę pożegna się z MSZ-em i że to jego ostatni wypad zagraniczny przed formacją nowego rządu. W sumie nie miał już nic do stracenia i mógł bratać się z Majdanem – tłumaczono, ale i tak krytykowano jego rzekomą nie-subordynację względem Berlina i niepotrzebne drażnienie Rosji. Tyle że w tamtym czasie Berlinowi zależało na wizerunku państwa, które Ukrainę wspiera, a Rosji grozi palcem, akcja Westerwellego ten wizerunek uwiarygodniła. Akcja ministra nic nie kosztowała, a stworzyła pozory Niemiec wyemancypowanych, gotowych bronić Ukraińców przed złym Putinem. Westerwelle zęgnął się z ministerstwem w glorii

„niezłomnego”, zaś Angeli Merkel nikt nie mógł na serio zarzucić, że na Majdanie Guido reprezentował oficjalne stanowisko rządu. A ferment został. To teraz zostanie ten autorstwa Steinmeiera.

Niemcy są za manewrami, ale nie za drażnieniem Rosji, rozumieją potrzebę wzmocnienia wschodniej flanki, ale rotacyjnie i w taki sposób, by nikt im nie zarzucił łamania legendarnych ustaleń z 1997 r. Zawsze w rozkroku, zawsze na dwóch weselach, broń – tak, ale naboje – nie etc. Nawet napisany ostatnio przez Steinmeiera artykuł przedrukowany przez gazety białoruskie, ukraińskie i rosyjskie był dwoistej natury. Podczas gdy wersja na Białoruś i Ukrainę zawierała zdanie dotyczące aneksji Krymu przez Rosję, w wersji przeznaczonej dla rosyjskiego „Kommiersanta” już tego pasażu zabrakło. Podobno ambasada w Moskwie otrzymała „wersję nieautoryzowaną”, a inne ośrodki autoryzowaną i stąd ta rozbieżność. Ciekawe, że z tekstu wypadło właśnie jedyne zdanie formułujące zawołowany, ale jednak (na Steinmeiera to osiągnięcie) zarzut pod adresem Kremla. Minister polecił błąd niezwłocznie naprawić, co też uczyniono. I ta akcja nic nie kosztowała, a pożytek wielki: jedno, jedyne, niewinne w sumie zdanie o aneksji Krymu, a taka batalia. Minister przeciw (sugerowanej tu i ówdzie) autocenzurze ambasady, stojący na straży prawdy, mówiący jednym zdaniem o agresji Putina na 99 kolejnych zdań o strategicznym partnerstwie z Rosją. Bohater.

► Konszachty w cieniu Brexitu

Stanowisko Steinmeiera względem manewrów „Anakonda-16” zostało co prawda w samych Niemczech (przynajmniej oficjalnie) skrytykowane w szeregach chadeków, ale przyjaciele z SPD i z zaprzyjaźnionych z ambasadą Rosji kręgów przyszli ministrowi z pomocą. Pierwszy wychylił się specjalny przedstawiciel rządu ds. kontaktów z Rosją, Gernot Erler. W wywiadzie dla dziennika „Passauer Neue Presse” Erler wieszczył wojnę z Rosją, o ile Zachód się nie powstrzyma w podchodzeniu coraz bliżej zachodnich granic tego państwa. W domyśle: nie do zbierania wschodniej flanki. Następnie wypowiedział się niemiecki dyplomata Wolfgang Friedrich Ischinger, który w komentarzu dla RIA NOVOSTI na głos marzył o spotkaniu Obama-Putin jeszcze przed szczytem NATO w Warszawie i zapowiedział, że „ustalenia szczytu będą bardzo zrównoważone i będzie to raczej program minimalny niż maksymalny”, ponieważ „Niemcy bardzo się postarały, by uszanować układ NATO–Rosja z 1997 r.”. Ischinger to bywalec tajnych narad Klubu Bilderberg, a przy

okazji od 2008 r. przewodniczył konferencjom bezpieczeństwa w Monachium. Dyplomata był też członkiem powołanej w 2000 r. przez Gerharda Schrödera i Władimira Putina Niemiecko-Rosyjskiej Strategicznej Grupy Roboczej ds. Gospodarki i Finansów (SAG), działającej przy federalnym ministerstwie gospodarki i technologii. Grupa ta... została po dwóch latach zamrożenia wskrzeszona nagle 24 czerwca 2016 r. i spokojnie obradowała w Berlinie. Nikt się obradami nie zainteresował, ponieważ wszystkie oczy zwrócono na Brexit.

Tymczasem podczas SAG doszło nie tylko do rozmów o „normalizacji” relacji biznesowych między Niemcami i Rosją, lecz także do spotkania powołanej rok temu platformy przedsiębiorców. Obradom przewodniczyli sekretarz stanu ministerstwa gospodarki Niemiec Uwe Beckmeyer i wiceminister ds. rozwoju gospodarki Rosji Aleksiej Lichaczow. Poruszono tematy inwestycji bilateralnych, wymiany i edukacji kadr kierowniczych, podpisano też 10 umów o współpracy, m.in. odnośnie do budowy fabryki obróbki drewna w Obrębnie Kaliningradzkim, współpracy między berlińską kliniką Charité a Rosyjską Akademią Nauk, wspólnego projektu energetycznego z siedzibą w Kazaniu etc. „Przyjmujemy z zadowoleniem zbliżenie między naszymi narodami, Rosja jest i pozostanie naszym strategicznym partnerem” – ogłosił Matthias Schepp, szef rady nadzorczej niemiecko-Rosyjskiej Izby Handlu Zagranicznego. „Mamy dużo do omówienia, w ostatnich miesiącach zainteresowanie niemieckich przedsiębiorców inwestycjami w Rosji znacznie wzrosło” – dodał szef Komitetu ds. Wschodnioeuropejskich Relacji Gospodarczych, Michael Harms.

To „zadowolenie ze zbliżenia” znajduje potwierdzenie w liczbach. Zdaniem Rosyjskiego Banku Centralnego, niemieckie inwestycje bezpośrednie w Rosji po załamaniu w 2014 r. (320 mln euro) w ubiegłym roku osiągnęły już poziom 1,3 mld euro. Tendencja wzrostowa. Czy mając tak świetlane perspektywy biznesowe, Niemcy naprawdę mają interes w obronie wschodniej flanki NATO? Przed kim niby? Przed strategicznym partnerem? Stanowisko Niemiec podczas szczytu pokaże, czy Ischinger miał rację, głosząc tezę o „programie minimum”.

► Pod skrzydłami Sowieckiego Komitetu

Steinmeierowe „NATO-wskie wymachiwanie szabelką” przypadło do gustu nie tylko lobbyistom Kremla w Niemczech, lecz także pacyfistom zza oceanu z nostalgią wspominającym „marsz pokoju” San Francisco–Moskwa, zorganizowany przez amerykańskie środowiska pacyfistyczne w latach

1960–1961. Jego ówczesny inicjator i jednocześnie szef Pacyfistycznej Partii USA, Bradford Lyttle, trzy lata temu wystosował list do Władimira Putina, w którym przekonywał prezydenta Rosji, by wspólnie ze Stanami Zjednoczonymi pracował nad pokojowym rozwiązaniem konfliktu w Syrii i ewentualnie dla szybszego zakończenia wojny udzielił azylu Baszarowi al-Asadowi. W liście do Putina aktywista z rozrzuśnięciem wspominał, jak Sowiecki Komitet Obrony Pokoju wspierał finansowo jego inicjatywę: „Nigdy nie zapomnę gorącego przyjęcia i wielu spotkań organizowanych dla nas przez Komitet. Powstało na ten temat kilka książek, jakieś egzemplarze muszą być zapewne jeszcze w archiwach Komitetu” – wspominał Amerykanin. Władimir Putin z pewnością wzruszył się tym listem i od razu kazał sobie dostarczyć na biurko archiwalia Sowieckiego Komitetu opatrzone nalepką z gołębkiem pokoju.

Niedawno Lyttle napisał też do Baracka Obamy, tym razem zaapelował, by amerykański przywódca wspólnie z Putinem wyeliminował zagrożenie atomowe. O apelu do Obamy poinformowała w swoim artykule „Po co jechać do Rosji” (17.06.2016 r.) Kathy Kelly, jedna z czołowych przedstawicielek ruchu pacyfistycznego w USA. Kelly z zaskowaniem przypatrywała się manewrom „Anakonda-16” i niejako na przekór „tej militarnej manifestacji sił” powołała się na artykuł swojego kolegi Conna Halinnana pt. „Niebezpieczna gra NATO: Podgryzanie rosyjskiego niedźwiedzia”. Wymowę tego tekstu można streścić prostym: „Biedna Rosja atakowana przez podłe NATO”, a dowodem na ten atak miało być... zestrzelenie rosyjskiego bombowca przez Turków. O tym, że samolot ten naruszył przestrzeń powietrzną państwa Erdoğan, autor nie wspomina, o tym, że rosyjskie samoloty wojskowe z nieba nad Litwą, Łotwą, Estonią i Polską urządziły sobie swój powietrzny folwark, też zapomniał.

Z podobnym znawstwem tematu autor podchodzi do aneksji Krymu i rosyjskiej inwazji na Gruzję. Kelly, Halinnan i Lyttle reprezentują skrajnie lewacką wizję świata zatopioną w sosie pokolenia '68 i pacyfistycznej retoryce każącej z nadzieją patrzeć na Wschód, a z pogardą na Zachód. W 1961 r., jak w liście do Putina przyznał sam Lyttle, to Sowiecki Komitet Pokojowy sponsorował kaprys garstki amerykańskich pacyfistów, którym zachciało się pieszej wycieczki do Moskwy i spotkań z Nikitą Chruszczowem. Nie wzbudziło to ani ich zdziwienia, ani refleksji. Ciekawe, jaki to komitet trzyma pieczę nad akcjami dzisiejszych, zachodnich kontestatorów misji NATO na wschodniej flance Sojuszu.

► Do zobaczenia w Warszawie

Środowiska antynatowskie ogłosiły już pełną mobilizację przed lipcowym szczytem w Warszawie. W sobotę o godzinie 12 w centrum polskiej stolicy ma się odbyć demonstracja przeciwko instalacji tarczy antyrakietowej i bazom NATO w Polsce i jednocześnie za przyjmowaniem imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej. Połączenie antynatowskiej propagandy z poparciem dla *de facto* polityki migracyjnej Niemiec to tylko na pozoru mariaż egzo-

**NIEMCY SĄ ZA MANEWRAMI, ALE NIE
ZA DRAŻNIENIEM ROSJI, ROZUMIEJĄ
POTRZEBĘ WZMOCNIENIA WSCHODNIEJ
FLANKI, ALE ROTACYJNIE I W TAKI
SPOSÓB, BY NIKT IM NIE ZARZUCIŁ
ŁAMANIA LEGENDARNYCH USTALEŃ
Z 1997 R. ZAWSZE W ROZKROKU,
ZAWSZE NA DWÓCH WESELACH, BROŃ
– TAK, ALE NABOJE – NIE.**

tyczny. Marzeniem inicjatorów tej imprezy, „Międzynarodowego Networku na rzecz delegitymizacji NATO”, jest najwidoczniej Europa słaba, pozbawiona wszelkich narzędzi obrony i na dodatek pogrążona w chaosie implikowanym bezrozumnym przyjmowaniem na kontynent potopu obcych nam kulturowo ludzi, z którymi w żaden sposób nie radzą sobie już przecież państwa zachodnie. „Międzynarodowy Network...” jasno precyzuje swoje poglądy, 17 czerwca tego roku na stronie organizacji opublikowano tekst pt.: „Niemieccy żołnierze na Litwę: NATO rozpoczyna okrażanie Rosji”. Tematem artykułu był plan wzmocnienia wschodniej flanki, ale jego interpretacji nie powstydzili się SPUTNIK ani Russia Today. Sama organizacja powstała w 2008 r. i skupia ponad 650 międzynarodowych ruchów antynatowskich z całego świata, w tym m.in. Komunistyczną Partię Niemiec (DKP). Uczestnikom tej konferencji można życzyć szybkiego powrotu do zdrowia. Na posady w Gazpromie i tak, mili Państwo, jesteście zbyt daleko od centrum dowodzenia, a jako żywym legendom i pogrobowcom generacji '68 należy wam się zasłużony wypoczynek. Mamy rok 2016, a na Wschodzie wiecznie głodnego niedźwiedzia. Jak nie wierzyć, to sami sprawdźcie. ■

Małgorzata Matuszak



Nasi bracia mniejsi

Człowiek jest „koroną” Bożego stworzenia, korona zaś daje nie tylko przywileje, lecz także zobowiązuje. Również do tego, by we właściwy sposób traktował swoich „braci mniejszych”.

Wrażliwość na los zwierząt bardzo dużo mówi o naszym człowieczeństwie. Bywamy wobec nich obojętni, przesadnie uczuciowi bądź okrutni. Niestety, czasami popadamy w tym względzie w skrajności – albo traktujemy je w sposób nie-zwierzęcy, jak substytut ludzi, przebieramy w ubranka i zakładamy biżuterię, malujemy pazurki, albo w sposób nie-ludzki, znęcamy się nad nimi i sprawiamy, że cierpią. Problem ludzi polega na tym, że nie potrafią postrzegać zwierząt takimi, jakimi są. Uczłowieczają je albo uprzedmiotawiają. O ile pierwsze, w określonych oczywiście granicach, nie zawsze wyrządza zwierzętom krzywdę, o tyle drugie prowadzi do sytuacji, których stawiają człowieczeństwo człowieka pod wielkim znakiem zapytania. Na okrucieństwo, którego dopuszczają się czasami wobec zwierząt ludzie, przyzwolenia dać nie można.

► Przykłady można mnożyć

To tylko kilka zdarzeń z kilku ostatnich miesięcy. 4 marca 2016 r. na śmietniku w Szczakowej przy ul. Koszarowej znaleziono psa, który był w stanie agonalnym, miał na ciele ranę wielkości dwóch pięści. Schorowany, umierał w męczarniach. Niestety, konieczne było uśpienie czworonoga. Również w marcu, w Opocznie, mężczyzna poderznął gardło 1,5-roczonej suczce. Później złapał ją za tułów i zaczął tłuc jej głową o betonowy płot, a na koniec zaczął po niej skakać. Kiedy przyjechała policja, pies dogorywał. Udało się go uratować, nigdy pewnie jednak nie odzyska pełnej sprawności.

W kwietniu 50-latek z Bodzechowa wyprowadził w pole i skatował metalowym prętem psa swojej sąsiadki. Zobaczyła to grupka kilkuletnich dzieci. Kiedy mężczyzna usłyszał ich krzyk, zostawił konającego psa przy drzewie i uciekł do swojego domu. Dzieci próbowały ratować psa, przeniosły go na podwórkę jego właścicielki. Policja, która przyjechała na miejsce zdarzenia, znalazła pręt ze śladami krwi i wykopany w pobliżu dół. Sprawca był nietrzeźwy. Psa przewieziono do weterynarza, ale nie udało się go już uratować. I znów kwiecień 2016 r. Ktoś zadzwonił na policję, zgłaszając, że w jednej z miejscowości w gminie Nowy Tomyśl młody mężczyzna usiłuje zabić swego psa. Policjanci na miejscu zdarzenia zobaczyli przy budzie mocno zakrwawionego owczarka niemieckiego i siedzącego obok na pniaku jego właściciela, 32-letniego mężczyznę. Był kompletnie pijany. Jak się później okazało, mężczyzna wpadł w amok, kiedy pies broniąc się przed agresją swojego pana, ugryzł go w rękę. Wtedy właściciel chwycił siekierę i zaczął nią uderzać psa po głowie. Tylko dzięki szybkiej interwencji udało się uratować czworonoga.

W maju policja w Zakopanem otrzymała zgłoszenie, że w Białym Dunajcu środkiem drogi idzie mężczyzna ciągnący na sznurku najprawdopodobniej martwego psa. Funkcjonariusze przybyli na miejsce ten fakt potwierdzili. 62-letni góral tak bardzo zdenerwował się na psa, który jego zdaniem zbyt wolno szedł, że zaczął go uderzać po głowie metalowym prętem. Bił owczarka tak mocno, że zwierzę padło. Śledczy zaproponowali karę ośmiu miesięcy więzienia w zawieszeniu na dwa lata, dwuletni zakaz posiadania i pracy ze zwierzętami i grzywnę 3 tys. zł na organizację działającą na rzecz zwierząt, ale ostateczny wyrok musi zatwierdzić jeszcze sąd.

Powyższe sytuacje dotyczyły psów, wydarzeń zgłoszonych na policję, bardzo brutalnych. Ale przecież można by było mnożyć tego typu akty okrucieństwa

przemoc wobec żyjącego z rodziną np. psa czy kota jest jednym z głównych czynników prognostycznych przemocy domowej, wielu jej sprawców kieruje swoją agresję najpierw w stronę zwierzęcia, nierzadko traktując znęcanie się nad nim jako środek służący kontroli i zastraszaniu pozostałych członków rodziny. Dane sondaży przedstawionych w raporcie przygotowanym w 2012 r. przez Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu Wobec Zwierząt z Alberty w Kanadzie są następujące: 36 proc. ankietowanych kobiet odpowiedziało, że sprawca groził lub skrzywdził ich zwierzę, w 85 proc. tych przypadków groźby zostały zrealizowane; co druga kobieta, która żyła z agresywnym partnerem, odwleką swoją decyzję o odejściu z powodu troski o zwierzę, dotyczyło to zarówno opiekunek zwierząt towarzyszących, jak i gospodarskich;

NAUKOWCY ZAJMUJĄCY SIĘ BADANAMI PRZEMOCY W RODZINIE DOSTRZEGLI ZALEŻNOŚĆ POMIĘDZY AGRESJĄ WOBEC INNYCH CZŁONKÓW RODZINY I WOBEC ZWIERZĄT ŻYJĄCYCH W TYM SAMYM DOMU. DOWIEDLI, ŻE PRZEMOC WOBEC ŻYJĄCEGO Z RODZINĄ NP. PSA CZY KOTA JEST JEDNYM Z GŁÓWNYCH CZYNNIKÓW PROGNOSTYCZNYCH PRZEMOCY DOMOWEJ.

wobec innych zwierząt, przytoczyć wiele, o których ze środków masowego przekazu się nie dowiemy, przywołać też mniej drastyczne, które jednak również pokazują, jak okrutny wobec zwierząt potrafi być człowiek.

► Ludzka wrażliwość

Czytając, słysząc o przypadkach znęcania się nad zwierzętami, nie można nie zadać pytania – kim jest oprawca? Czy zachowuje się tak tylko w stosunku do zwierząt? Trudno oprzeć się wrażeniu, że jeśli ktoś jest zdolny do skrzywdzenia zwierzęcia, w dodatku sprawia mu to przyjemność i daje satysfakcję, to w podobny sposób jest się w stanie zachować w stosunku do drugiego człowieka, że okrucieństwo wobec zwierząt prowadzi do okrucieństwa wobec ludzi. Wnioski takie znajdują potwierdzenia w badaniach: osoba znęcająca się nad zwierzętami i ciesząca się ich cierpieniem prawdopodobnie będzie dręczyć też ludzi, a w przypadku dzieci okrucieństwo wobec zwierząt może oznaczać przestępcze zachowanie w przyszłości. Naukowcy zajmujący się badaniami przemocy w rodzinie dostrzegli zależność pomiędzy agresją wobec innych członków rodziny i wobec zwierząt żyjących w tym samym domu. Dowiedli, że

85 proc. kobiet odpowiedziało, że żyjące z nimi dzieci były świadkami groźb lub okrucieństwa wobec zwierzęcia ze strony ich partnera, a w połowie tych przypadków zwierzę należało do dziecka.

Jak widać, problem okrucieństwa wobec zwierząt jest kwestią bardzo złożoną i nie ogranicza się „tylko” do bólu i cierpienia zadawanych zwierzętom. Trzeba jednak nadmienić również o tym, że, niestety, nie ma żadnego związku pomiędzy dobrym traktowaniem zwierząt a takowym stosunkiem do innych ludzi. Z tego, że ktoś nazywa siebie „miłośnikiem zwierząt” i rzeczywiście jest dla nich dobry, nie wynika, że jest dobry dla ludzi. Historia poucza nas o tym, że niekiedy można wyciągnąć wniosek wręcz przeciwny: na pewnym poziomie troski o zwierzęta pojawia się realna możliwość traktowania ludzi gorzej (niż zwierzęta).

► Nauczanie Kościoła

Często słyszę zarzut kierowany w stronę katolików, że określający się tym mianem są obojętni wobec ogromu cierpienia, jakie dotyka zwierzęta, i że są sprawcami ich niedoli. A przecież nauczanie Kościoła na temat naszego stosunku do zwierząt jest jasne. Wystarczy zajrzeć do „Katechizmu Kościoła Katolic-

kiego", w którym czytamy: „Zwierzęta są stworzenia mi Bożymi. Bóg otacza je swoją opatrnością troską. Przez samo swoje istnienie błogosławią Go i oddają Mu chwałę. Także ludzie są zobowiązani do życzliwości wobec nich” (2416) czy też: „Bóg powierzył zwierzęta panowaniu człowieka, którego stworzył na swój obraz. Jest więc uprawnione wykorzystywanie zwierząt jako pokarmu i do wytwarzania odzieży. Można je oswajać, by towarzyszyły człowiekowi w jego pracach i rozrywkach. Doświadczenia medyczne i naukowe na zwierzętach są praktykami moralnie dopuszczalnymi, byle tylko mieściły się w rozsądnych granicach i przyczyniały się do leczenia i ratowania życia ludzkiego” (2417) albo: „Sprzeczne z godnością ludzką jest niepotrzebne zadawanie cierpień zwierzętom lub ich zabijanie” (2418).

czy to, że Kościół na los zwierząt jest obojętny. W Jego nauce chodzi raczej o zachowanie proporcji i właściwej hierarchii wartości. Jeśli bowiem ktoś głośno domaga się praw dla zwierząt i – równocześnie – prawa do aborcji na żądanie, oznacza to, że jego hierarchia wartości jest poważnie zaburzona. Okrucieństwu i przemocy wobec zwierząt mówimy „nie”, z drugiej jednak strony winniśmy nie tracić z oczu właściwej perspektywy.

► **Bycie człowiekiem zobowiązuje**

Zwierzę nie jest osobą. Ale osobą jest człowiek i bycie człowiekiem do czegoś go zobowiązuje. Etyka postępowania wobec zwierząt jest fenomenem ludzkim, to człowiek pyta o zakres swojej powin-

JEŚLI KTOŚ GŁOŚNO DOMAGA SIĘ PRAW DLA ZWIERZĄT I – RÓWNOCZEŚNIE – PRAWA DO ABORCJI NA ŻĄDANIE, OZNACZA TO, ŻE JEGO HIERARCHIA WARTOŚCI JEST POWAŻNIE ZABURZONA. OKRUCIEŃSTWU I PRZEMOCY WOBEC ZWIERZĄT MÓWIMY „NIE”, Z DRUGIEJ JEDNAK STRONY WINNIŚMY NIE TRACIĆ Z OCZU WŁAŚCIWEJ PERSPEKTYWY.

Także Jan Paweł II w „Orędziu na XXIII Światowy Dzień Pokoju” zwracał uwagę na fakt, który powinien być dla katolików zawstydzający: ludzie, którzy nie mają sprecyzowanych przekonań religijnych, poczuwają się często do obowiązku opieki nad zwierzętami, tym bardziej więc ci, którzy wierzą w Boga Stwórcę, czyli członkowie Kościoła katolickiego, powinni pamiętać, że odpowiedzialność za całe stworzenie jest elementem ich wiary. Papież przypominał też, że pierwszą instytucją kształtującą postawy jest rodzina – to w niej dziecko powinno uczyć się miłości do przyrody, wzorem zaś poświęcenia się budowaniu pokoju z całym stworzeniem może być dla katolików św. Franciszek. Z drugiej strony, Jan Paweł II mówił też o tym, byśmy nie przelewali na zwierzęta miłości należnej tylko człowiekowi. Bo i tak się często dzieje, choć świadczy to często o tym, że właściciel zwierzęcia ma kłopoty w kontaktach z własnym gatunkiem, jest samotny, nieszczęśliwy i gdzie indziej szuka miłości, której potrzebuje. Zwierzę zastępuje mu człowieka, dlatego jest traktowane i kochane jak człowiek.

Stanowisko Kościoła dalekie jest więc od tego, jakie jest mu przypisywane. To prawda, że głośniej o prawach zwierząt słychać z „lewej” strony, nie ozna-

ności moralnej, o to, czy ogranicza się ona tylko do innych osób, czy też odnosi się również do zwierząt. Na przestrzeni lat odpowiedzi na to pytanie padały różne. Nie ulega jednak wątpliwości, że skoro Bóg uczynił nas na swoje podobieństwo, to powierzył nam również opiekę nad tym, co stworzył. Troska o zwierzęta jest zatem ważną częścią naszej relacji ze Stwórcą. Człowiek jest „koroną” stworzenia, korona zaś daje nie tylko przywileje, lecz także zobowiązuje. Również do tego, by we właściwy sposób traktował swoich „braci mniejszych”. Wprawdzie św. Franciszek – tu należy się małe sprostowanie – „mniejszymi braćmi” nie nazywał zwierząt, lecz swoich współbraci – z racji pokory, cnoty, którą posiadał w stopniu doskonałym i której wymagał od swoich naśladowców – tym niemniej duch jego nauczania, to, iż nazywał słońce, księżyc, gwiazdy, wodę, ziemię, rośliny oraz zwierzęta swoimi braćmi i siostrami, sprawiło, że określenie to do zwierząt przylgnęło i „z ducha” jest jak najbardziej franciszkańskie. Jak powiedziała śp. Maria Kaczyńska w jednym z ostatnich wywiadów: „Należy od dziecka wpajać, że zwierzęta czują tak samo jak ludzie [...] Uważam, że zwierzęta to nasi bracia mniejsi, że zwłaszcza te domowe, to są też członkowie naszych rodzin”.



Bóg papuga

Całkowita bezbronność polskiego państwa wobec zorganizowanej i „niezrzeszonej” działalności grup i ruchów destrukcyjnych staje się szczególnie dojmująca w trakcie wakacyjnych sekciarskich zniw – wtedy dokonują największej ilości werbunków – oraz, co jeszcze bardziej przerażające, podczas zbliżających się Świątowych Dni Młodzieży.

Robert Tekieli

Z pewnością należy się spodziewać werbunku w trakcie tego radosnego dla większości młodych ludzi spotkania, jakim są ŚDM. Zagrożone będą głównie dzieci snujące się z dala od centrum wydarzeń, traktujące zjazd jako przygodę bądź okazję do wymknięcia się spod nadzoru rodzicielskiego, oraz młodzież – z zasady – zbuntowana. Czego dokonało polskie państwo, by je chronić? Pełnomocnik rządu do spraw ŚDM zapewnił mnie, że policja wraz z dominikańskim centrum informacji o nowych ruchach religijnych zrobiła co trzeba. Czy na pewno?

► Szarlatani i psychomanipulanci

By się bronić, trzeba rozumieć. Schemat działania sekt chrześcijańskich przyjrzymy się na przykładzie sekty batiuszki Popowa, wszech-guru z gumowym łańcem w ręku. Jak sam mówi, dokonał osiem razy więcej cudów niż Jezus Chrystus, w poprzednich wcieleniach był carem Mikołajem oraz kochał papugę. To z jego powodu władze Moskwy wydały broszurę „Jak się chronić przed sektami”.

W Polsce, w identycznej sprawie, 23 kwietnia 2016 r. wysłałem list do ważnego urzędnika polskiego państwa: „Na Światowe Dni Młodzieży, oprócz owieczek, ściągną hieny, wilki i szakale – werbownicy sekt i grup psychomanipulacyjnych. Rozmawiałem w BBN-ie, ale oni mają chyba za mało ludzi i środków. Plan minimum to szkolenia dla wolontariuszy/policjantów/straży miejskich itp. + mocna ulotka do plecaka pielgrzyma”. Odpowiedź była pozytywna. Bez ciągu dalszego.

W Polsce działa kilkaset grup wyznaniowych i sekt. Nikt właściwie nie wie ile, bo polskie państwo nie monitoruje ruchów destrukcyjnych! Podobnie dzieje się na Ukrainie, o czym już pisałem, i w Rosji. Na początku września ubiegłego roku aresztowano tam Andrieja Popowa, znanego bardziej jako „bóg Kuzia”. Bóg stworzył sektę. Stwarzać świata widać mu się nie chciało. Sekta była chrześcijańska, bardziej prawosławna od prawosławnej Cerkwi, wręcz najbardziej prawosławna na świecie, bo jak się już coś robi, to trzeba działać z rozmachem. „Bóg Kuzia” zajął się tym, czym twórcy sekt zajmować się lubią najbardziej: kłamał, oszukiwał, wyłudzał. Wykorzystywał ludzi w sposób skrajny. Widziałem wiele, ale Popow ma na prawdę wyjątkowo szeroką słowiańską duszę.

Sekty to czerni czerni, serce serc Mordoru, zatem, starym zwyczajem, zacytujmy tamtejsze media (TVN24), by nie być posądzonym o moherowe, osołomskie przekłamania.

Motyw pierwszy – być ślepym jak Shōkō Asahara: „37-letni, niedowidzący Popow został wyprowadzony ze swojego mieszkania 10 września”. Motyw drugi – być bogatym jak Soros: „W tym czasie w siedmiu innych mieszkaniach moskiewska policja prowadziła przeszukania, podczas których znaleziono ponad 43 mln rubli w gotówce

i 100 tys. dolarów w różnych walutach. »Bóg Kuzia« podkreślał, że nie wie, skąd pochodzą pieniądze”. Nie pamiętał, czy wygrywał regularnie na giełdzie, czy, jak wąsaty oszust, w totolotka. Ma kłopoty z pamięcią, lecz w innych kwestiach był sprawny jak nasz pegeerowski cwaniaczek: „Policjanci byli zaskoczeni kwotami, jakie w ciągu zaledwie kilkunastu miesięcy udało się zgromadzić »bogowi«”. W maju 2014 r. przeprowadzili bowiem w jego mieszkaniu przeszukanie w związku z pobiciem ekipy telewizyjnej, która przygotowywała reportaż o działalności sekty. Wtedy znaleziono u niego i skonfiskowano ok. 250 mln rubli i 150 tys. dolarów”. Obrabować biednych ludzi na ćwierć miliona dolarów w trzy miesiące, niezły wynik.

Pierwszy był w te klocki L. Ron Hubbard, guru Toma Crusa: „Jeśli chcesz być bogaty, załóż biznes. Jeżeli chcesz być naprawdę bogaty, załóż religię”. To zdanie twórcy scientologii wszyscy już cytowali, mało które państwo wyciągnęło jednak wnioski. Scientologia jest potężną, globalną organizacją opartą na toksycznej ideologii, kłamstwie i przemocy. Ma własny wywiad i kontrwywiad, nawet BND i CIA musiały uznać, że ze scientologami nie ma żartów. Przegrzywają z tą sektą bitwy mocarstwa regionalne (RFN). Popow to w porównaniu z wyznawcami wszechmocy witaminy C mały Pikuś.

► Nie jesteśmy chronieni przed przemocą duchową

Polska jest całkowicie bezbronna wobec zagrożeń związanych z działalnością zorganizowanych grup destrukcyjnych, sekt oraz grup i ruchów psychomanipulacyjnych. Polacy są bezbronni także wobec niezheszonych „komercyjnych” psychomanipulantów, nastawionych jedynie na finansowe wykorzystywanie ludzi. W 2000 r. powstał opracowany w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji dokument zatytułowany „Raport o niektórych zjawiskach związanych z działalnością sekt w Polsce”. Autorami są Krzysztof Wiktor i Grzegorz Mikrut. Raport przyjęty został przez Międzyresortowy Zespół do spraw Nowych Ruchów Religijnych na posiedzeniu 15 maja 2000 r. To dokument podstawowy i jedyny w tej tematyce w naszym kraju (https://mswia.gov.pl/ftp/pdf/raport_o_sektach.pdf). Po jego opublikowaniu zespół rozwiązano!

Stało się to za drugich rządów SLD; za pierwszych wprowadzono natomiast do oficjalnego języka polskiego państwa pojęcia okultystyczne i newage’owe, takie jak: psychotronika, bioenergoterapia, radiesteza czy wróżbiarstwo, w pozytywnym kontekście. Do dziś istnieje autoryzowany przez instytucje państwowe „zawód” bioenergoterapeuty czy wróżbity; ogłoszono to w Monitorze Rządowym. Istnieje też Cech Bioenergoterapeutów i Radiestetów. Czyli bioenergoterapeuta to rzemieślnik, taki sam jak szewc czy zegarmistrz. Dla polskiego państwa nie istnieje za to pojęcie „sekt”.

Różne sekty – grupy nazywane tak przez prawo państwowe we Francji czy przez Unię bądź USA – w Polsce są do dziś kościołami/związkami wyznaniowymi! Na przykład Hare Kryszna (tysiące procesów na całym świecie o wykorzystywanie seksualne, molestowanie, mobbing itp.).

Całkowita bezbronność polskiego państwa wobec zorganizowanej i „niezrzeszonej” działalności grup i ruchów destrukcyjnych staje się szczególnie dojmująca w kontekście zbliżających się Światowych Dni Młodzieży. Najszerzej działalność rozwina sekty „chrześcijańskie”. Takie jak grupa Andrieja Popowa, który na naiwności i ufności wielu osób zbil fortunę.

Dalej będę cytował TVN24: „Na przełomie XX i XXI wieku Popow założył grupę wyznaniową, która, podszycając się pod działania Kościoła prawosławnego, organizowała wykłady na jednym z moskiewskich uniwersytetów. (...) dzięki umiejętnemu manipulowaniu ludźmi pozbawił ich majątku i rodziny. Zaczynał od podawania się za najmłodszego biskupa Kościoła prawosławnego, najwyraźniej jednak brakowało mu poczucia wyjątkowości. Wtedy sam siebie nazwał bogiem. Imię »Kuzia« przybrał na cześć swojej papugi, która zdechła wiele lat temu”.

Powiem szczerze: tym zabiegiem Popow mi zaimponował. Choć z drugiej strony, być może biedna ta papuga była jedyną istotą na świecie, której Popow się nie bał. I to nie bał się na tyle, że dopuścił ją do relacji z sobą. Bóg papuga. Empatia na ptasim poziomie. Uff.

► Świat według guru

Guru papuga miał też specyficzną wyobraźnię: „Andriej Popow podzielił ludzi na sześć kategorii. Pierwsza to jego ładne żony (według niektórych informacji ma ich być nawet osiem). Drugi i trzeci krąg otaczających go wyznawców to harem i pomocnicy oraz szczególnie bliscy wyznawcy. Czwarta kategoria to zwyczajni »wierni«. Piąta to ci, którzy jeszcze nie słyszeli o »bogu Kuzi«. Szósty to piekło, czyli ludzie, którzy nie uwierzyli w boskość Andrieja Popowa”. Tyle TVN24. Na różnych rzeczach mogą się ci panowie i te panie nie znać, w sprawach piekielnych trudno jednak odmówić im kompetencji.

Głównym źródłem dochodu „boga Kuzi” były popularne w Rosji prawosławne jarmarki. Współpracownicy „boga”, legitymując się podrobionymi dokumentami, podawali się za członków Cerkwi prawosławnej i wyszukiwali w tłumie osoby, które sprawiały wrażenie „słabych” lub „po przejściach” i proponowali im zamówienie modlitwy w dowolnej intencji. Modlitwy kosztowały od kilku do kilkudziesięciu tysięcy rubli. Tygodniowe dochody „Kuzi” wynosiły około 2 mln rubli.

Kiedy ludzie oddają swoją wolność manipulantom, ten idzie dalej: za każde przewinienie groziła członkom sekty kara chłosty lub bicie gumowym kapciem po twarzy.

Kuzia przejął władzę nad tymi ludźmi. Schemat jest prosty: znajdź deficyt, zbombarduj miłością i troską, uzależnij, zmusz do wyrzeczenia się „demonów” (rodzina, przyjaciele), zachwyć, uwieść, przekonaj o nieomyślności, potem wzbudź strach i lęk, zerwij więzi, przekonaj do rozvodu, do porzucenia „niewiernych” dzieci i rodziców, przekonaj, że „bóg Kuzia” ma nadzmysłowe moce, że może zabić myślą, wmów, że adepci nie dadzą sobie rady żyć poza sektą, w ostateczności stosuj przemoc.

► Rosyjskie państwo walczy z sektami

Rosyjskie władze zaczęły walczyć z tym zjawiskiem. „Musimy pokazywać obywatelom schematy działania sekt i wciągania do nich nowych członków, aby byli w stanie przeciwstawić się technikom liderów” – twierdzi Władimir Czernikow z departamentu polityki narodowej, relacji międzyregionalnych i turystyki we władzach Moskwy. Inni eksperci mówią jasno: Broszury to mało. Najważniejsze są zdecydowane kroki państwa, by zapobiegać i natychmiast zakazywać działalności sektom.

Na Światowych Dniach Młodzieży będą werbować sekty proveniencji chrześcijańskiej. Takie jak sekta Popowa oraz najgorsza ich odmiana: sekty charyzmatyczne. By niebezpieczeństwo zminimalizować, należy wyszkolić służby (policjantów, prokuratorów, straż miejską) oraz wolontariuszy, poinformować o złożonej naturze zagrożenia, zaproponować procedurę przeciwdziałania, unaocznic uczestnikom Dni tragiczne konsekwencje werbunku. Jednak nawet uświadomienie dzieciom, jak wygląda schemat werbunku i jego konsekwencji, nie rozwiązuje sprawy. Ale to rozważania nie na tekst publicystyczny.

Gdy alarmowałem i proponowałem rozwiązania instytucjonalne w styczniu, marcu i kwietniu, jeden z ważnych polskich urzędników odpisał mi tak: „Sprawa z pewnością do rozważenia. Pytanie tylko, jakie instrumenty są potrzebne, żeby to było skuteczne”. I tyle. Drugi ważny urzędnik odpisał mi podobnie: „Dziękuję bardzo za kontakt. Podzielim Pana pogląd, że ŚDM będzie chciało wielu wykorzystać do siania zamętu. Pracujemy nad dobrym przygotowaniem, a każda pomoc mile widziana. Zapraszam do współpracy, skontaktuję się”. Skontaktował się. Oddelegował urzędnika. I nic więcej się nie stało. Polacy, nic się nie stało. Chcieć mieć na sumieniu te skrzywdzone dzieci, bite gumowymi kapciami po twarzy?

Nikt nie chroni Polaków przed psychomanipulacją. Założę zatem Centrum Monitoringu Zagrożeń Niefizycznych. Zainteresowanych zapraszam: tekielir@gmail.com.

Poza tym w Kancelarii Prezydenta, może w BBN-ie lub rządzie, musi powstać choćby mikroinstytucja śledząca przemoc duchową w Polsce. Zbyt dużo tu cierpienia, Panie Prezydencie. To naprawdę duchowe gwałty, Pani Premier. ■



Małgorzata Matuszak

Czym jest... błogosławieństwo

Czytajcie Błogosławieństwa, to wam dobrze zrobi!" – mówił papież Franciszek podczas spotkania z młodzieżą świata w Rio de Janeiro, zachęcając młodych ludzi do tego, by zgłębiali ewangeliczne błogosławieństwa. Mottem przyświecającym tegorocznym, XXXI Światowym Dniom Młodzieży, które odbywać się będą w Polsce, jest piąte z ośmiu błogosławieństw wypowiedzianych przez Jezusa w Kazaniu na Górze: „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią” (Mt 5,7). W poprzednich latach hasłami Dni Młodzieży, odbywających się na poziomie Kościołów lokalnych, były dwa inne błogosławieństwa: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie” (Mt 5,3, w 2014 roku) i „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą” (Mt 5,8, w roku 2015).

Użyte w Ewangelii św. Mateusza słowo „makarioi” może nieco dziwić, ideę błogosławienia w Nowym Testamencie wyraża bowiem grupa słów pochodząca od rdzenia „eulog-”, tak więc „błogosławieni” po grecku brzmiałoby wszak raczej „eulogetoi”. Czasownik „eu-logeo” oznacza „pięknie przemawiać” i „dobrze o kimś mówić”, i z tych znaczeń wypływają dalsze: „chwalić, sławić, wielbić, uczyć”. Podobnie łacińskie „bene-dicere” oznacza „mówić o kimś dobrze, chwalić, dziękować, życzyć dobra, pozdrawiać, przyzywać łaskowości człowieka i Boga”. Tymi terminami oddawano hebrajskie słowa z rdzeniem „brk”, służące do określenia wszystkich form błogosławieństwa. W Starym Testamencie pojęcie błogosławieństwa należy do centralnych idei teologicznych i określane jest przez czasownik „barak”, rzeczownik „beraka” oraz przymiotnik „baruk”. Jako rzeczownik (błogosławieństwo) określa dar komuś ofiarowany, jako czasownik (błogosławić) jest określeniem akcji ofiarowania daru, użyty zaś jako przymiotnik (błogosławiony) stanowi określenie daru lub osoby otrzymującej go.

Najbardziej podstawowym i archaicznym znaczeniem rdzenia „brk” jawi się jednak idea samodzielnie działającej, zbawczej i uzdrawiającej mocy, stanowiącej przeciwwagę dla niszczącej siły przekleństwa. Błogosławieństwo to dar pełni zbawczej mocy, zapewniający skuteczność wszelkich

przedsięwzięć, przekazywany poprzez słowa i gesty. Podobne znaczenie, często wręcz synonimiczne, ma hebrajski rdzeń „aszar”, oznaczający „czynić postępy w drodze” i w konsekwencji tego „być szczęśliwym”. „Makarioi”, słowo występujące w „Ośmiu Błogosławieństwach”, tłumaczone jako „błogosławieni”, można więc odnieść raczej do hebrajskiego „aszre”. „Makarioi” oznacza dosłownie „szczęśliwi”. Przymiotnik „makar” odnoszony był

BŁOGOSŁAWIONY TO CZŁOWIEK
SZCZĘŚLIWY SZCZĘŚCIEM DZIELONYM
Z SAMYM BOGIEM, DLA CZŁOWIEKA CZĘSTO
TRUDNYM I NIEPOJĘTYM, JAK NIEPOJĘTYM
JEST DLA NAS BÓG. I PROSTYM ZARAZEM,
PROSTOTĄ BOGA, W KTÓREJ TKWI
NIEZWYKŁA MOC I DOSKONAŁOŚĆ.

w starożytności do bogów, którym właściwa jest wieczna szczęśliwość, dlatego też w łacinie przetłumaczono go jako „beatus”, „szczęśliwy”, w połączeniu z rzeczownikiem zaś – jako „błogosławiony, święty”. Błogosławiony to człowiek szczęśliwy szczęściem dzielonym z samym Bogiem, dla człowieka często trudnym i niepojętym, jak niepojętym jest dla nas Bóg. I prostym zarazem, prostotą Boga, w której tkwi niezwykła moc i doskonałość.

Papież Franciszek pragnie zwrócić uwagę, nie tylko ludzi młodych, na to, jak ważne są błogosławieństwa w życiu każdego człowieka, jak wielką mają moc w kształtowaniu postawy przybliżającej do Królestwa Niebieskiego. Do szczęścia. Błogosławieństwa są bowiem Bożymi obietnicami, drogowskazami wskazującymi nam drogę do Niego samego. ■

Bezpieczeństwo Polski to nie tylko technologie, wojsko i polityka. To także fundamentalna wartość egzystencjalna, umożliwiająca trwanie i rozwój państwu oraz narodowi polskiemu. Jej realizacja została powierzona instytucjom politycznym i administracyjnym, a także przemysłowi, który – skonsolidowany w ramach Polskiej Grupy Zbrojeniowej – w zapewnieniu krajowi bezpieczeństwa odgrywa rolę szczególną.

W opinii publicznej panuje jednostronny obraz tych niezwykle ważnych dziedzin, jakimi są obronność i bezpieczeństwo. Funkcjonujący w debacie medialnej dyskurs o bezpieczeństwie narodowym zdominowany został przez przedstawicieli armii, wykładowców akademickich, specjalistów od stosunków międzynarodowych, w końcu także przez polityków. To wszystko może sprawiać wrażenie, że techniczna dyskusja o bezpieczeństwie jest rozmową o sprawach abstrakcyjnych, niemających wpływu na codzienne życie Polaków. Tymczasem głosy składające się na tę debatę dotyczą spraw dla Polaków fundamentalnych, podstawowych. Tylko o czym tak naprawdę mówimy, kiedy dyskutujemy o bezpieczeństwie?

► Warunek samorealizacji

Na gruncie współczesnej teorii bezpieczeństwa mówi się o co najmniej trzech jego aspektach. W znaczeniu podmiotowym wyróżnia się bezpieczeństwo narodowe, czyli danego państwa, a także międzynarodowe – w skali globalnej lub regionalnej. Z tego punktu widzenia bezpieczeństwo definiowane jest jako stan spokoju, pewności, wolności od zagrożeń i strachu. Z kolei w sensie przedmiotowym ujmuje się bezpieczeństwo jako tworzenie warunków do zachowania własnej tożsamości i aktywności oraz autonomii w środowisku międzynarodowym. W tej perspektywie przez bezpieczeństwo rozumie się pewien proces, nieustanną działalność osób, społeczeństw lokalnych, państw i organizacji międzynarodowych na rzecz pokoju. Jest jednak i trzecia perspektywa, w zasadzie nieobecna w publicznej debacie o obronności. Eksponuje się w niej egzystencjalny aspekt bezpieczeństwa, które interpretuje się jako podstawową potrzebę i jednocześnie naczelną wartość. Bezpieczeństwo umożliwia samorealizację osób i społeczeństw.

Bezpieczeństwo jest bowiem wartością. I właśnie przyjęcie tego stwierdzenia do wiadomości oznacza modyfikację dyskursu, a także domaga się zmiany perspektywy eksponującej technologiczne, militar-



Źródło: Janusz WALCZAK

ne, strategiczne i polityczne aspekty zagadnienia na perspektywę aksjologiczną. Spojrzenie na dzieje ludzkiej myśli przez pryzmat bezpieczeństwa jako wartości umożliwia wydobyć z niej pewnych twierdzeń o charakterze rudymenarnym. Bo powiedzieć, że bezpieczeństwo jest wartością, to zbyt mało; mowa bowiem o wartości podstawowej. Dobrze zdawali sobie z tego sprawę filozofowie wszystkich epok, od starożytności po czasy współczesne.

► Bezpieczeństwo wartością fundamentalną

Bezpieczeństwo – zarówno z punktu widzenia pojedynczej osoby (tzw. bezpieczeństwo personal-

Bezpieczeństwo kraju wartością podstawową



ne), jak i dla wspólnoty narodowej (tzw. bezpieczeństwo strukturalne) – stanowi wartość o szczególnym statusie, ponieważ jest warunkiem możliwości realizacji wszystkich pozostałych wartości. Zależnie od kontekstu filozoficzno-historycznego zagadnienie bezpieczeństwa interpretowane było rozmaicie. Niektórzy myśliciele rozumieli je jako stan pożądany, ale niemożliwy do osiągnięcia w perspektywie globalnej. Filozofowie chrześcijańscy w bezpieczeństwie i pokoju widzieli Bożą łaskę i oznakę błogosławieństwa. Autorzy epoki oświecenia, którzy stworzyli ideowe fundamenty rewolucji francuskiej, bezpieczeństwo rozumieli jako umowny stan rzeczy wytworzony w celu rozwoju społeczeństwa, wielu

filozofów współczesnych podkreśla zaś, że bezpieczeństwo w skali globalnej to konieczny punkt dojścia procesu rozwoju cywilizacji. Niemal wszyscy myśliciele oraz teoretycy państwa i obronności są zgodni co do jednego: bezpieczeństwo należy do wartości podstawowych, stanowi warunek rozwoju pojedynczych osób i wspólnot ludzkich, a tym samym powstawania innych wartości – moralnych, naukowych, kulturowych, estetycznych itd. Z drugiej zaś strony, autorzy w zasadzie jednogłośnie smutno konstatują, że choć niewątpliwie bezpieczeństwo jest wartością podstawową, to jednak wciąż stanowi tylko tzw. ideę regulatywną (ideał, do którego bezwzględnie należy dążyć), ponieważ jeszcze

w żadnym momencie historycznym wartość ta nie została w pełni zrealizowana. Co więcej, jej realizacja nie jest możliwa poprzez wysiłek pojedynczych osób rozumianych jako społeczne atomy. Stąd też zapewnienie wspólnocie osób bezpieczeństwa oraz dbanie o ład i porządek społeczny uznawane jest za kardynalne zadanie struktury politycznej, czyli państwa.

► Szczególna rola przemysłu obronnego

Współczesne państwa dążą do zapewnienia bezpieczeństwa narodowego poprzez szereg przeznaczonych do tego instytucji i organów. I nie chodzi przy tym tylko o utrzymywanie sił zbrojnych, lecz także o specjalnie do tego przeznaczone urzędy, instytucje czy wreszcie przemysł zbrojeniowy. Przekonanie o wszechświatowej roli przemysłu obronnego w realizacji przez państwo podstawowej wartości, czyli zapew-

potencjału obronnego naszego kraju stanowi Plan Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych RP na lata 2013–2022 (PMT). PMT jest jednocześnie wyzwaniem, niezwykle trudnym i wymagającym strukturalnych rozwiązań ze strony państwa. Z kolei to przekonanie znalazło wyraz chociażby w opublikowanym w kwietniu tego roku raporcie Narodowego Centrum Studiów Strategicznych pt. „Bezpieczeństwo i konkurencyjność – rekomendacje dotyczące strategii przemysłowo-obronnej RP”. Zdaniem autorów raportu, konieczne jest określenie priorytetów polskiego przemysłu zbrojeniowego w perspektywie wieloletniej, a także wspieranie polskiej myśli technicznej oraz promowanie krajowych wyrobów na rynku globalnym. Ekspert z NCSS skonstatowali, że zapewnienie Polsce bezpieczeństwa wymaga dokonania skoku technologicznego w przemyśle zbrojeniowym, przede wszystkim zaś poszerzenia jego kompetencji produkcyjnych.

NIEMAL WSZYSTYCY MYŚLICIELE ORAZ TEORETYCY PAŃSTWA I OBRONNOŚCI SĄ ZGODNI CO DO JEDNEGO: BEZPIECZEŃSTWO JEST WARTOŚCIĄ ABSOLUTNĄ, NIEPODLEGAJĄCĄ JAKIEJKOLWIEK PRÓBIE RELATYWIZACJI, STANOWIĄCĄ WARUNEK ROZWOJU POJEDYŃCZYCH OSÓB I WSPÓLNOT LUDZKICH, A TYM SAMYM POWSTAWANIA INNYCH WARTOŚCI – MORALNYCH, NAUKOWYCH, KULTUROWYCH, ESTETYCZNYCH ITD.

nienia terytorium i ludności bezpieczeństwa, na gruncie polskim zostało wyartykułowane w dokumentach strategicznych. I tak w aktualnie obowiązującej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego z 2014 r. znalazła się m.in. konstatacja, że przemysł zbrojeniowy jest nie tylko podstawowym elementem systemu bezpieczeństwa narodowego, lecz także „kluczowym czynnikiem budowania dobrobytu i mocnej pozycji Polski na arenie międzynarodowej”. W Strategii Bezpieczeństwa Narodowego podkreślono też, że odpowiednie funkcjonowanie bazy naukowo-przemysłowej jest podstawą skutecznych działań obronnych oraz efektywnego reagowania na zagrożenia dla niepodległości i nienaruszalności terytorialnej Rzeczypospolitej Polskiej.

► Wojsko zmodernizowane przez polski przemysł

W obliczu współczesnych zagrożeń zapewnienie bezpieczeństwa Polakom wymaga intensywnych działań ze strony państwa, z których wiele powinno być podejmowanych na gruncie przemysłu zbrojeniowego. Obiecującą perspektywę wzmocnienia

Autorzy dokumentu podkreślili również, że PMT, w ramach którego nakłady mają wynieść około 130 mld zł, jest szansą na znaczące podniesienie potencjału przemysłu zbrojeniowego. Jednakże żeby wspomniany skok technologiczny mógł zostać zrealizowany, konieczne jest, by polski przemysł miał jak największy udział w modernizacji wojska. „Przeprowadzenie modernizacji technicznej sił zbrojnych w maksymalnym stopniu siłami krajowego przemysłu i nauki pozwoli na opracowanie i wdrożenie do przemysłu wysokich technologii. Zaowocuje to rzeczywistym wzrostem innowacyjności, który dotyczyć będzie również produkcji cywilnej. Podniesie to jakość prac naukowych oraz zapewni ich wdrażanie do gospodarki naszego kraju” – czytamy w raporcie NCSS.

► Cztery kluczowe przedsięwzięcia

Jak stwierdzili autorzy raportu, szczególną rolę do odegrania ma w tym procesie Polska Grupa Zbrojeniowa, czyli obecnie największy koncern obronny w Europie Środkowo-Wschodniej. PGZ już w tej

chwili skupia ponad 60 spółek zbrojeniowych i zatrudnia około 17 tys. osób. To gigantyczny potencjał, który powinien zostać wykorzystany nie tylko do zapewnienia polskim siłom zbrojnym wyposażenia, lecz także do tego, żeby przemysł skonsolidowany w ramach Polskiej Grupy Zbrojeniowej stał się kołem zamachowym krajowej gospodarki.

Wypełnienie opisanych powyżej postulatów zawartych w Strategii Bezpieczeństwa Narodowego oraz raporcie NCSS wiąże się z kilkoma zadaniami, które stoją przed Zarządem Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Konieczne jest sfinalizowanie konsolidacji przemysłu zbrojeniowego, żeby stanowił on zwartą strukturę zdolną do realizacji dużych zamówień dla polskiego wojska, a także do współpracy wewnętrznej. Po drugie, istotne jest włączenie w rozwój sektora obronnego instytucji naukowych i badawczych. Trzecim zadaniem, które w najbliższych latach będzie musiała zrealizować PGZ, jest rozwój wysokich tech-

kańskim Boeingiem i norweskim Kongsbergiem. Prezes Zarządu PGZ podkreśla również, że Grupa jest nastawiona na globalną kooperację z całym przemysłem w skali marko. Koncern obronny będzie rozwijać produkcję przeznaczoną na rynek cywilny, choć aktualnie priorytetem pozostaje dla niej pozyskiwanie i realizacja zamówień dla polskiego wojska w ramach PMT. Pierwszy krok w tę stronę już został wykonany – choć w poprzednich latach udział polskiego przemysłu obronnego w modernizacji sił zbrojnych był realnie zagrożony, to jednak w chwili obecnej, jak deklaruje Prezes Zarządu PGZ Arkadiusz Siwko, sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Jedno z najważniejszych dokonań Polskiej Grupy Zbrojeniowej to zabezpieczenie udziału krajowego sektora obronnego w procesie modernizacji polskiej armii. I właśnie ten fakt z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa polskiego i Polaków ma istotne znaczenie. Oznacza bowiem zdecydowany

JEDNO Z NAJWAŻNIEJSZYCH DOKONAŃ POLSKIEJ GRUPY ZBROJENIOWEJ TO ZABEZPIECZENIE UDZIAŁU KRAJOWEGO SEKTORA OBRONNEGO W PROCESIE MODERNIZACJI POLSKIEJ ARMII.

I WŁAŚNIE TEN FAKT Z PUNKTU WIDZENIA BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWA POLSKIEGO I POLAKÓW MA ISTOTNE ZNACZENIE. OZNACZA BOWIEM ZDECYDOWANY RUCH KU REALIZACJI WARTOŚCI PODSTAWOWEJ, JAKĄ JEST BEZPIECZEŃSTWO POLSKI.

nologii, wytworzenie innowacyjnych produktów, a także wyposażenie krajowych zakładów w możliwość produkowania sprzętu i komponentów na rynek cywilny. Rozwój eksportu i ekspansja polskiego sektora obronnego na rynki zagraniczne – to czwarte zadanie.

► Nie będzie prywatyzacji zbrojeniówki

Wszystkie wymienione założenia już teraz znajdują wyraz w działaniach podejmowanych przez Zarząd Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Co więcej, Prezes Zarządu PGZ Arkadiusz Siwko deklaruje, że spółka nie będzie zamykać żadnego z istniejących zakładów zbrojeniowych i że nie ma planów dotyczących prywatyzacji sektora. Polska Grupa Zbrojeniowa zamierza znacząco poszerzać swoje kompetencje przemysłowe. Stąd też nastawia się na współpracę z globalnymi koncernami zbrojeniowymi oraz na transfer technologii i ich implementację do krajowych zakładów. Przykładem takich działań jest chociażby podpisanie przez Polską Grupę Zbrojeniową listów intencyjnych z gigantami zbrojeniowymi: amery-

ruch ku realizacji wartości podstawowej, jaką jest bezpieczeństwo Polski.

To zadanie odpowiedzialne, a zarazem trudne. Jednakże zarząd Polskiej Grupy Zbrojeniowej zdaje sobie sprawę z powagi tej sytuacji. Dlatego też w zaktualizowanej strategii Grupy za główny cel koncernu uznano zapewnienie państwu polskiemu bezpieczeństwa, czyli realizację podstawowej wartości o znaczeniu egzystencjalnym dla Polaków i państwa polskiego. I właśnie z tej perspektywy Polska Grupa Zbrojeniowa jawi się nie tylko jako organizacja o potencjale technologicznym, militarnym czy gospodarczym, lecz także – choć wymienione aspekty są niewątpliwie istotne – jako gwarant zabezpieczenia elementarnej wartości, a tym samym jeden z filarów rozwoju państwa we wszystkich pozostałych aspektach. Dlatego od sukcesu Polskiej Grupy Zbrojeniowej – która stanowi jeden z podmiotów odpowiedzialnych za zapewnienie Polsce bezpieczeństwa – zależy o wiele więcej niż to, jaki sprzęt trafi do polskiej armii. ■

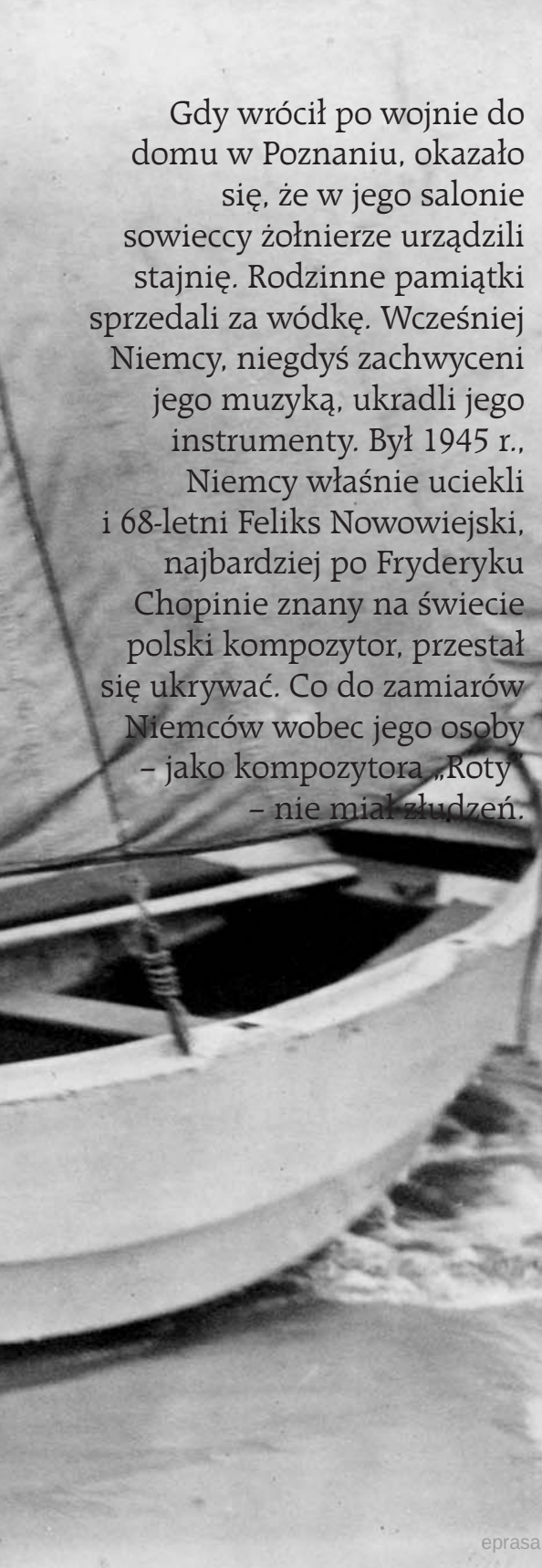
Artykuł przygotowany przez redakcję przy współpracy z PGZ S.A.



Piotr Lisiewicz

Tańczył na pięciolinii swego życia





Gdy wrócił po wojnie do domu w Poznaniu, okazało się, że w jego salonie sowieccy żołnierze urządzili stajnię. Rodzinne pamiątki sprzedali za wódkę. Wcześniej Niemcy, niegdyś zachwyceni jego muzyką, ukradli jego instrumenty. Był 1945 r., Niemcy właśnie uciekli i 68-letni Feliks Nowowiejski, najbardziej po Fryderyku Chopinie znany na świecie polski kompozytor, przestał się ukrywać. Co do zamiarów Niemców wobec jego osoby – jako kompozytora „Roty – nie miał złudzeń.

Mieło prawie ćwierćwiecze od czasu, gdy jako pierwszy Polak w historii dyrygował w nowojorskiej Carnegie Hall. Parę lat wcześniej królowa Holandii Wilhelmina nałożyła ma na głowę złoty wieniec Nerona. A zaledwie dziesięć lat wcześniej papież Pius XI zachwycony jego kompozycjami przyznał mu tytuł szambelana papieskiego.

Wszystko to straciło jakiekolwiek znaczenie. Wobec milionów trupów i starcia światowych mocarstw jakie znaczenie mogło mieć życie starego kompozytora z przegranej Polski?

► „Pierze pięściami i nogami po klawiszach”

„Jakiś wariat! Gra na organach i pierze pięściami i nogami po klawiszach, jeszcze całe organy rozburzy!” – z taką przerażającą wieścią przybiegli do księdza proboszcza górale, którzy zobaczyli Feliksa Nowowiejskiego grającego w ich kościele.

„Trzeba było bowiem widzieć Nowowiejskiego grającego na organach czy na fortepianie! Muzyka ponościła go, uderzała mu w rozwidrzoną głowę jak najszlachetniejsze czerwone wino i porwany inwencją twórczą podnosił wysoko dłonie i tłukł paluchami po klawiszach, muzyka zaś głębiała się na kształt rozpętanego stubarwnego furioso!” – opisuje podobny widok Zbigniew Kozub w książce „Feliks Nowowiejski”.

Gdy zapytano Artura Marię Swinarskiego, dlaczego malarz Henryk Smuczyński malując siedzibę poznańskiego Klubu Szyderców, pominął postać bywającego tam Feliksa Nowowiejskiego, ten odpowiedział: „Henio malował ludzi, a nie anioły. Nowowiejski jest jakby czysty duch, jakby pomnik, jego można postawić co najwyżej na ołtarzu, a nie pomiędzy nam, wieprzami...”.

► Legenda Bałtyku i świątynia Światowida

„Noc. Dzikie wybrzeże Bałtyku obok świątyni Światowida. Na prawo skały, wśród których pnie się ścieżka, prowadząca do chramu Światowida, zbudowanego z drzewa i gładów. Przy wejściu, pod ochroną skał, na podwyższeniu posąg bogini miłości Dziedzili, owity polskim kwieciem. Na lewo potężny dąb święty, w rozwidleniu konarów olbrzymi posąg Peruna z groźną twarzą i gorejącymi czerwono oczyma, z podniesioną prawicą, która grom dzierży. U stóp posagu ołtarz kamienny. Pośrodku, niżej, między sosnami, młodzież wznosi stos na święto Sobótki, które ku czci słońca obchodzić będzie dzisiaj, w Kupały noc, najkrótszą w roku. Za dębem gęsty, olbrzymi bór odwieczny, w głębi wzburzone morze z białymi grzywami pian” – tak roz-

poczyna się jeden z aktów opery „Legenda Bałtyku” Feliksa Nowowiejskiego.

Opera powstała w 1924 r. i tworzyła tożsamość nowej, niepodległej Polski, mającej dostęp do morza. Najbardziej znanym fragmentem opery była aria Domana „Czy ty mnie kochasz, o dziewczyno”. Na świecie rozślawił ją polski śpiewak Jan Kiepura.

Opera ta to opowieść o młodzieńczej miłości. Dwóch rywali stara się o rękę Bogny, córki Mestwina, bogatego kmiecia, władcy rolników i rybaków. Ojciec sprzyja kupcowi Luborowi, ale dziewczyna kocha Domana, biednego rybaka i żeglarza. Lubor posuwa się do najgorszych niegodziwości, by ją zdobyć.

Ojciec Bogny wysyła Domana po pierścień Juraty, legendarnej władczyni zatopionego miasta Winety. Młodzieńcowi udaje się go zdobyć, dzięki czemu zdobywa rękę ukochanej, a swemu ludowi zapewnia władzę nad Bałtykiem.

► „Nawet konie chwalą twoje imię”

Feliks Nowowiejski urodził się 7 lutego 1877 r. w Wartemborku, czyli obecnym Barczewie na Warmii. „Dom Nowowiejskich w Barczewie zachowywał z dziada pradziada polski charakter. Rodzice kompozytora korespondowali w okresie narzeczeństwa w języku polskim, w podobnym duchu wychowywali również swoje dzieci” – pisze Jan Boehm, biograf kompozytora, w książce „Feliks Nowowiejski, artysta i wychowawca”.

Dziadek chłopca miał pracownię krawiecką i sklep tekstylny. Jak wspominało w rodzinie, szył on polskie sztandary w czasie powstania styczniowego.

Matka Katarzyna śpiewała jedenaściorgu swoich dzieci polskie pieśni. Jak pisze Kozub, ksiądz-germanizator w czasie egzaminu przedślubnego kazał jej, jako pannie młodej, przetłumaczyć zdanie: „Es werde dein Name gelobt” („Niech będzie pochwalone twoje imię”). Stremowana przyszła żona przez chwilę się zastanawiała, by w końcu przetłumaczyć: „Nawet konie chwalą twoje imię”. Pomyliły jej się bowiem niemieckie słowa „werde” i „pferde”. Ojciec Franciszek, także z zawodu krawiec, kochał książki i pracował na rzecz polskiego Towarzystwa Czytelni Ludowych.

Mały Feliks chodził przez sześć lat do szkoły muzycznej w Świętej Lipce. W szkole nie wolno było mówić po polsku, a jeśli donosił doniosły o takim wybruku jej władzom, uczniowi groziło usunięcie z placówki.

Gdy Feliks miał 17 lat, jego ojciec padł ofiarą oszusta i zbankrutował. Według jednej z wersji był to efekt niemieckich represji. 17-latek zaciągnął się więc do olsztyńskiego pułku grenadierów, by zarobić na utrzymanie rodziców i rodzeństwa. Pracował w orkiestrze wojskowej. „Dorabiał prywatnymi lekcjami i koncertami u miejscowych miłośników mu-

zyki. Jeszcze wtedy punktualnością nie grzeszył. Nierzadkie były sytuacje, gdy orkiestra rano już czekała na mustrze, gdy zaspany muzyk wybiegał z domu z jednym butem na nodze, a drugim w rękę” – pisze Kozub.

► Prezydent Ameryki zachwycony „Quo vadis”

W 1898 r., mając 21 lat, dostał od stowarzyszenia The British Musician w Londynie nagrodę za młodzieńczą kompozycję „Pod sztandarem pokoju”. Jest ona do dziś w repertuarze wielu wojskowych orkiestr na świecie.

Dzięki tej nagrodzie mógł podjąć studia w Konserwatorium Juliusza Sterna w Berlinie. Potem kontynuował naukę w Szkole Muzyki Kościelnej w Ratybonie, gdzie odbył kurs z zakresu chorału gregoriańskiego i polifonii, a także w Akademickiej Szkole Mistrzów Maxa Brucha w Berlinie (w latach 1900–1906) oraz na Uniwersytecie Berlińskim, gdzie studiował muzykologię i estetykę.

W 1902 r. otrzymał Nagrodę im. Giacomo Meyerbeera – Prix de Rome – za oratorium „Powrót syna marnotrawnego”. Dzięki niej mógł sobie pozwolić na odbycie dwuletniej podróży artystycznej po Europie. W jej czasie poznał wielu spośród najwybitniejszych twórców muzyki tego okresu, m.in. Gustawa Mahlera, z którym przez wiele lat korespondował. Zaś w Pradze paru lekcji udzielił mu sam Antoni Dwořak, który zachęcał go do większego zainteresowania się muzyką ludową.

W 1903 r. w Rzymie stworzył swoje najsłynniejsze dzieło, czyli oratorium „Quo vadis”, nawiązujące do powieści Henryka Sienkiewicza. Jego premiera odbyła się w 1907 r. w Czechach. Dwa lata później „Quo vadis” zrobiło furorę w Amsterdamie, gdzie królowa Wilhelmina założyła Nowowiejskiemu na głowę pozłacany wieniec Nerona.

Odtąd utwór grano w salach koncertowych na całym świecie. W 1912 r. Quo vadis obejrzeni w Carnegie Hall prezydent Stanów Zjednoczonych William Taft, kardynał John Murphy Farley i cała artystyczna śmietanka Ameryki.

Był pierwszym Polakiem, który tu dyrygował. „Nowowiejski dyrygował w płomiennym natchnieniu”. „Jest to dzieło potężne i wykaże się niewątpliwie jako jedno z najoryginalniejszych i najlepszych koncepcji muzycznych od czasów Ryszarda Wagnera. Ujarmia wprost swoją siłą muzyczną” – pisała amerykańska prasa.

„Quo Vadis” słyszą milionowe miasta – Filadelfia i Boston, Baltimore, St. Louis, Toronto, Indianapolis (gdzie publiczność na stojąco wysłuchuje finałowej fugi), San Francisco z okazji Wystawy Światowej. Dzieło

dotarło nawet do Brazylii. Do roku 1939 było około 200 wykonń na obu półkulach” – pisze Zbigniew Kozub.

Problemy z „Quo vadis” pojawiły się tylko w Prusach. „Niemcy, szczególnie Prusacy, zaczęli wycofywać koncerty, wykonania dzieł Ojca. Bojkotowali wykonanie »Quo vadis« dlatego, że na rzecz Polonii koncertował” – wspominał Jan Nowowiejski.

► Ślub z uczennicą

W 1909 r. kompozytor przeniósł się do Krakowa, gdzie został dyrektorem artystycznym Towarzystwa Muzycznego. Pracował tam jako dyrygent, organista i pedagog.

W Krakowie poznał swoją przyszłą żonę Elżbietę, która była jego uczennicą. „Była uczennicą konserwatorium i tak się poznali z Ojcem. Tak, Feliks się ożenił ze swoją uczennicą. Ojciec był dużo starszy, ludzie na ulicy pytali się: »To Pana córka czy żona?«” – wspominał w książce „Ojciec-Anioł” Jan Nowowiejski.

Zrezygnowała ona z własnej kariery pianistycznej, by zająć się domem, wychowaniem piątki dzieci i organizowaniem pracy dość roztargnionego męża. „Jak była pogoda, to wychodził z parasolem, jak padał deszcz, to bez parasola. Buty od pary to już na pewno. Ale najgorsze, z czym walczyła od początku do końca, było to, że jak wchodził na scenę i kłaniał się publiczności, to sprawdzał, czy ma zapięte spodnie” – mówiła Janina Nowowiejska, jego synowa, w książce „Ojciec-Anioł”.

Szczytem owego roztargnienia było spóźnienie... na własny ślub, przez co popłakały się zarówno panna młoda, jak i jej matka.

► Wre mazurska krew

W Krakowie Nowowiejski skomponował muzykę do wiersza Marii Konopnickiej „Rota”. Pieśń ta miała stać się drugim hymnem Polski. Po raz pierwszy wykonana została ona w Krakowie, w 500. rocznicę bitwy pod Grunwaldem, w czasie uroczystości odsłonięcia Pomnika Grunwaldzkiego. Wzięły w tym udział wszystkie chóry Krakowa, którymi dyrygował sam kompozytor.

Wybuch I wojny światowej zastał Nowowiejskiego w niemieckim Svinoujściu, gdzie ktoś doniósł na policję, że jest on... Rosjaninem. Przesiedział dwie doby w areszcie, zanim ustalono, że jednak jest poddanym króla Prus. Jako takiego skierowano go do komisji poborowej w Berlinie. Tam – jak opisywał jego syn Kazimierz – doszło do niecodziennego dialogu kompozytora z lekarzem.

– Nazwisko? – Nowowiejski. – Imię? – Feliks. – Zawód? – Kompozytor. Nastąpiła pauza. Lekarz przyglądał się ciekawie. – A co takiego pan skomponował? – Ora-

torium „Quo Vadis”. – Ależ panie – lekarz zniżył głos. – Ja to śpiewałem jako bas w chórze lipskim... Znów przerwał, przypatrując się muzykowi, którego twarz wyrażała niemą prośbę. – Tak, tak, pan jest poważnie chory. Ja to widzę... Zaczął fachowo obmacywać delikwenta. – Zwolniony z frontu na miesiąc... – szeptem: inaczej w tej chwili nie mogłem, potem zrobimy prolongatę...

Po wojnie Nowowiejskiego jako światowej sławy kompozytora chętnie gościli różne kraje świata, jednak on sam uznał, że jego miejsce jest w odrodzonej Polsce. Także żona namawiała go do podjęcia tej decyzji.

Gdy w 1920 r. organizowany był plebiscyt na Warmii i Mazurach, Nowowiejski z wielkim rozmachem przystąpił do agitacji za polskością tego regionu. „Nowowiejski walczył piórem kompozytorskim – hymnem »O Warmio moja miła« i »Marsylianką Mazurów«, »Szumi jezior śpiew – Wre mazurska krew«. Cóż to jednak znaczyło – wobec blasku 300 milionów marek wyasygnowanych przez niemiecki przemysł” – pisze Zbigniew Kozub.

► Bzy i jaśminy Sołacza

*Znad murów Częstochowy
Bogurodzicy wzrok.
Twey Pani i Królowej,
Twój każdy śledził krok.
I jej puklerzem zbrojna,
W jej upowita czar:
Szaś wielka i dostojna
Pod Chocim, Wiedeń, Bar*

– muzykę do tej pieśni Władysława Bełzy „O polski kraju święty” skomponował Nowowiejski. W Polsce „wielkiej i dostojnej” wybrał na swoje miasto Poznań. „Pośród wysokich drzew kasztanowych, gęstwy złotych forsycji, bżów i jaśminów Sołacza, kryje się Puchatkowo, jak niektórzy znajomi filuternie nazywają nasz dom, pelen »misiów«. Stawiali go rodzice w gorącym okresie Pewuki, czyli Powszechniej Wystawy Krajowej (1928–9)” – tak swój rodzinny dom opisywał syn Feliks, Kazimierz Nowowiejski, w książce „Pod Zielonym Pegazem”. Wcześniej Nowowiejscy mieszkali przy ulicy Wyspiańskiego, na trzecim piętrze secesyjnej kamienicy.

Dla uczczenia zwycięstwa powstania wielkopolskiego skomponował muzykę do „Marsylianki wielkopolskiej”. Popularność Nowowiejskiego w Poznaniu obrazuje anegdota, jak to poznańscy motorniczowie zatrzymywali tramwaje i gorąco zapraszali idącego piechotą kompozytora do środka.

Nie był to przypadek, bo Nowowiejski z wielkim szacunkiem odnosił się do zwykłych ludzi, w tym także

muzycznych amatorów. „Dyrygował takim chórem pięciusetosobowym, amatorskim. Zawsze z wielkim szacunkiem do amatorów się odnosił... Kto ma teraz taką postawę?” – pytała w książce „Ojciec-Anioł” Janina Nowowiejska.

Światowej sławy kompozytor pisał utwory dla wojska, choć także dla kolejarzy czy właśnie tramwajarzy. Kiedyś wojsko zapłaciło mu za jeden z utworów ziemniakami, kiedy indziej... wozem gnoju, który potrzebny był mu w ogrodzie.

W życiu Nowowiejskiego szczególną rolę odegrała działająca od 1927 r. poznańska rozgłośnia Polskiego Radia. „Cieszący się powszechnym uznaniem wirtuoz, doskonale oceniwszy ogromny potencjał nowego medium, już w pierwszych dniach istnienia Radia Poznań nawiązał z jego redakcją współpracę, kontynuowaną i rozwijaną aż do wybuchu wojny” – pisze Ireneusz Wyrrwa w książce „Problematyka wykonawstwa utworów organowych Feliksa Nowowiejskiego”.

Jak pisali jego synowie Feliks Maria i Kazimierz, rozgłośnia już po tygodniu istnienia wyemitowała koncert Nowowiejskiego: „Posiadał on nawet stały czas antenowy w tygodniowej ramówce tej rozgłośni [...] gra wirtuozka nierzadko uświetniała programy przybliżające słuchaczom specyfikę popularnych świąt obchodzonych na świecie: np. w rocznicę zburzenia Bastylli prezentował twórczość kompozytorów francuskich, a w amerykańskie Święto Dziękczynienia utwory powstałe za oceanem”.

W „Pod Zielonym Pegazem” Kazimierz opisywał, jak poznańskie mieszczaństwo starało się wspierać kulturę wysoką i się nią interesować. Oto niejaka Mary Kaczmarek chwali się: – Oglądałam także coś Kantora, głównego przedstawiciela grupy krakowskich onanistów!

Brat poprawia ją: – Może chciała pani powiedzieć onirystów?

– Ależ nie o to chodzi – odpowiada zgrymaszona.

W 1929 r. wielkim wydarzeniem w życiu Poznania i kompozytora była PeWuKa, czyli zorganizowana w dziesięciolecie niepodległości Powszechna Wystawa Krajowa. Feliks Nowowiejski dyrygował w jej trakcie chórem złożonym z 20 tys. śpiewaków na specjalnie na tę okazję zbudowanym stadionie Sokoła przy Drodze Dębińskiej. Chór śpiewał psalm „Ojczyzna, czyli Jeruzalem”: „Jeśli Cię zapomnę, Jeruzalem, ojczyzno moja, niech przyschnie język do podniebienia mego”.

Kilku dyrygentów przyjechało i jeden za drugim rzucał batutę i mówił, że jest to niemożliwe. A Ojciec wziął, jakby miał czarodziejską pałeczkę, i podyrygował” – wspomina Jan Nowowiejski w książce „Ojciec-Anioł”.

► Dziękujcie Bogu za talent, który otrzymałem

W 1935 r. Feliks Nowowiejski otrzymał Państwową Nagrodę Muzyczną Roku. Także w tym roku papież

Pius XI przyznał mu tytuł szambelana papieskiego za kompozycje religijne. Z kolei prezydent Ignacy Mościcki odznaczył go orderem Polonia Restituta.

Kompozytor był religijny, przyjaźnił się z ojcem Jackiem Woronieckim, filozofem. Zachowywał się książęcy do nabożeństwa z dedykacją „W prezencie Mistrzowi. Bóg i Ojczyzna”. Ze sceny, gdy go oklaskiwano, zwykł mówić: „Nie dziękujcie mnie, tylko Bogu za talent, który od niego otrzymałem”.

„Do pewnego stopnia uważaliśmy, że żył jak święty. Jego krewny został ogłoszony błogosławionym. To biskup męczennik, Antoni Julian Nowowiejski, biskup płocki” – mówił Jan Nowowiejski.

Dużo czasu poświęcał dzieciom. „Jak nie umiałem, mówił: »To, to coś kuleje ten utwór«, a potem, jak już umiałem, to się cieszył i chwalił mnie: »Teraz jesteście fifok«, to znaczy filut, fajny chłopak, bystry” – wspominał syn.

Czy wielkiemu artyście, mającemu na co dzień do czynienia z primadonnami, zdarzały się też typowe dla świata artystycznego grzeszki? „Mówiła mi [Mama – przyp. P.L.], że dużo razy różne życzliwe panusie donosiły, że Feliks ją zdradza. A ona odpowiadała ze stoickim spokojem, że go nie ubędzie. Mówiła, że miała mieszane uczucia, nie wierzyła w to, ale nie było jej przyjemnie słuchać takich rzeczy” – wspominała Janina Nowowiejska.

► Samoloty Luftwaffe nad Teatrem Wielkim

„Z otwartych okien Teatru Wielkiego wypływały fale dźwięków z motywami Peruna i słowiańskiej Wine ty, gdy nad Poznaniem ukazały się samoloty Luftwaffe [...] Dzwonek u drzwi nie przestaje alarmować. Wchodzi figury umundurowane z Wehrmachtu i urzędnicy niemieccy, oglądają mieszkanie i zabierają, co im się podoba [...] Jak było do przewidzenia, denuncjacja w gestapo już leży. Nawet dwie. Ojciec napisał »Rotę«. Zarzut najgroźniejszy!” – tak 1 września 1939 r. i kolejno dno wspominali Feliks Maria i Kazimierz Nowowiejscy.

Z kolei w „Pod Zielonym Pegazem” Kazimierz pisał: „Każdej chwili spodziewając się rewizji w mieszkaniu autora »Roty«, należało natychmiast ukryć wszystkie drukowane nuty o treści antyniemieckiej. Dwie rodzinne szpady wrzucamy do komina. Tam szczęśliwie nie odnalezione przetrwały okres okupacji... Stare porcelany, serwisy i srebra zakopujemy w piwnicy, gdzie przypadły na zawsze”.

Postanowili nie czekać, aż Niemcy podejmą decyzję o aresztowaniu ojca. Uciekli do Krakowa, gdzie kompozytor posługiwał się fałszywymi papierami na nazwisko Warmiński. Mieszkania zmieniali kilka razy. „Na krakowskim wygnaniu siedzimy przerażeni niby my-

szy pod miotłą. Ścigany przez gestapo jako współautor »Roty« stara się Nowowiejski, aby o nim zapomniano [...] W Krakowie, żyjąc z rodziną w warunkach skrajnej nędzy i w upokarzającym strachu przed pozbawionym racjonalnych podstaw aresztowaniem, Nowowiejski starał się koncentrować na twórczości” – pisali synowie. „Tańczył na pięciolinii swego życia” – tak o uporze i pracowitości napisze syn Jan. Wydarzenia te odbiły się mocno na zdrowiu niemłodego już kompozytora.

Gdy wrócili do Poznania, w swoim domu zastali sowieckich żołnierzy i widok opisany na początku. „Zrobili w piwnicach areszt domowy dla swoich. Oni z nudów wygrzebali te rzeczy, a potem za wódkę sprzedawali mieszkańcom okolicznym... z pierwszego piętra pijani Rosjanie skakali w dół, do ogrodu. Dla rozrywki” – wspominała Janina Nowowiejska.

W końcu Rosjanie opuścili dom. Feliks Nowowiejski był już bardzo chory, częściowo sparaliżowany. Były jeszcze spacer z synami istniejącą do dziś aleją kasztanową. W dniu śmierci kompozytora do domu Nowowiejskich przyszedł pomodlić się za niego prymas August Hlond. „No tak, życie wypaliło się jak płomień świecy” – powiedział.

Pogrzeb kompozytora był wielką manifestacją. Centrum Poznania, od ulicy Fredry do Starego Rynku, wyłączono z ruchu kołowego. W 20-stopniowym mrozie szły tłumy, na czele z samotulanami i bambami w strojach ludowych. Na Starym Rynku, będącym jeszcze w ruinie, tłum odśpiewał „Rotę”. Pogrzeb odbył się na cmentarzu przy kościele na Wzgórzu świętego Wojciecha, zwanym Poznańską Skalką.

► „Zdegenerowana muzyka poprzedniej epoki”

Nowe władze z sowieckiego nadania wzięły udział w pogrzebie, nad jego przebiegiem czuwała milicja. A potem... „Po tym wspaniałym pogrzebie zaległa cisza. Cóż, czasy nie sprzyjały, aby propagować muzykę w większości religijną. Jedynie rodzina zabiegała, aby postać i twórczość Nowowiejskiego nie poszła w zapomnienie” – mówił Jan Nowowiejski.

Jak pisze Ireneusz Wyrwa w książce „Problematyka wykonawcza utworów organowych Feliksa Nowowiejskiego”, „Od czci i wiary odsądzono zresztą nie tylko instrumentarium, lecz także »zdegenerowaną« muzykę poprzedniej epoki”.

Zmodernizowano także organy, pozbawiając je dawnego brzmienia. „Synowie kompozytora nieustannie podejmowali wysiłki, by zainteresować dorobkiem swego ojca wiodących polskich wirtuozów. Działania te jednak z góry skazane były na niepowodzenie, gdyż nacekione z rozmachem utwory obficie korzystające z możliwości brzmieniowych instrumentów symfonicznych, wykonywane na organach o diametralnie

odmiennej estetyce brzmieniowej i przy zastosowaniu obcej ich genezie praktyki wykonawczej, mimo najlepszych intencji interpretatorów brzmiały zupełnie nieprzekonująco” – pisze Wyrwa.

Kazimierz Nowowiejski, jeden z synów Feliksa, odnalazł się w rzeczywistości PRL, pisał do wychodzącej w państwie komunistycznym prasy, będąc przez dziesięciolecia muzycznym recenzentem „Głosu Wielkopolskiego”. Zabiegał o to, by Polacy mieli kontakt z muzyką ojca, jednak Ireneusz Wyrwa ocenia te starania krytycznie: „Nie rozwiązała problemu nawet uległa postawa Kazimierza Nowowiejskiego, który najwyraźniej dał wiarę opiniom, że jakoby powodem małej atrakcyjności utworów jego ojca były ich rozmiary i dokonał w nich bardzo wielu skrótów i modyfikacji. Wprawdzie udało się doprowadzić do publicznych wykonań wybranych kompozycji organowych, ale nagrania z tamtych lat stanowią niezbitą dowód, iż przesyłane organistom materiały nutowe nierzadko tak dalece odbiegały od oryginału, iż właściwie należałoby poddać w wątpliwość autorstwo Feliksa Nowowiejskiego”.

zupełnie nie zaakceptowała komunizmu wdowa po kompozytorze, o czym informację przemycił sam Kazimierz w „Pod Zielonym Pegazem”: „Niestety! Mamie trudno było przystosować się do czasów nowszych. Mogła śmiało za Marylę Wolską powtórzyć wiersz:

*Dalekam od mej doby,
O tysiąc mil daleka.
Z dni dawnych same groby,
Dni nowych nie doczekam...*

► Sejm: zawsze stał po stronie polskości

Od kilku miesięcy w Radiu Merkury decyzją jego nowego prezesa Filipa Rdesińskiego, codziennie o północy rozbrzmiewa „Rota”. Zdaje się, że kompozytor nie potrafił wyobrazić sobie czasów, w których lokalny oddział „Gazety Wyborczej” uzna jej słowa za kontrowersyjne.

W tym roku mija 70. rocznica śmierci kompozytora i dlatego Sejm ogłosił 2016 r. jego rokiem. „Sejm ustanawia Feliksa Nowowiejskiego patronem 2016 r. w przekonaniu o szczególnym znaczeniu dorobku tego wybitnego kompozytora, dyrygenta, pedagoga, organisty wirtuoza, organizatora życia muzycznego i szambelana papieskiego [...] W niepodległej Polsce brał czynny udział w tworzeniu i organizowaniu życia artystycznego. [...] Jego dorobek wywarł wpływ na kulturę muzyczną całego świata, a w szczególności Polski. Artysta zawsze stał po stronie polskości i polskiej kultury” – ogłosił polski parlament. ■

Dariusz Jarosiński



Romantycy znad Narwi

Nadal słabo zbadana i opracowana jest przez historyków działalność młodzieżowych ostrołęckich grup antykomunistycznych. Warto na pewno więcej uwagi poświęcić tamtejszym młodym Wyklętym. Zastanawiającą rzeczą jest jednak, jak wielu z nich inspirowała do działania literatura romantyczna, twórczość Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Cypriana Kamila Norwida. Oni przesłania naszych wieszczów narodowych traktowali bardzo serio.

1



WOstrołęce powstaje pierwsze w Polsce Muzeum Żołnierzy Wyklętych. Jego otwarcie zaplanowano na 1 marca 2018 r., czyli w dniu Święta Niezłomnych. Na początku marca tego roku wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński i prezydent Ostrołęki Janusz Kotowski podpisali umowę o współprowadzeniu placówki.

Nie bez powodu muzeum powstaje właśnie w Ostrołęce – zarówno w tym mieście, jak i w najbliższym regionie, zamieszkałym przez Kurpiów, istniało niezwykle silne podziemie antykomunistyczne. Ostatnie grupy zbrojne działały tutaj jeszcze na początku lat 50. W wielu wiejskich zagrodach nawet do niedawna przechowywana była broń służąca do walki z komunistami. Na siedzibę placówki adaptowany jest budynek byłego aresztu Urzędu Bezpieczeństwa, w którym w latach 40. i 50. torturowano, mordowano Żołnierzy Wyklętych z różnych formacji – Armii Krajowej, Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, Narodowych Sił Zbrojnych, Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, a także młodzieżowych grup antykomunistycznych.

► Umiłowanie wolności jest w nich

Trudno znaleźć w Rzeczypospolitej drugą taką społeczność przywiązaną do wolności, religii i tradycji jak Kurpie, którzy w puszczańskich kniejach północnego Mazowsza znaleźli swoją ostoję. Kurpie nie odrabiali pańszczyzny, a na podstawie królewskich przywilejów zajmowali się bartnictwem, rybołówstwem, myślistwem. Za wolne życie w puszczy płacili królowi daniny w miodzie i skórach, posiadali broń i należeli do nieprzeciętnych strzelców. Jako że ziemia na Kurpiach jest licha, „łaski, piaski i karaski”, słabe rodzi plony, trudno więc było utrzymać Kurpiowi rodzinę z niewielkiego płachetka piaszczystej gleby. Mieszkańcy Kurpiowszczyzny musieli więc imać się różnych zajęć – trudnili się ślusarstwem, wypalaniem węgla drzewnego, wyrobem smoły. Do dzisiaj słyną z niepospolitych umiejętności, przekazywanych z pokolenia na pokolenie, różnorodnego rzemiosła: obróbki drewna, szczególnie ciesielstwa, rzemiosła artystycznego. Wnętrza kurpiowskich chat były ubogie, za to pięknie przystrojone papierowymi, słomianymi ozdobami. W każdej chacie stało krosno, na którym kobiety tkły nie tylko tkaniny użytkowe, lecz także ozdobne kilimy.



1. Panorama Ostrołęki. Okres powojenny
2. Zbigniew Żerański. Zdjęcie współczesne
3. Alfred Markowski. Zdjęcie z lat 90.

Tradycja ojców, dziadów to dla Kurpiów rzecz święta. Jeszcze dzisiaj do kościoła w niedzielę i święta chodzą w strojach ludowych. Znani są też nie tylko z umiłowania wolności, lecz także z gościnności i niespychanego w innych regionach Polski uporu, wręcz zawziętości. Nie było dobrej wiejskiej zabawy, która nie zakończyłaby się bójką. Po hulance trzeba było uzupełniać sztachety w płotach.

Mieszkańcy Kurpiowszczyzny, zarówno drobna szlachta, jak i prości wieśniacy, dzielnie stawiali przeciwko każdemu najeźdźcy, który zagrażał Rzeczypospolitej. Przykłady ich patriotyzmu można by wymieniać bez końca. Szwedzkie wojska Karola XII podążające w 1708 r. do Grodna dostały w Puszczy Myszynieckiej, zwanej też Zieloną czy Kurpiowską, niezłą nauczkę – Kurpie nękali Szwedów jeszcze na Litwie. Kurpiowscy strzelcy stawiali do walki z Moskalami w insurekcji kościuszkowskiej, w kampanii 1809 r., w powstaniu listopadowym (*notabene*, 185 lat temu, w maju 1831 r., doszło pod Ostrołęką do jednej z najkrwawszych bitew powstania listopadowego). Mieszkańcy ziemi ostrołęckiej wykazali się wielkim hartem ducha i wolą walki w powstaniu styczniowym – w puszczańskich kniejach zadawali Moskałom dotkliwe ciosy. Co bardzo ważne: nigdy nie czekali na polecenia „z góry” – sami się organizowali. Dużą rolę w organizacji odgrywali miejscowi księża katolicy, nauczyciele. Oddziały zbrojne – czy te walczące w powstaniu listopadowym, styczniowym, czy antykomunistycznym, po 1944 r. – zawsze mogły liczyć na wsparcie miejscowej ludności. Nie do pomyślenia wręcz była odmowa pomocy rannemu powstańcowi czy nakarmienia głodnych partyzantów. Nie godziło się to z żarliwą wiarą katolicką miejscowych, z ich pojmowaniem patriotyzmu.

► Mieszcowi trzymają z Niezlomnymi

Według historyków IPN w antykomunistycznym podziemiu na ziemi ostrołęckiej w latach 1945–1947 wzięło udział ponad 3,5 tys. mieszkańców. Z podziemiem poakowskim związane były 2 tys. osób (Armia Krajowa Obywatelska, Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość) oraz ponad 1,5 tys. ludzi walczących w podziemiu narodowym (Narodowe Siły Zbrojne, Narodowe Zjednoczenie Wojskowe). Najbardziej spektakularną operacją bojową było opanowanie na kilka godzin Ostrołęki nocą z 18 na 19 maja 1945 r. Oddziałem 85 żołnierzy AKO dowodził por. NN „Zych”. Do dzisiaj żywa jest wśród mieszkańców ziemi ostrołęckiej pamięć o bohaterskich dowódcach, partyzantach walczących w powstaniu antykomunistycznym – przede wszystkim o chor. Józefie Kozłowskim „Lesie”, pochodzącym z Wileńszczyzny, od lipca 1944 r. z kresowymi podkomendnymi operującym na ziemi ostrołęckiej, a także, o chor. Witoldzie Boruc-

kim „Babiniczu”. Obaj byli komendantami XVI Okręgu Narodowego Zjednoczenia Wojskowego.

Nie ma bodaj na Kurpiach kościoła, w którym nie zawisłaby choćby skromna tablica czcząca pamięć Żołnierzy Niezlomnych. Znany historyk IPN, dr Kazimierz Krajewski, pisząc o tamtejszym podziemiu antykomunistycznym, podkreślał: „Ta długotrwałość oporu przeciwko dyktaturze komunistycznej świadczy o czymś więcej niż zdeterminowana i ideowa postawa żołnierzy podziemia w powiecie ostrołęckim. W warunkach terroru, jaki wówczas panował, żadna partyzantka bez poparcia miejscowej ludności nie miała najmniejszych szans na utrzymanie się. Mieszkańcy ziemi ostrołęckiej traktowali żołnierzy jako wyrazicieli swych dążeń. Znajdując to potwierdzenie w dokumentach wytworzonych przez bezpiekę. Wynika z nich, że komuniści traktowali tutejszą ludność jako zdecydowanie wroga nastawioną do władzy”. Ważne dla uzupełnienia obrazu tamtego czasu są słowa innego historyka IPN, dr. Tomasza Łabuszewskiego: „Cechą wyjątkową działalności PUBP w Ostrołęce była skala i brutalność represji. Wyznaczała ją ponadprzeciętna skłonność miejscowych funkcjonariuszy do zabijania ludzi. Stałym elementem pacyfikacji były masowe egzekucje i sądy doraźne (bez możliwości apelacji). [...] Niezwykle pozytywną rolę w utrzymywaniu godnej postawy tutejszych księży odgrywał bp Falkowski (łomżyński), który wielokrotnie nawiedzał teren powiatu ostrołęckiego. Jego kazania w rozumieniu władz były ewidentnie antyrządowe i podtrzymywały ducha wśród miejscowych księży”.

Nadal słabo zbadana i opracowana jest przez historyków działalność młodzieżowych ostrołęckich grup antykomunistycznych. Warto na pewno więcej uwagi poświęcić ostrołęckim młodym Wyklętym. Zastanawiającą rzeczą jest, jak wielu z nich inspirowała do działania literatura romantyczna, twórczość Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Cypriana Kamila Norwida. Oni przesłania naszych wieszczów narodowych traktowali bardzo serio. Z tego środowiska wyszło kilka osób posługujących się sprawnie piórem, poetów, pisarzy.

► Egzamin dojrzałości

Zbigniew Żerański, rocznik 1932, pochodzi z rodziny szlacheckiej herbu Pobóg. Jego gniazdo rodzinne to Żerań Duży w powiecie ostrołęckim. W 1947 r. rozpoczął naukę w Liceum Ogólnokształcącym im. króla Stanisława Leszczyńskiego, wówczas noszącym nazwę Państwowa Szkoła Ogólnokształcąca Stopnia Licealnego. Choć upłynęło od tamtego czasu wiele lat, to Zbigniew Żerański potrafi wymienić nazwiska wszystkich swoich nauczycieli, jeszcze przedwojennych profesorów. Bliski był mu biolog Bartłomiej Drabicki, który czasami czytał po lekcjach napisane przez siebie sonety.

„Kiedy mówił, otwierało się niebo” – wspomina Zbigniew Żerański. Największy wpływ na młodego Zbigniewa oraz na jego kolegów wywierali ksiądz Stanisław Oldakowski, nauczyciel religii, z którym od czasu do czasu licealiści grali w piłkę, i polonistka, a zarazem wychowawczyni Zofia Rogalewiczowa.

– Ze złej pogody politycznej zrodziła się konspiracja – wspomina Zbigniew Żerański. Nad realnością i skutkami jej nikt się zbytnio nie zastanawiał, chociażby dlatego, że jutro przecież i tak bywa pełne wątpliwości. Człowiek, gdy ma naście lat lub trochę więcej, jest odważny, później może już być tylko rozsądny (inni nazywają to tchórzostwem). Konspiracja młodzieżowa była protestem, sensem istnienia, ucieczką na wolność, bardziej dziełem serca niż rozumu. A serce nie zna miary! Konspiracja to najlepszy test dla naszych uczuć i poglądów. Wszystko zaczęło się od literatury. Romantyzm zamącił nam w głowach. Mieliśmy dobrą polonistkę, prawdziwą intelektualistkę. Ona rozbudziła apetyt na literaturę, czytanie. W ostrołęckim ogólniaku założyliśmy w 1950 roku nielegalną organizację – Związek Socjalistów Polskich. Doktor Józef Psarski, endek, zawsze racjonalnie myślący pragmatyk, uważał, że organizując konspirację, pomagamy tylko komunistom pakować do więzień najbardziej patriotyczną młodzież. Do organizacji należeli uczniowie klas maturalnych: Tadeusz Biały, Henryk Daszewski, Michał Henszel, Wawrzyniec Jeruzalski, Tomasz Kałuża, Dionizy Maliszewski, Stanisław Mierzejewski, Jerzy Ogowski, Jan Pszczółkowski, Józef Skolimowski i Zbigniew Żerański. Głównym inicjatorem założenia ZSP był Dionizy Maliszewski, romantyk, początkujący wówczas poeta, redaktor gazetki szkolnej „Promieniści”. On też był autorem założeń ideowo-programowych organizacji. W praktycznej działalności dużą aktywność przejawiał Henryk Daszewski. Związek Socjalistów Polskich – mówiąc najkrócej – był organizacją młodzieżową, polityczną, nastawioną wewnątrz na samokształcenie w duchu patriotyzmu, zaś na zewnątrz na działalność informacyjno-propagandową, skierowaną przeciwko rusyfikacji i sowietyzacji kraju, zwłaszcza w takich dziedzinach, jak: wychowanie, oświata i kultura. Byliśmy bardzo uczuleni na sprawy narodowe i społeczne, a umiłowanie równości i sprawiedliwości społecznej pchało nas w stronę teorii socjalizmu, przy czym nie bardzo zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że droga od rozmów o wolności, równości i sprawiedliwości do więzień może być tak bliska.

► „Trutnie”

Bezpieka, rozpracowując liczne w Polsce młodzieżowe organizacje antykomunistyczne, korzystała z miejscowej agentury, wysyłała też do szkół specjalnie przeszkolonych agentów. Do ostrołęckiego liceum trafiło dwoje „uczniów” z Warszawy. Dziewczyna nazywała się

Lidia Polańska, a chłopak Michał Henszel (Henschel). Jak się później Zbigniew Żerański dowiedział, ojciec Michała Henszela był leśnikiem, został wywieziony wraz z rodziną na Syberię. Tam zmarł, a syn trafił do sierocińca. Przeszedł stalinowskie wychowanie, pranie mózgu. Po ubeckim przeszkoleniu był wykorzystywany do niecnym celów i właśnie trafił do klasy Zbyszka Żerańskiego i „zaangażował się” w działalność konspiracyjną ZSP. Na efekty pracy ubeckiego agenta nie trzeba było długo czekać, tym bardziej że organizację rozpracowywał też inny szpicel, nienależący do ZSP Jerzy Dziewirski. 15 marca 1951 r. donieśli oni sekretarzowi Komitetu Powiatowego PZPR o istnieniu nielegalnej organizacji wyrotowej. Funkcjonariusze PUBP już działali, prowadzili operacyjne rozpracowanie ZSP o kryptonimie „Trutnie”. Późnym wieczorem 16 marca ubecy aresztowali 17 osób, wszystkich członków organizacji, a także osoby nienależące do ZSP, ale podejrzane o antykomunistyczne poglądy.

– Mnie aresztowano na ulicy Kościuszki w Ostrołęce, siedłem z Marią Gumowską – wspomina Zbigniew Żerański. – W pewnej chwili podszedł mężczyzna, ubrany w obszerny, gabardynowy płaszcz, i dyskretnie przedstawiając broń do pleców, cicho powiedział: „Urząd Bezpieczeństwa. Jesteś aresztowany. Idziemy”. Potem dołączył jeszcze jeden ubowiec i razem przyprowadzili mnie do budynku PUBP, który mieścił się przy tej samej ulicy. Uciekać nie było jak i nie było sensu.

Przesłuchanie trwało bez przerwy, zmieniali się tylko śledczy. O organizacji wiedzieli niemal wszystko od swoich agentów, więc trudno było się bronić. To wówczas, w ubeckim areszcie, Zbyszek Żerański poznał Alfreda Markowskiego, założyciela nielegalnej młodzieżowej organizacji ostrołęckiej o nazwie „Armia Młodych”. – Fredek Markowski siedział pod sąsiednią celą – opowiada Zbigniew Żerański. Młody, interesujący człowiek, robotnik, samouk, poeta. Wiele wiedział o świecie i ludziach, trafnie oddzielając ziarno od plew. Przeniesiony do więzienia w Ostrołęce, podjął próbę ucieczki, przekakując mur. Ucieczka się nie udała. Został schwytyany i mocno skatowany, a władze więzienne zadecydowały podwyższyć mur od strony Wojciechowic o metr, wystawiając tym samym Fredkowi swoisty pomnik, z czego był być może nawet dumny. Nigdy do Ostrołęki już nie powrócił, chociaż stale o niej mówił, ponieważ nie był pewien, co by zrobił, gdyby zobaczył na ulicy swego oprawcę, który pędził spokojny żywot w tym mieście.

Po sześciu tygodniach przesłuchań w Ostrołęce Zbyszek Żerański z dwoma kolegami zostali przewiezieni do więzienia karno-śledczego, tzw. Toledo, w Warszawie przy ulicy Ratuszowej 11. Było to więzienie UB i NKWD przeznaczone dla żołnierzy podziemia niepodległościowego. Pod koniec lipca 1951 r. śledztwo w „Toledo” zostało zakończone. Proces ostrołęckich licealistów

odbył się przed warszawskim Wojskowym Sądem Rejonowym. Michał Henszel, agent UB, był świadkiem oskarżenia na procesie. Nie miał odwagi nawet spojrzeć w kierunku ławy oskarżonych, na której zasiadli jego jeszcze niedawni koledzy z klasy. Dionizy Maliszewski próbował tłumaczyć sądowni, że powody założenia organizacji wypływały ze szlachetnych pobudek, a cele konspiratorów były takie, jak wileńskich Filomatów i Filaretów. Oczywiście takie argumenty nie trafiły do sądu.

Wojskowy Sąd Rejonowy skazał Dionizego Maliszewskiego i Henryka Daszewskiego na karę pięciu lat więzienia. Tomaszowi Kałuży, Tadeuszowi Białemu i Zbigniewowi Żerańskiemu sąd wymierzył karę trzech lat pozbawienia wolności. Stanisław Mierzejewski otrzymał karę dwóch lat więzienia, Jan Pszczółkowski jednego roku, Jerzy Ogonowski półtora roku w zawieszeniu na okres dwóch lat, Józef Skolimowski jednego roku w zawieszeniu na okres dwóch lat.

Wędrując po stalinowskich więzieniach, Zbyszek Żerański spotykał więźniów z podobnych organizacji jak jego ostrołęcka. Odbywał karę w więzieniu w Sosnowcu i Łagiewnikach Śląskich – był to Obóz Pracy Więźniów. Jako więzień-górnik pracował w kopalni węgla kamiennego „Barbara – Wyzwolenie”.

Po wyjściu z więzienia Zbyszek nie mógł wrócić do szkoły w Ostrołęce i zdać matury. Dopiero po długich staraniach umożliwiono mu złożenie egzaminu maturalnego w Liceum Zaocznym dla Pracujących w Pruszkowie. Nie pozwolono też Zbyszkowi, jako wrogowi ludu, przystąpić do egzaminu na wymarzoną medycynę. Ukończył Wyższą Szkołę Rolniczą w Olsztynie. Z tym miastem i regionem związał swoje życie. Pracował w melioracji. Ostrołękę bardzo często odwiedzał, utrzymuje bliskie kontakty ze swoim liceum, zapraszany jest na zjazdy, spotkania. Od 1991 r. należy do Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego. Pełnił funkcję przewodniczącego Rady Programowej miesięcznika historyczno-politycznego „Nasz Los”, wydawanego przez tenże Związek – niestety, pismo już się nie ukazuje.

► Być jak „Las”

Przywódcą innej młodzieżowej organizacji antykomunistycznej w Ostrołęce był wspomniany już Alfred Markowski (r. 1930). Alfred pochodził z rodziny robotniczej, mieszkał na ówczesnych przedmieściach Ostrołęki, przy ulicy Reymonta. Okupację niemiecką spędził wraz z matką w Warszawie. Matka była sanitariuszką w Armii Krajowej, zginęła w powstaniu warszawskim. Ojciec Alfreda brał udział w kampanii wrześniowej 1939 r., dostał się do niewoli sowieckiej w obozie w Koziełsku, ale szczęśliwie uniknął losu polskich oficerów, którzy zostali zamordowani. Po śmierci matki Fredkiem

opiekowała się w Ostrołęce babcia Antonina. Zarówno Fredkowi, jak i jego najbliższymi kolegom, imponowali Żołnierze Podziemia Antykomunistycznego. W czasie spotkań opowiadali sobie o wyczynach chor. Józefa Kozłowskiego „Lasa”. W 1946 r. szesnastoletni Alfred przybrał pseudonim „Orzeł” i zorganizował w Ostrołęce grupę o nazwie „Armia Młodych”. Do organizacji przystąpili chłopcy z przedmieść Ostrołęki: Henryk Gogołek, Stanisław Gogołek, Stanisław Pietrusiński, Kazimierz Przybylski, Kazimierz Deptuła, Józef Deptuła oraz z miejscowości Obierwia pod Ostrołęką – Kazimierz Szczepanek. Nadzręcznym celem „Armii Młodych” była walka zbrojna z bolszewią, z sowietyzacją Polski. Zbudowali bunkier – magazyn, w którym gromadzili znalezioną broń – karabiny, pistolety, granaty. Co pewien czas przeprowadzane było na dalekim odludziu szkolenie strzeleckie, uczyli się też taktyki walki w mieście i w lesie. Prowadzili akcje ulotkowe, dowodząc, że należy trwać w oporze przeciwko komunistom i nie wolno tracić ducha walki.

W 1950 r. postanowili przedostać się na zachód Europy. Żołnierze Wojsk Ochrony Pogranicza zatrzymali ich na stacji Kunowice w powiecie Słubice. Pod eskortą milicji zostali przewiezieni do Ostrołęki. Po wstępnej „obróbce” w siedzibie Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego Fredek trafił do miejscowego aresztu UB, obecnie adaptowanym na Muzeum Żołnierzy Wyklętych. Tutaj dokonał nie lada wyczynu – uciekł za mury więzienia, forsując wysoki mur, wydawać by się mogło, że nie do pokonania. Służby więzienne zdołały go złapać dopiero wtedy, gdy przepłynął wpław rzekę Narew.

Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie skazał Alfreda Markowskiego na dziewięć lat więzienia. Wyrok odbywał w warszawskim „Toledo”, w Poznaniu, w Sztumie, w kopalni węgla kamiennego pracował w ciężkich warunkach jako górnik. W czerwcu 1956 r. wyszedł z więzienia na mocy amnestii. Podjął pracę jako robotnik w PGR Ramoty w powiecie ostródzkim na Mazurach, gdzie mieszkał i pracował jego ojciec Walenty Markowski. Jednak długo miejsca tutaj nie zagrzał – został w krótkim czasie zwolniony jako wróg socjalizmu i przestępca. Zamieszkał w dużej pobliskiej wsi, w Łukcie.

Alfred Markowski chociaż ukończył tylko szkołę podstawową, miał ogromną wiedzę o literaturze, historii Polski. Każdą wolną chwilę spędzał na czytaniu książek, nie przywiązywał żadnej wagi do dóbr materialnych. W zeszytach zapisywał wiersze. Wiele z nich poświęcał matce, najbardziej ukochanej osobie. Pracował jako dozorca na budowie, portier, magazynier, robotnik fizyczny w Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, pielęgniarz. Najważniejsza była jednak dla niego Polska. W 1957 r., kilka miesięcy po wyjściu z więzienia, zgromadził wokół siebie młodych ludzi z powiatu

morąskiego i ostródzkiego, mających podobny stosunek jak on do komunistycznej władzy. Konspiracyjnej grupie nadał nazwę „Synowie Armii Krajowej”. W zeszycie zapisał później kilka wersów, które zatytułował „Pieśń Synów Armii Krajowej”: *Lecz jeśli przyjdzie/ Odać nam życie/ Za naszą Polskę/ Za nasz kraj/ Ty wówczas Panie/ Ojcie w błękiecie/ Z polskim honorem/ Umrzeć nam daj*. O Polsce potrafił pisać tylko na najwyższym diapazynie. „Wyznanie”: *Lecz wiem/ żeś nigdy/ przed wrogiem nie padła/ na kolana/ I za to/ do ostatniego tchu/ kochał cię będę/ Kochana*. Kim jest ta jego Kochana – wiadomo. To Polska.

Służba Bezpieczeństwa wpadła na ślad działalności grupy dzięki agenturze. Akt oskarżenia zarzucał „Synom Armii Krajowej” „przygotowania do obalenia ustroju Państwa Polskiego”. W czasie uroczystej akademii w Olsztynie z okazji 13. rocznicy powstania MO i SB aresztowanie Alfreda Markowskiego i członków jego organizacji prezentowano jako wielki sukces: „Ostatnio na terenie powiatu Ostróda zlikwidowaliśmy szajkę dywersyjno-terrorystyczną, na której czele stał wieloletni kryminalista, wypuszczony niedawno z więzienia. Szajka obrała nazwę »Synowie Armii Krajowej«. Zadaniem jej było napadać na działaczy partyjnych, funkcjonariuszy MO, zdobywać broń i okradać sklepy spółdzielcze i państwowe”. Jak zwykle esbecy przesadzili z zarzutami i z zagrożeniem organizacji Alfreda Markowskiego.

Dziw bierze, że ten słabego zdrowia, drobnej budowy ciała mężczyzna, miał w sobie tak potężną energię. Niewątpliwie czerpał ją z wiary w Boga, z tradycji mieszkańców ziemi kurpiowskiej. Bliska mu była kultura kurpiowska. Zbudował nawet kiedyś ze słomy model zagrody kurpiowskiej i posłał na wystawę do Holandii.

I znowu Alfred Markowski stanął przed obliczem komunistycznych sędziów. Wojewódzki Sąd w Olsztynie 4 marca 1958 r. skazał go na karę siedmiu lat pozbawienia wolności. Łącznie spędził 13 lat w aresztach i więzieniach komunistycznych oraz ciężko pracując w kopalni węgla kamiennego.

Po wyjściu z więzienia w 1964 r. nie bardzo miał gdzie się podziać. Był osobą samotną, nigdy nie założył rodziny. Cały jego majątek stanowiło kilka książek. Zamieszkał w miejscowości Mątki w gminie Jonkowo na Warmii. Nawiązał bliższy kontakt z rodzinnym miastem – z Ostrolęką. Coraz poważniej zaczął traktować pisanie. Publikował w „Nowym Wyrzbie”, „Ziemi Ostródzkiej”, „Gazecie Olsztyńskiej”, „Dzienniku Pojezierza”. Najbardziej odpowiadały mu krótkie formy literackie – wiersze i fraszki. Wydał dwa tomiki – „Fraszki” i „Wśród samotności”. Należał do Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Olsztynie i do Stowarzyszenia Autorów Polskich. W rodzinnej Ostrolęce jego wiersze znalazły się w „Poetyckim Almanachu Kurpiowszczyzny”.

► Mam charakter romantyka

W latach 90. ostrolęcki Niezłomny trafił do Domu Pomocy Społecznej w podolsztyńskim Jonkowie. To wówczas zawiązały się serdeczne więzi między Zbigniewem Żerańskim, mieszkającym w Olsztynie, a Alfredem Markowskim. Mieli co wspominać, obaj jednakowo tęsknili za rodzinnym miastem, obaj też posiadali zainteresowania literackie. Zbigniew Żerański pomógł swemu przyjacielowi uzyskać w 2001 r. rehabilitację w sądzie, nakłonił do wstąpienia do Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego.

Alfred Markowski zmarł nagle 25 marca 2002 r. w Mątkach. Na cmentarzu parafialnym w Jonkowie zegnała go garstka przyjaciół. Rada Miasta Ostrolęki w 2012 r. nadała jednej z ulic imię Alfreda Markowskiego. Zbigniew Żerański czyni zabiegi, by wydać zebrane utwory przyjaciela, ale jak na razie bez większego skutku.

– To człowiek mistyk, takich ludzi nie ma – Zbigniew Żerański mówi o swoim przyjacielu. – Dla niego istniały tylko Polska i literatura. Zwykły był mawiać: „Mam charakter romantyka, cały, od gówniarza, prześląknęty jestem Mickiewiczem, Słowackim, Norwidem”. Żył samotnie, ale nie był człowiekiem samotnym – miał przyjaciół.

W życiu codziennym emanował skromnością i wyrozumiałością dla ludzkich słabości i wad, co mogłoby się wydawać nieprawdopodobne, biorąc pod uwagę rozmiar krzywd i upokorzeń, jakie go w życiu spotkały. Cierpliwie znosił dolegliwości życia. Nigdy nie narzekał na ciężkie czasy, także na więzienie. Zawsze znajdował jakieś usprawiedliwienie, nawet dla funkcjonariuszy komunistycznego aparatu bezpieczeństwa, wychodząc z założenia, że przecież oni realizują tylko prawo, choć niesprawiedliwe. Niewiele wymagał od świata, nosząc w sobie nadmierne poczucie odpowiedzialności za jego losy. Na wszelkie zło znajdował pełne miłosierdzia usprawiedliwienie. Kochał proste ideały. W sprawach ważnych był nieustępliwy, bronił ich do upadłego, zachowując jednak tolerancję i otwartość dla odmienności poglądów i przekonań innych. Od siebie i od innych wymagał przestrzegania ewangelicznych zasad, nade wszystko zaś poszanowania godności człowieka. Był bezwarunkowym patriotą. Marzył w więzieniach, aby choć raz w życiu, jawnie, demonstracyjnie, w żołnierskim mundurze przemaszerować na oczach wszystkich przez wieś, choćby niewielką, oczywiście najlepiej kurpiowską. Starał się pomagać ludziom odrąconym, porzuconym, bezradnym, słabym, chorym i zagubionym. Przebywając w Domu Pomocy Społecznej „Jutrzenka” w Jonkowie, otoczył opieką i leczył ciężko chorego psa bernardyna Sabę. Nie szczędził czasu i pieniędzy dla psa przybłądy. Prowadził długie rozmowy z krukiem... ■

Magdalena Złotnicka



Czarny króliczek na drodze Polańskiego



Kiedy Barbara Kwiatkowska-Lass, pierwsza żona reżysera Romana Polańskiego, wyprawiała przyjęcie z okazji kolejnych urodzin, wśród gości znalazło się wielu ekscentryków ze świata filmu, literatury i telewizji. Jak wspomina Ewa Morelle, wszystkich przebiła jednak córka jednej z reżyserek telewizyjnych, która dla szpanu „na oczach gości zjadła prawie cały bukiet czerwonych róż, łącznie z kółkami, przeznaczony dla pani domu”

Powyższą historię Ewa Morelle, wcześniej Ewa Frykowska, żona zamordowanego przez bandę Charlesa Mansona Wojciecha Frykowskiego, opisała we wspomnieniowej książce „Słodkie życie”. W książce nie padają żadne nazwiska, wszystkie postacie ukryte są pod pseudonimami. Barbara Kwiatkowska określana jest mianem Króliczka, „bo wyglądała jak króliczek z okładki »Playboya«”. Jej pierwszy mąż, Roman Polański, został z kolei ukryty pod nietrudną do rozszyfrowania ksywą „Napoleon”. Ale po kolei. Zanim Kwiatkowska zaistniała w świecie filmu, dzięki czemu miała okazję poznać Polańskiego, planowała zostać tancerką.

O pierwszych latach życia późniejszej pamiętnej Agnieszki z „Jowity” w reżyserii Morgensterna wiadomo niewiele. Na świat przyszła w czasie II wojny światowej, 1 czerwca 1940 r., jako jedno z dzieci rolnika z Patrowa pod Gostyninem. Jak podaje Filip Gańczak w zamieszczonym w „Newsweeku” tekście „Taka była pierwsza żona Polańskiego”: „Niemcy odebrali rodzinie gospodarstwo. Rodzice i czwórka dzieci trafili do obozu przejściowego na terenie Rzeszy”. Przetrwać udało im się tylko dlatego, że jakaś Niemka ulitowała się nad rodziną z małymi dziećmi i wszystkich wzięła do siebie jako siłę roboczą, ratując ich tym samym przed dużo gorszym losem, a może nawet śmiercią. Po zakończeniu wojny cała rodzina wróciła do Polski.

Jednak spokojne życie córki rolnika nie było przeznaczone Barbarze. Miała dobry słuch i wyczucie rytmu, trafiła więc do zespołu tańca Skolimów, który jednak został rozwiązany. Emilia Padoł w książce „Damy PRL-u”, w rozdziale poświęconym Kwiatkowskiej przytacza jeden z udzielonych przez aktorkę wywiadów. – To był rok 1953 i w centrali związków zawodowych afera gonili afera. Mówiono o ogromnych defraudacjach niektórych związkowych notabli, szukano winnych, w końcu zespół Skolimów rozwiązano” – wyjaśniała pierwsza żona Romana Polańskiego w rozmowie z „Gazetą Olsztyńską” w 1993 r. Po rozwiązaniu zespołu Barbara trafiła do szkoły baletowej. Tam poznała koleżanką Kwiatkowskiej była tancerka Krystyna Mazurówna. W swojej autobiografii „Burzliwe życie tancerki” wspomina, że zawsze się z Kwiatkowską lubi-

ły, a Mazurówna już wówczas podziwiała rzucającą się w oczy, nieprzeciętną urodę koleżanki.

Mazurówna wyjaśnia także, jak to się stało, że Kwiatkowska po raz pierwszy zagrała w filmie. Do szkoły baletowej przyszli po prostu filmowcy, którym potrzebna była tańcząca dziewczyna do roli w filmie „Epizod”. „Profesor Wójcikowski, kiedyś tancerz ze znanego na całym świecie zespołu Diagilewa, prowadził lekcje baletu, na które zawzięcie chadzałam” – relacjonuje tancerka. I wspomina, że kiedy filmowcy przyszli do szkoły poszukiwać dziewczyny do filmu, profesor zaproponował właśnie ją. „Filmowcy jakoś byli mniej przekonani do mojej osoby, bo popatrzyli na mnie jak na żabę (musałam być chyba naprawdę okropnie brzydka i nieciekawa) i zaczęli szukać sami. Wpadła im w oko – i słusznie – Barbara Kwiatkowska”.

► Ustawiony konkurs

„Epizod” nie odbił się jakimś szczególnym echem w historii kina polskiego czy tym bardziej światowego. Dla Kwiatkowskiej okazał się jednak przepustką do dalszej kariery. Właśnie bowiem na planie tego filmu zobaczyli ją Tadeusz Chmielewski i Andrzej Czekalski, czyli reżyser i scenarzysta pracujący nad filmem „Ewa chce spać”, którzy właśnie poszukiwali na gwałt tytułowej Ewy. Czekalski w książce Łukasza Figielskiego i Bartosza Michalaka „Prywatna historia kina polskiego” wspominał, że problemy z obsadzeniem głównej roli były ogromne. – Myśleliśmy przez pewien czas o Kalinie Jedrusik, ale ona się do tego nie nadawała z racji wieku. Zrobiłomy więc konkurs na dziewczynę. Podjął się tego radośnie tygodnik „Film”, dla którego była to dobra reklama.

Tyle że w międzyczasie obaj zobaczyli Kwiatkowską. Aby więc nie zawieszać czy odwoływać nagle konkursu, do którego wciąż napływały zgłoszenia, zastosowano sprytny numer. Po prostu zwyciężczynią ogłoszono właśnie Kwiatkowską. Tę wersję sama aktorka potwierdziła później w jednym z wywiadów udzielonych pod koniec życia. Na razie jednak świetnie grała rolę zwyciężczyni. – Nie macie pojęcia, jak się ciesze. Nawet

główna wygrana na loterii ani oświadczyń G rarda Philippe'a tak by mnie nie uradowały. O tak, zawsze marzyłam o tym,  eby wyst pić w filmie. Mam powiedzieć par  sł w o sobie? Mam siedemnaście lat, pochodz  z Gostynina. Tańczyłam w rozwiąz nym ju  zespole CRZZ Skolim w, obecnie za  jestem uczennic  sz stej klasy szkoły baletowej w Warszawie. Tak, wyst powałam ju  w s redniometra owym filmie »Epizod«. Ale ten film nie ukazał si  jeszcze na ekranach. To chyba byloby wszystko. Do zobaczenia" – m wiła w wywiadzie, który ukazał si  w tygodniku »Film" zaraz po ogłoszeniu wynik w.

„Ewa chce spać” bardzo przypadła do gustu publiczności. Co poza przystojnym Stanisławem Mikulskim w policyjnym mundurze i uroc , m lod , s wie  Kwiatkowsk  było w tym filmie tak niezwykłego? Iwona Kienzler, autorka ksi żki »Uwodzicielki, skandalistki i seksbomby PRL-u“, w kt rej znalazł si  tak e rozdział po wi cony Kwiatkowskiej, tak pisze o produkcji Chmielewskiego: »W zamys le re ysera mia  powstać film dedykowany funkcjonariuszom policji na ca ym s wiecie, a w Polsce milicji. Poniewa  miała to być lekka i zabawna komedycja, punktem wyj cia stały si  dowcipy o milicjantach [...]. Niestety cenzurze pocz tkowa wersja si  nie spodobała. Nie mo na było wszak tak otwarcie kpić z polskiej milicji, nakazano wi c scenarzystom wprowadzi  pewne poprawki, a przede wszystkim z agodzić wymow  tekstu. Tw rcom opadły r ce”. Ostatecznie zdecydowano si  na to,  eby Ewa przyjechała do nieistniejącego miasteczka w nieistniejącym kraju, gdzie mundury funkcjonariuszy nie kojarzyły si  z polsk  milicj . Cenzura przepu ciła. Chocia  oczywi cie widzowie i tak dopatrzili si  tego, czego trzeba.

► Swojska gwiazda, lokalna kr lowa brytyjska

Kiedy „Ew ” zaczęto wy wietlać w kinach, Kwiatkowska z dnia na dzie  stała si  bo yszczem t m w. Jej sekret tkwił w tym,  e chocia  była ładna, to jej uroda nie onie mielała. Chocia  przyci gała wzrok, to była taka »swoja”. Nie niedost pny wamp, do kt rego m czyzna nie ma odwagi zagadać, ale typ dzi  okre lany mianem »dziewczyny z s siedztwa”. Fenomen Kwiatkowskiej dobrze scharakteryzowała Agnieszka Osiecka w te cie »Żegnaj, dziewczynko!“, zamieszczonym w 1995 r. na łamach »Polityki”: »Basia była wprost uciele nieniem marze   wczesnego Polaka! Była prze liczna i zarazem prowincjonalna. [...] Pachniała rezed  i opłotkami, zachodem s l ca nad małą rzeczka, domowym ciastem i  urawin . Miała nogi sklepione wysoko, szorstkie r ce ch pki, a oczy cudowne i czyste jak poranek w dzie  komunii s wietej”.

Emilia Padoł w »Damach PRL-u” przytacza tak e tekst z »Filmu” z 1958 r. »Zdjęcia Barbary Kwiatkowskiej

s  wsz dzie, nie tylko w pismach filmowych, samych stron tytułowych r żnych czasopism dałoby si  zebrać kilkana cie. Obcokrajowiec m głby s dzić po kr tkim u nas pobycie,  e Basia Kwiatkowska jest kim  w rodzaju miejscowej kr lowej angielskiej, a w ka dym razie najpopularniejsz  osob  w kraju”.

► Kto si  wy lakuje Romanowi Polańskiemu?

„Nasz miniaturowy re yser [Roman Polański – przyp. M.Z.], b d c jeszcze studentem Szkoły Filmowej, wypatrzył j  w holu Grand Hotelu. Zakochał si  w niej od pierwszego spojrzenia, czy z wzajemno ci , tego nigdy si  nie dowiemy” – tak Ewa Morelle opisuje pocz tek pierwszego ma żeństwa Barbary Kwiatkowskiej.

Gdy spotkali si  po raz pierwszy, Polański był nikomu nieznanym studentem re yserii w ł dzkiej szkole filmowej. Kiedy siedział w holu Grand Hotelu razem ze szkolnym koleg  Januszem Morgensternem, do recepcji podeszła dziewczyna. Podkre laj c figur  sukienka w pionowe pasy. Olbrzymie oczy. Zmysłowe usta. Polański zapatrzył si  i zamarł. Zapytał Morgensterna, kto to jest. Ten odpowiedział,  e to »Barbara co tam”, kt ra gra w »Ewa chce spać”.

Mazur wna wspomina,  e kiedy Polański um wił si  po raz pierwszy z Barbar , ta nie miała odpowiedniej sukienki i postanowiła po yczyć od kole anki obcisł  kreacj  w kolorze bordo. »Oczywi cie,  e po yczyłam. Zobaczyłam Basi  w tej sukience. Wygl dała zjawiskowo! Długa, s liczna i z tak  pi kn  figurk . Ach, jaka była zgrabna z tymi strzelistymi nogami, z cieniutk  tali  i pi knym, nie za du ym biu cikiem!” – pisze.

Chocia  si  spotkali, a Kwiatkowska na t  okazj  postanowiła si  nawet wystroić, nie wydawało si , by Polańskiemu uda o si  zbli żyć do dziewczyny, kt ra tak go fascynowała. Albo inaczej – Kwiatkowska pozwoliła sobie na blisko ć, ale nie tak , jakiej oczekiwa  Polański: widzia  w nim przyjaciela, powiernika. »Mo e dlatego,  e nie  aczy o nas jeszcze g bokie uczucie, sta em si  jednym z niewielu ludzi, kt rym si  zwi rzała. Powiedzia  mi,  e ona ma romans ze znanym filmowcem – cz owiekiem  onatym –  e prawdopodobnie niewiele z tego wyniknie. Wła nie dlatego,  e uczyni a mnie swoim powiernikiem, nie wygl dało na to, bym kiedykolwiek zosta  jej kochankiem” – pisał re yser w swojej autobiografii.

Ostatecznie jednak Kwiatkowska zobaczy a w Polańskim m czyzn . Re yser był wniebowziewny, zachwycony i zakochany. Jak pisze Padoł, po pierwszej nocy z Kwiatkowsk  wpadł w tak  eufori ,  e wsiadł na skuter, z kt rego Kwiatkowska jako  spada. Polański w uniesieniu nawet tego nie zauwa ył i pojecha  dalej. Gdy zorientowa  si  w sytuacji i wr cił po ukochan , ona czeka a na niego na chodniku, ca a i zdrowa.

► Zrób z ukochanej babcią klozetową

A więc zostali parą. Mało jednak było w tym związku typowej dla świeżo zakochanych niewinnej romantyczności. Ale też w czasach i w środowisku, w których żyli, w całej obyczajowości mało było niewinności. Choć obyczajówka czuwała, jak tylko mogła, zdradzali praktycznie wszyscy. Trójkąty, konkubiny i inne konfiguracje nie były niczym zaskakującym.

Kwiatkowska i Polański także nie należeli do najwierniejszych. Reżyser zresztą dość bezwstydnie przyznał we własnej autobiografii, że podobały mu się inne dziewczyny, a jak nadarzyła się okazja, to siedł z nimi do łóżka. Reżyser uważał zresztą, że „ścisła wierność może być tylko źródłem frustracji, która z kolei prowadzi do podświadomej urazy”. W jego przekonaniu te krótkie przygody nie miały najmniejszego wpływu na związek z Barbarą. Choć brzmi to kuriozalnie, to na

w „Gdy spadają anioły”, swoim filmie dyplomowym, na podstawie noweli Leszka Szymańskiego „Klozet babcia”, w której tytułowa babcia klozetowa opowiada o czasach swojej młodości. Młodą bohaterkę zagrała właśnie Kwiatkowska.

To także Polański „podrzucił” Kwiatkowską Andrzejowi Munkowi do filmu „Zezowate szczęście”. Główną rolę w filmie zagrał Bogumił Kobiela. Ten film z 1960 r. został nakręcony na podstawie powieści „Sześć wcieleń Jana Piszczyka” Jerzego Stefana Stawińskiego. Opowiada o losach życiowego oportunisty Jana Piszczyka. Jak pisał Tadeusz Sobolewski na łamach magazynu „Film” w 1979 r., Kobiela „pokazywał człowieka uwikłanego w nieprawdę i tę nieprawdę demaskował. Jego bohater chce przybrać formę, w której inni by go akceptowali. Chce być taki jak inni, ale pech czy może nadmiar dobrych chęci sprawia, że ten gorliwiec zostaje rozpoznany i wyśmiany”.

SEKRET KWIATKOWSKIEJ TKWIŁ W TYM, ŻE CHOCIAŻ BYŁA ŁADNA, TO JEJ URODA NIE ONIEŚMIELAŁA. CHOCIAŻ PRZYCIĄGAŁA WZROK, TO BYŁA TAKA „SWOJA”. NIE NIEDOSTĘPNY WAMP, DO KTÓREGO MĘŻCZYZNA NIE MA ODWAGI ZAGADAĆ, ALE TYP DZIŚ OKREŚLANY MIANEM „DZIEWCZYNY Z SĄSIEDZTWA”.

wet nie zdrady Polańskiego (zresztą Kwiatkowska też go zdradzała, m.in. z grafikiem Lechem Zahorskim) doprowadziły do kryzysu związku. Wpływ miało tu raczej to, że Polański usiłował wychowywać Barbarę. Może wręcz lekko denerwowało go postępowanie żony? „Pochodziła ze wsi i miała solidne, chłopskie zasady. Mimo uderzającej piękności było w jej zachowaniu coś dziwnie niepewnego, niezręcznego, miała na przykład prowincjonalny zwyczaj zakrywania dłonią ust, kiedy wybuchła śmiechem, jakby skonsternowana własną śmiałością” – pisał o niej po latach. Przyznawał także, że ich pożycie z pewnością ucierpiało także w związku z jego uporczywymi staraniami, aby uczyć ukochaną oglądy, co musiało „być dla niej nieznośne”.

Emilia Padoł podaje, że Kwiatkowska po latach stwierdziła, iż bała się zazdrości i zaborczości Polańskiego, „który początkowo ją zafascynował swoją erudycją i pozą światowca, ale później starał się ją zdominować”.

Warto jednak zwrócić uwagę, że Polański od początku troszczył się o karierę ukochanej. Jak pisze Iwona Kienzler, jeszcze przed ślubem Polański obsadził ją

Emilia Padoł podaje, że Munk przystał na to, by to Polański reżyserował sceny z udziałem Kwiatkowskiej. Pojawił się jednak problem. Z jednej strony, Polański chciał dobrze wyreżyserować narzeczoną, z drugiej – bardzo ją krytykował, żeby nie posądzano go o łagodność w stosunku do nieobojetnej mu kobiety. Munk uznał to za znęcanie się i odebrał Polańskiemu możliwość reżyserowania.

► Na nartach po bigosie i butelki wina zamiast gimnastyki

Kwiatkowska i Polański wzięli ślub 9 września 1959 r. Padoł podaje, że ze strony reżysera była to desperacka próba wyrwania Barbary z ramion Lecha Zahorskiego. Polański postanowił się więc oświadczyć, a zaskoczona aktorka się zgodziła. Wesele stało się jednym wielkim ekscesem. Biesiadnicy skutecznie cyrkowe numery, sam Polański kazał skakać Jerzemu Lipmanowi przez podpalone koło hula-hoop. Na schodach rozrzucono bigos, po którym biesiadnicy zjeżdżali

na nartach. A kiedy przyjechała milicja, do załagodzenia nastrojów wydelegowano właśnie Barbarę, która rozmiękczyła milicjantów.

Wkrótce po ślubie para wyjechała do Paryża. W książce Nowika o Teresie Tuszyńskiej „Tetetka”, z której korzystałam, kreśląc sylwetkę bohaterki „Do widzenia, do jutra”, można znaleźć relację Zygmunta Kałużyńskiego, który wspominał wizytę Polańskiego i Kwiatkowskiej w swoim paryskim mieszkaniu. „Cóż za uroczy cyganie, co za fantaści, co za romantycy! Ileż ja się ich naprosiłem, że powinni ćwiczyć, stosować dietę, przestrzegać surowej dyscypliny. Tylko w ten sposób można dojść do czegoś w kinie; niech pan weźmie Michelle Morgan, to jest kobita, dalibóg, niczym się niewyróżniająca prócz silnej woli – czy pan wie, że zrywa się o szóstej rano na specjalne lekcje gimnastyki? Tak się zostaje sławą. Basia może mieć fantastyczne możliwości...ale cóż...noc w noc wracamy o czwartej nad ranem. I ja także, bo się do nich przywiązałem. Puśtych butelek już nie ma gdzie ustawiać”.

polski reżyser mógł sobie kupić czerwony kabriolet mercedes 190SL”.

Warto także zaznaczyć, że dwuczłonowe nazwisko aktorki, Kwiatkowska-Lass, nie było skutkiem związku małżeńskiego, lecz wynikało z konieczności. Po prostu „Kwiatkowska” było zbyt ciężkie do wymówienia dla obcokrajowców.

► Zagraniczne romanse. Złota klatka

Małżeństwo zaczęło się rozpadać w 1961 r. Polański był w Polsce, zajęty kręceniem kultowego dziś „Noża w wodzie”, zaś Kwiatkowska tkwiła w Rzymie, uwikłana w romans z włoskim reżyserem Gillo Pontecorvo. Później poznała aktora Karlheinz Böhma. „Nie zastanawiając się specjalnie [Kwiatkowska], rozstała się z Napoleonem, który dalej zawodowo pruć do przodu pomimo ciosu, jaki mu zadała” – pisze Ewa Morelle. Dodaje także, że drugi mąż Barbary „wsławił się rolą następcy tronu w filmie »Sissi«, w którym zagrał razem

BARBARA TAK PODSUMOWYWAŁA SWOJEGO PIERWSZEGO MĘŻA. „JEGO SEKSUALNY EKSHIBICJONIZM ZAWSZE MNIE ODRZUCAŁ. W FILMACH POLAŃSKIEGO KOBIETY SĄ WYKORZYSTYWANE, NISZCZONE. JA WYRWAŁAM SIĘ Z TAKIEGO PONIŻENIA, UCIEKŁAM”. KIENZLER ZAUWAŻA JEDNAK, ŻE TAKI OBRAZ KOBIET POJAWIŁ SIĘ W FILMACH POLAŃSKIEGO DOPIERO PO ROZWODZIE Z KWIATKOWSKĄ.

Jednak pomimo zamilowania do wina i niechęci do gimnastyki Kwiatkowska została zauważona. Jak pisze Gańczak, francuski reżyser Robert Menegoz wypatrzył ją na zdjęciach z reportażu z jednej z imprez i stwierdził, że chce zaangażować ją do swojego filmu. W związku z tym zadzwonił do Polańskiego, odgrywającego przy żonie rolę impresaria, doradcy i menedżera zarazem. Zapytał, jak z jej francuskim, bo w tym właśnie języku miał powstawać film. – *Elle parle rien* [Nie mówi wcale] – odpowiedział Polański. Tyle że Francuz zamiast *rien* usłyszał *bien*, czyli dobrze. Ostatecznie jednak okazało się, że Barbara jest w stanie mniej więcej opanować język. Zagrała więc w filmie, nazwanym „Tysięczne okno”. Partnerował jej Jean-Louis Trintignant.

Kariera Kwiatkowskiej nabierała tempa, a jak pisze Gańczak, „Polański nie odstępował jej ani na krok. [...] To on zawiózł ją na rozmowę, po której dostała rolę u boku Alaina Delona w »Co za radość żyć« René Clémenta. Gaża była na tyle pokaźna, że początkujący

z Romy Schneider. Najsławniejszy był jednak jej teść – do tej pory dyrygował na prestiżowych koncertach, o których pisały wszystkie gazety”.

Chociaż Kwiatkowska w wywiadzie dla „Przekroju” z 1993 r. mówiła, że sympatycznie wspomina „Romka”, bo zahartował ją wewnętrznie, to zarazem podkreśla, że „Polański ponoć uważa [ją] za czarnego kota, który przebiegł mu drogę”.

Z kolei Jan Kochańczyk, autor książki „Polański Roman. Gorzkie szczęście”, przytacza wywiad, w którym Barbara tak podsumowywała swojego pierwszego męża. „Jego seksualny ekshibicjonizm zawsze mnie odrzucał. W filmach Polańskiego kobiety są wykorzystywane, niszczone. Ja wyrwałam się z takiego poniżenia, uciekłam”. Kienzler zauważa jednak, że taki obraz kobiet pojawił się w filmach Polańskiego dopiero po rozwodzie z Kwiatkowską.

Z Polańskim ostatecznie rozwiodła się w 1962 r. Czy znalazła szczęście przy drugim mężu? Chyba niekoniecznie. W 1964 r. Kwiatkowska urodziła córkę Katha-

rinę. „Wychowując córeczkę nie chciała się przyznać do zawodowej klęski. Wiedziała, że popełniła kardynalny błąd [...] mąż fruwał po świecie, ich jedynaczka była już jego szóstym dzieckiem, ona jego czwartą żoną” – pisała Ewa Morelle.

Być może zresztą w pewnym momencie Kwiatkowska, przez drugiego męża zamknięta w domu, zażęskniła za Polańskim. „Zdziwiła się, gdy jej opowiedziałam o częstych wizytach jej pierwszego męża u Producenta w Monachium. Zastanawiała się, dlaczego nigdy do niej nie zadzwonił. Uważała, że rozstali się w przyjaźni. Prosiła, żebyśmy – gdy on się pojawi, zaaranżowała ich spotkanie. Od śmierci swej drugiej żony, zamordowanej przez bandę Mansona, Napoleon ciągle był sam, co potwierdzały gorliwe plotkarskie magazyny” – pisała Ewa Morelle.

Mniej więcej w tym czasie miał miejsce ostatni znaczący polski akcent w karierze Kwiatkowskiej. U boku Daniela Olbrychskiego i Kaliny Jedrusik zagrała Agnieszkę w filmie „Jowita” na podstawie prozy Stanisława Dygata.

► Nie zdążyła wrócić

Chociaż mąż Barbary był wiecznie nieobecny, jej życie nie wyglądało źle. Ewa Morelle, która wówczas zaprzyjaźniła się z Kwiatkowską, opisywała, jak włóczyły się po sklepach. Barbara zaś „mimo chwilowych niepowodzeń zachowywała zupełny spokój, tak łagodne miała usposobienie. Godzinami siedziałyśmy u jej fryzjera, który hodował w akwarium dwa małe krokodyle. Opowiadał nam o perypetiach swych znanych klientek. [...] Na obiad piłyśmy tylko soki. Już wtedy nawet lekka nadwaga była towarzyskim nietaktem”. Pod nieobecność Böhma w życiu Kwiatkowskiej pojawił się kolejny mężczyzna. Donosi o tym Ewa Morelle. „Tymczasowo nocowałam u Króliczka, oczywiście z nowym narzeczonym. Mąż Króliczka [drugi] też już pojawiał się sporadycznie, więc każdego wieczoru ostro bankietowaliśmy [...] Odwiedzali nas narzeczeni – ten jej był muzykiem jazzowym, trochę od nas młodszym”. Z relacji byłej żony Frykowskiemu wiemy zresztą, że zaraz po tym, jak Kwiatkowska rozwiodła się, kochanek się do niej wprowadził. Był to Leszek Żądło, opisywany przez Morelle jako człowiek mało mówny i godzinami ćwiczący grę na trąbce. – Przez 20 lat mieszkaliśmy pod jednym dachem. Basia była wspaniałym, dobrym człowiekiem – wspominał w rozmowie z „Newsweekiem” Żądło, ostatni z mężczyzn aktorki.

Opowiadał także o tym, że oboje chcieli przenieść się do Polski, do Krakowa, a Kwiatkowska miała w planach występ w filmie (wcześniej, w 1983 r., zagrała w „Sinobrodym” Krzysztofa Zanussiego, zrealizowanym w Niemczech).

Powrót do Polski był oczywisty w wypadku aktorki, która cały czas uważała się za Polkę, a pod koniec życia

zaangażowała się w pomoc opozycji. Jak pisze bowiem Iwona Kienzler, „aktorka nawiązała współpracę z Rozgłośnią Polską Radia Wolna Europa w Monachium, gdzie zyskała nowych przyjaciół. Jednym z nich był bard Solidarności Jacek Kaczmarski [została nawet matką chrzestną jego córki Patrycji – przyp. M.Z.]. W jej domu, w którym mieszkała z Leszkiem Żądło i córeczką, bywali też Andrzej Wajda, Agnieszka Osiecka czy pisarz Andrzej Szczypiorski”.

Z kolei Emilia Padol przytacza wypowiedź Kwiatkowskiej dla „Gazety Krakowskiej” z 1993 r.: „Najbardziej bolał mnie fakt, że przez długi czas byłam w Polsce na »czarnej liście«, chociaż mój wyjazd absolutnie nie wynikał z pobudek politycznych. Można było o mnie pisać wyłącznie źle albo w ogóle. Taka zмова milczenia obowiązywała wobec wszystkich popularnych osób mieszkających za granicą. Początkowo nie przywiązywałam do tego znaczenia. Do momentu, w którym nie dopuszczono, bym zagrała w polskim filmie. Argument Ministerstwa Kultury brzmiał, że opinia publiczna jest mi przeciwna. Przeprowadziłam na własną rękę rodzaj dochodzenia i dowiedziałam się, że – na życzenie władz – jakiś dziennikarz sportowy opublikował artykuł pełen kłamstw na mój temat” – mówiła aktorka.

Autorka „Dam PRL-u” zaznacza także, że Kwiatkowska kilka lat przed śmiercią razem z zaprzyjaźnionymi dziennikarzami Radia Wolna Europa założyła stowarzyszenie polsko-niemieckie, „którego celem stała się promocja polskiej kultury, nauki i gospodarki”.

Kwiatkowska zmarła podczas koncertu amerykańskiego trębacza jazzowego Ala Porcino w Niemczech, 6 marca 1995 r. w wyniku wylewu krwi do mózgu. Przed śmiercią zmagała się z wirusowym zapaleniem wątroby typu C. Jej ciało przewieziono do Polski. Spoczęła w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Barbarę Kwiatkowską trudno podsumować jednoznacznie. Jak bowiem pogodzić „zdrowe chłopskie zasady”, o których mówił Polański, z licznymi romansami? Jak połączyć życie na Zachodzie z dojmującą tęsknotą za Polską i zaangażowaniem na jej rzecz? Barbarę Kwiatkowską widzimy z boku, przez relacje innych: męża, partnerów, koleżanek. Czy była taka, jak prezentowała się w wywiadach? Co kryło się za rozmarzonymi oczami uroczej Ewy, niemogącej znaleźć nocy? Chyba już nigdy się tego nie dowiemy. Może to i dobrze. Gdy kończyłam ten tekst, pewien uroczy pan w średnim wieku zapytał mnie, o kim tym razem piszę. Gdy usłyszał, że o Kwiatkowskiej, stwierdził. „A, pamiętam, jak byłem młody, to wszyscy się w niej kochaliśmy”. I taka Kwiatkowska powinna chyba przejść do historii. Dziewczęcy ideał piękna, niewinny, łagodny, może trochę naiwny. Takie ideały są potrzebne. Kinu i światu. ■

Za naszą wolność i waszą



Gdy z początkiem 1968 r. już nawet partia w Czechosłowacji zaczęła przechodzić na pozycje swoich krytyków, stanowisko I sekretarza objął Słowak Alexander Dubček, który publicznie przyznał się do wypaczeń i zapowiedział reformy, ogłoszono konieczność zmian prowadzących do federalizacji państwa, publicznie domagano się systemu wielopartyjnego i przywrócenia zwierzchnictwa rządu nad partiami – Rosja patrzyła na te zmiany z niepokojem. Bojąc się powtórki z Jugosławii, wołała powtórzyć Węgry.

Bohdan Urbankowski



*Ileż razy obcy wiatr ich wołał
przekręcając obco brzmiające imiona*

*Ileż razy zbiegom z Polski – kraje obce
niosły w darze swoją ziemię –
cały kopczyk.*

*Wywleczono już trupa Komuny
Roztrzaskano żebra barykadom
Powracają przez milknące luny
Ludzie i ptaki gromadą*

*Paryż żyje, Paryż chce zapomnieć
usta zmarłych białym wapnem gaszą
ale z grobów słyhać ciągle w obcej mowie
krzyk: „za wolność waszą i naszą”.*

*Puste niebo nad Hiszpanią, nad Madrytem
Słońce ścieka płamą krwi brunatnej
Jak pieśń Lorki zdycha Republika
Jak pieśń Lorki z poderżniętym gardłem.*

*Puste niebo nad Madrytem, nad Hiszpanią
Krwawe chmury jak ruiny straszą
Chmur i marzeń bronią jeszcze jacyś obcy
ci – „za wolność waszą i naszą”.*

*Gdzie ojcowie nasi ginęli
czeskim miastom, czeskim wioskom niosąc wolność --*

*Powracamy nocą jak złodzieje
Twarze okien rozbijają polskie kolby*

*Już nie krwią, już tylko wstydem płoną
polskie flagi w zębach polskich tanków.*

*I bezsilny Bóg ręką skrwawioną
błogosławi cios zadany bratu*

[„Za naszą wolność i waszą”, II w. 1968 r.]

Tego wiersza, rzecz jasna, nie mogłem wydrukować, recytowałem go jednak na wieczorach i „desantach” Nowego Romantyzmu, od końca 1968 r. Dzięki donosom bezpieki również dowiedziała się o jego istnieniu. Jeden z raportów oficera SB mogę chyba nazwać recenzją pozytywną. Opierając się m.in. na donosie „Marii Wolskiej”, 11 marca 1974 r. esbek pisze: „W styczniu i w lutym Urbankowski miał szereg spotkań z młodzieżą szkolną, przeważnie żoliborskie Licea Ogólnokształcące. Przychodził na lekcje historii bądź wiadomości obywatelskich i wygłaszał pełne ekspresji przemowy: prawdziwa interpretacja przemilczanych faktów historycznych z okresu II wojny światowej (Jego specjalnością jest sprawa Katynia, którą oficjalnie nazywa: jeszcze jedną zbrodnią Związku Radzieckiego. oprócz wywodów o podłożu społeczno-politycznym, wywody natury literackiej), czytuje swoje wiersze [...] cytaty z książek i artykułów nie puszczonych przez cenzurę. Mówi o programie oświatowym – przeprowadzając jego gruntowną krytykę. Radzi również jak bronić się przed ogłupiającym jego zdaniem, systemem nauczania.

Jego wywody wywołały wielki entuzjazm wśród młodzieży i wykładowców starszego pokolenia. Odbywały się burzliwe dyskusje. Również wiele aprobaty zyskiwały jego utwory poetyckie: szczególnie satyryczno-ironiczny tekst pt. »Za naszą wolność i waszą« (IPN BU 001170/ 807 t. 4, s. 66).

Jak większość naszych wierszy politycznych również ten był kilkakrotnie przerabiany – używaliśmy wtedy określenia „ostrzony”. Chodziło nie tylko o za-

ostrzenie politycznego przesłania, lecz także o uwzględnienie dodatkowych wymiarów – historycznego, a nawet metafizycznego – stąd ostatnia linijka stawiająca pod znakiem zapytania albo dobroć, albo wszechmoc Boga. W metafizycznym wymiarze utwór jest klótnią z biblijną przypowieścią o Kainie.

Poemat (krótki, ale jednak poemat) „Za naszą wolność i waszą” powstawał niejako od końca – od ośmiu linijek poświęconych inwazji na Czechosłowację. Potem dopiero domalowywałem tło – czasem już wtedy niezbyt wyraźne. Tak było w przypadku wzmianki o „złodziejskim powrocie” do miast, które kiedyś wyzwalał. My – to znaczy Brygada Świętokrzyska – oddział, którego nazwa wywoływała u komunistów wściekłość, zaś w kręgach katolickich, zwłaszcza zbliżonych do PAX-u, wymawiana była nabożnym szeptem. 5 maja 1945 r. Brygada Świętokrzyska NSZ wyzwoliła Holyšov, gdzie znajdowała się filia obozu koncentracyjnego Flossenbürg. Brygada pułkownika „Bohuna” Szackiego uwolniła wtedy 700 więźniarek, w tym dwa baraki przeznaczone do spalania Żydów. Polacy wzięli do niewoli 200 esesmanów. Potem podjęli działania u boku armii Pattona, wzięli do niewoli jakiś niemiecki sztab i zajęli kilka miejscowości.

Pisząc swój wiersz, zakładałem, że słuchacze nie mogli nie słyszeć o tym wydarzeniu – tymczasem oni nie tylko nie mieli o Holyšovie pojęcia, lecz także często z pełnym przekonaniem powtarzali za propagandą PRL, że NSZ to faszysta, którzy najpierw walczyli z Polakami, potem wycofali się z Polski u boku hitlerowców. Niejeden z naszych wieczorów poezji zmieniał się w konrepetycję z historii.

Wróćmy do „zyciorysu” wiersza. Z zakończenia wykreśliłem linijki, które wydawały mi się ważne, ale, niestety, rozsadały wiersz od środka. Po wyzwoleniu obozu więziennego na różnego rodzaju chustkach i chorągiewkach wyhaftowały dla polskich żołnierzy kilkadziesiąt serc. Wydawało mi się to i ważne, i piękne, i nieco kiczowate. Poza tym przenosiło środek ciężkości wiersza w przeszłość i w okolice Holišova, a tym samym jakoś równoważyło i usprawiedliwiała hańbę roku 1968. W trakcie „ostrzenia” wiersza te linijki obciąłem.

► Paryż, Madryt i inne miraże

Strofy poprzedzające wiersz właściwy, ten o Czechosłowacji, odzwierciedlały naszą ówczesną wiedzę historyczną oraz sukcesy peerelowskiej propagandy. Zwłaszcza strofy o Polakach w Hiszpanii. Sprawa Komuny była dla mnie prostsza: Piłsudski pisał piękne słowa o Jarosławie Dąbrowskim i jego żołnierzach i to podpowiadało generalną ocenę polskiego dowódcy Komuny. Również portrety Walerego Wróblewskiego i Romana

Czarnomskiego znalazły się w naszym młodzieżowym muzeum patriotycznej wyobraźni. Wróblewski był jednym z organizatorów i bohaterów powstania styczniowego, Czarnomski, który także walczył w 1863 r., wcześniej odznaczył się w legendarnej bitwie pod Stoczkiem i podczas Wiosny Ludów – w Poznańskim, gdzie dosłużył się rangi majora.

Miejsce dla wątpliwości znalazło się w strofie mówiącej o „Paryżu, który chce zapomnieć” (a nie o wersalczykach rozstrzeliwujących komunardów – jak podpowiadała propaganda). Te zdarzenia na tyle nie dawały mi spokoju, że poświęciłem im potem jeszcze kilka linijek poematu „Dąbrowski” i kilka dramatycznych scen. Scen – bo linijki poświęcone Komunie rozrosły się w trzygodzinny dramat, który zatytułowałem „W białych ogrodach Tuilleries”. Dramat ten wygrał potem ogólnopolski konkurs, został wystawiony przez krakowski Teatr Stary pod skróconym tytułem „Białe ogrody” – i szybko zdjęty przez cenzurę. A dokładniej mówiąc: nam się wydawało, że tylko przez cenzurę. Po latach z dokumentów IPN dowiedziałem się o interwencji SB wywołanej donosami jednego z aktorów – Jana Sykutery. Donosiciel został potem nagrodzony dyrektorem teatru w Legnicy. Zdjęciu sztuki towarzyszyła nagonka w prasie i radiu, w której udział wziął cały sztab służalców: oficjalny historyk Garlicki, felietonista K.T. Toeplitz, krakowski profesor *nomen omen* Zdrada i paru propagandzistów. „Białe ogrody” udało mi się wystawić dopiero w czasach karnawału „Solidarności”, a właściwie wyemitować w radiu, i to dwukrotnie: w wersji 60- i 90-minutowej. Potem cenzura zdjęła je z prób czytanych w Płocku – znów dzięki donosicielowi. W III RP dramat nie był wystawiany, a jedynie wydrukowany w zbiorze „Sny o ojczyźnie”.

► Walterowcy

Dwie zwrotki poświęcone Hiszpanii ujawniają bardziej nasze ówczesne emocje niż wiedzę. Pomimo wahań byliśmy po stronie republiki. I nie był to wpływ mitu o generale Walterze – tego typu, którego pomnik szpecił park miejski w Bytomiu, nie znosiliśmy od dzieciństwa. Dlaczego od dzieciństwa? Bo jeździliśmy wszyscy na letnie kolonie, a Walter był elementem, który psuł tę wakacyjną radość. Elementem indoktrynacji były „pieśni musowe”, które kazano nam zakuwać i wyśpiewywać na apelach. Taką pieśnią był oczywiście hymn Związku Radzieckiego, taką pieśnią był „Hymn młodzieży” (śpiewaliśmy to-to „Nie zna granic, ni kondonów”) i taką pieśnią było właśnie „Serce generała Waltera” autorstwa Roberta Stillera:

*W rytmie fabryk szukajcie
Tętna krwi generalskich żył*

*Wszak on rósł przy warsztacie,
Metalowcem, tokarzem był.
Więc na każdej tokarce,
Gdzie nóż w metal się wżera
Warcząc, bije wciąż serce
Generała Waltera,*

Po latach z akt IPN dowiedziałem się, że również Stiller był tajnym donosicielem (TW „Literat” i „Kryspin”).

Wyniesiony z dzieciństwa „wolterowski uraz” wpłynął na to, że w ramach „małego sabotażu” już w Klubie Artystów Anarchistów próbowaliśmy zniszczyć pomnik generała Świerczewskiego stojący w bytomskim parku. Całego monumentu rozwalić się nie udało, zdołaliśmy jednak odtrącić generalski nos. To był nasz pierwszy sukces w walce z komunizmem. W pewnym sensie byliśmy „walterowcami”.

► Jak u Orwella

Mimo niechęci do generała Waltera podczas szkolnych i studenckich dyskusji stawaliśmy po stronie republiki, a przeciwko generałowi Franco. Złożyło się na to kilka przyczyn – politycznych i pozapolitycznych. Polityczne to szacunek dla demokracji. Im mniej było jej w PRL, tym bardziej ją ceniliśmy. A przecież republikanie zdobyli władzę w sposób demokratyczny, komuniści i anarchiści wespół w zespół wygrali wybory 1936 r. Na ten prawno-historyczny argument nakładały się przyczyny pozapolityczne – głównie z dziedziny literatury i sztuki.

Wielki wpływ na naszą wyobraźnię, także moralną, miał Ernest Hemingway i jego powieść „Komu bije dzwon”. Byliśmy wielbicielami amerykańskiego pisarza, laureata Pulitzera i Nobla, uważanego przez świat za prozaika numer jeden. Dodać trzeba, że jego powieść o wojnie w Hiszpanii została u nas wydana w okresie październikowej odwilży, w 1957 r. Dodatkowo przemawiał za nią fakt, że tłumaczył ją Bronisław Zieliński – człowiek legenda. Ułan 1939 r., który uciekł z radzieckiej niewoli, potem oficer Kedywu, bohater Powstania Warszawskiego, więziony w czasach stalinowskich przez komunistyczne władze PRL. Charyzma tłumacza nadawała nie tylko książce Hemingwaya, lecz także nawet samemu autorowi opozycyjny odcień. Zieliński był przyjacielem amerykańskiego pisarza, a ich znajomość miała zacząć się od tego, że Hemingway, który lubił zniechęcać tłumaczy, na prośbę Zielińskiego o spotkanie odpowiedział „testowym” pytaniem: „Czy przyjedzie pan trzeźwy, czy pijany?”. „Postaram się wcześniej nie pić” – odpowiedział Zieliński. Riposta tak spodobała się Hemingwayowi, że

nie tylko zgodził się przyjąć Polaka, lecz także gościł go serdecznie wiele dni.

Drugim pisarzem, który miał wpływ na naszą wyobraźnię, był Władysław Broniewski. Podczas spotkania w naszej szkole opowiadał o „swoim i naszym Komen-dancie” Piłsudskim, o Legionach i wojnie z bolszewikami, chwalił się otrzymanym wówczas Krzyżem Virtuti Militari. Od tej pory był w naszym pojęciu najwybitniejszym poetą. Jego „Bakunin” stanowił dla nas jedno z głównych źródeł anarchizmu, znaliśmy na pamięć poemat „Ostatnia wojna”, o „Słowie o Stalinie” natomiast jakoś się nie mówiło. O istnieniu takiego utworu dowiedziałem się dopiero na studiach polonistycznych. Z wierszy tzw. postępowych i rewolucyjnych znaliśmy chyba „Zagłębie Dąbrowskie”, a na pewno „No pasaran”:

*Umierający republikanie,
brocząc po bruku krwią swoich ran,
w krwi umaczanym palcem po ścianie
wypisywali: „No pasaran!”*

*Ogniem, żelazem napis ten ryto
pośród barykad z bruku i serc.
Tak się rodziła wolność Madrytu,
droższa niż życie, trwalsza niż śmierć.*

*Na nią dwa lata parły faszysty,
ogniem, żelazem zlobiąc jej kształt.
Wolność na posąg rosła ojczyzny,
tej, która depcze ucisk i gwałt.*

*W wierszu mym – wolność, równość, braterstwo,
wiersz mój zbroczony krwią swoich ran.
Jeśli ma zginąć, niech poprzez śmierć swą
głosi nadzieję: „No pasaran!”*

Barykady Madrytu kojarzyły się w naszej wyobraźni z barykadami Powstania Warszawskiego, faszysty – z faszystami niemieckimi.

Nie tylko oszukał nas i siebie Broniewski. Także – co może wydać się zaskakujące – w oszustwie wziął udział Gałczyński. Niechcący i w sposób pośredni. O zbrodniach popełnianych przez komunistów na księżach nikt wówczas nie miał pojęcia, o zabiciu Lorki przez frankistów wiedział każdy miłośnik poezji. A Federico Garcia Lorca był dla nas „hiszpańskim Gałczyńskim”...

Prócz poezji kształtowały nas pieśni. Wydaje się to sprzeczne z tym, co przed chwilą mówiłem o idiotycznej pieśni masowej Stillera – więc wyjaśniam: „Asturia”. Naprawdę piękna pieśń w wykonaniu chóru Czajanda (Czesława Januszewskiego). I to ona zagłuszyła w naszych uszach i sercach warczące serce Waltera.

Niektórzy z nas, pozując na nowoczesnych, uwielbiali wówczas Picassa. Dla mnie twórczość tego mala-

rza kończyła się gdzieś w okresie błękitnym i różowym – na sylwetkach smutnych cyrkowców i równie smutnych Żydów grających na gitarach. Ale o bombardowaniu Guerniki przez niemiecki legion Kondor nie mogłem nie usłyszeć. Oprócz gołąbka pokoju był to jedyny chyba tak nagłaśniany Picasso. Niechlujny artystycznie, nachalny, kiczowaty, ale w tej kiczowatości dramatyczny. O obronie Alkazaru natomiast słyszeliśmy piąte przez dziesiąte, twierdza kojarzyła nam się raczej z obrazem El Greca. Pamiętam dyskusję, podczas której problem, kto przed kim bronił tej twierdzy, rozstrzygaliśmy metodą... głosowania.

► W stronę prawdy, w stronę współczesności

O tym, że sympatie Polaków były podzielone, że ceniomy przez nas Zdzisław Stroiński poświęcił obrońcom Alkazaru poemat, dowiedzieliśmy się dopiero w czasach „konfederackich”, więc po roku 1970. Albo od Tadeusza Mocarckiego, który pisał magisterium o Gajcym, albo od Jurka Tomaszewicza, który był żarliwym propagatorem SiN-owców i wydawcą ich wierszy. O tym, że na Mokotowie, przy Odyńca prawie do końca Powstania broniła się reduta Alkazar¹ – po prostu nie wiedziałem. Wstyd przyznać, ale douczyłem się dopiero wtedy, kiedy w ramach podziemnych wykładów organizowanych przez KPN i Związek Piłsudczyków przygotowywałem wykłady o Powstaniu. Wcześniej – jako „dziecko Starówki” – znałem tylko historię walk, w których mógł brać udział mój ojciec – do końca sierpnia 1944 r.

A przecież wojna w Hiszpanii powinna była budzić zgrozę. Zwłaszcza działania tzw. Frontu Ludowego – łączące obłudę z okrucieństwem. Zwycięska lewica, nawiązując do wzorów bolszewickich, otwarcie wzywała do eksterminacji przeciwników. Już tydzień przed wyborami gazeta „El Socialista” zapowiadała: „Jesteśmy zdecydowani zrobić w Hiszpanii to, co było zrobione w Rosji. Plan hiszpańskiego socjalizmu i rosyjskiego komunizmu jest taki sam”. Po zwycięstwie 17 lutego lewica zaczęła tworzyć na wzór sowiecki komisje „cheka” (czyli: czeka).

Jedną z posłanek lewicy, feministka i socjalistka Margarita Nelken, w swych historycznych przemówieniach próbowała nawet przeliczyć rewolucję lenińską: „Chcemy rewolucji, ale rosyjska rewolucja nie

może służyć nam za wzór, u nas musi wybuchnąć ogromnym płomieniem pożar rewolucji, który dostrzeżę na całym świecie, i kraj muszę zalać falę krwi, która czerwienią zabarwi morze”. Demagogia? Podniecająca licytacja? Ale słowa komunistycznych przemówień przekładały się na fakty: od lutego do lipca 1936 r. spalono 170 kościołów, zamordowano 330 księży, zakonników i zakonnic. Potem te liczby rosły.

W nocy z 12 na 13 lipca został uprowadzony z domu i zabity strzałem w tył głowy przywódca opozycji, monarchista prof. Jose Calvo Sotelo. To stało się detonatorem buntu.

17 lipca generał Franco ogłosił z Wysp Kanaryjskich powstanie. Wkrótce objęło ono hiszpańską Afrykę, w niedługim czasie całą Hiszpanię. Franco wyczuł, do czego może prowadzić objęcie władzy w Hiszpanii przez komunistów, a raczej przez ich radzieckich doradców. Na pirenejskim krańcu kontynentu powstałaby kolejna republika sowiecka, marsz na Europę można by było rozpocząć z obu stron. Tego zagrożenia Europejczycy zdawali się nie dostrzegać – nie rozumieli więc, i nadal nie rozumieją, rzeczywistego znaczenia walki generała Franco.

Bilans rewolucji to zniszczenie 20 tys. świątyń, śmierć 7 tys. księży (w tym 283 zakonnic), to masakra setek tysięcy zwykłych ludzi. Dokładnej liczby ofiar nie znamy, o niektórych jednak nie zapomnimy już nigdy: 512 ofiar, także kobiet i dzieci, zatłuczonych cepami i zepchniętych w przepaść koło miasteczka Ronda, 800 ofiar wrzuconych do kopalnianych szybów w rejonie Ciudad Real, masakra więźniów w Madrycie.

To był koniec lewicowej utopii.

Jest jeszcze jeden ważny, z roku na rok ważniejszy wymiar tamtych wydarzeń. Analiza wojny w Hiszpanii stanowi klucz do zrozumienia strategii stosowanej przez Rosjan. Interwencja Sowietów w Hiszpanii była pierwszą wojną hybrydową, była podbojem, który udawał wyzwolenie, grabieżą przebraną za pomoc. Dla Niemców i Rosjan Hiszpania stanowiła poligon – Niemcy mogli wypróbować samoloty, Rosjanie – dowodzenie, łączność, metody ideologicznego motywowania do walki. Posługiwali się nie tylko ideami, lecz także strachem – żołnierze republiki bardziej bali się swoich politruków niż wroga.

Sowieci już wtedy potrafili udawać, że nie walczą, że są tylko instruktorami, doradcami, reporterami, nie wysyłali swych wojsk, a tylko „międzynarodowych ochotników” – dowodzonych przez agentów w rodzaju Molojca, Szyra, Toruńczyka czy wspomnianego już wielokrotnie Waltera. „Doradcy” z NKWD terroryzowali „czerwone” oddziały, kierowali bratobójczą rzezią anarchistów, a wprowadzając wszędzie sowieckie porządki – rekwirowali dobra ruchome, dewastowali nieruchome, zorganizowali kradzież

¹ Obroną górującą nad Toledo twierdzy dowodził płk José Iturarte Moscardó. Na czele 1200 żołnierzy bronił się ponad dwa miesiące przeciwko dziesięciokrotnie silniejszemu oddziałom oblegającym. W trakcie walk komuniści schwytyli jego syna, Luisa, i zagrozili rozstrzelaniem, jeśli pułkownik nie podda Alkazaru. Pułkownik odmówił. Twierdzą uwolniły z oblężenia oddziały gen. Franco. Syn Moscarda został jednak zamordowany przez komunistów.

hiszpańskiego złota i dzieł sztuki – potrafili obrobić nawet Muzeum Prado. Nazywano to braterską pomocą, a świat bardzo chciał wierzyć w braterstwo. Także Hemingway i Orwell. Także Broniewski i kilku chłopców z Polski, którzy wtedy poszli walczyć za Hiszpanię. I których miałem na myśli, pisząc dodatkowe strofy wiersza „Za naszą wolność i waszą”.

► „Pogrom w LWP”

Przywołując wiersz o inwazji na Czechosłowację, muszę wrócić do sprawy, o której wówczas często dyskutowaliśmy: do czystek w LWP. Mówiło się nawet nieźbyt składnie o „czystkach żydowskich” – przeprowadzał je gen. Jaruzelski w porozumieniu z Moczarem. Obu tym typom należy się pogarda Polaków, obaj byli współpracownikami tajnych służb (Moczar nawet GRU), obaj pohańbili mundury polskich oficerów – ale: „czystki żydowskie” to mit. Nie twierdzę, że ich nie było, lecz zdarzenia przebiegały inaczej, niż utrzymała to propaganda III RP.

Czystki nie zaczęły się w 1968 ani nawet w 1967 r., z Marcem (przez duże M) miały niewiele wspólnego, ofiarą ich padło wielokrotnie więcej oficerów polskich niż żydowskich. Zaczniemy jednak od historii. Po „wyzwoleniu” w 1945 r. przeprowadzono nie tylko demobilizację, lecz także zaczęto dorzynać „wrogów” – sanacyjnych i akowskich oficerów wykorzystywanych wcześniej jako mięso armatnie.

Szacunkowo oblicza się, że ta I czystka objęła 20–30 tys. żołnierzy i oficerów. Aresztowaniom oficerów towarzyszyły zwykle aresztowania rodzin, co niekiedy badacze uwzględniają w liczbie 30 tys. ofiar, niekiedy – nie.

II czystka przeprowadzona została po 1950 r. Usunięto ponad 9 tys. oficerów i żołnierzy – znów przedwojennych i akowskich. Wielu znalazło się w więzieniach i nigdy z nich nie wróciło.

W 1967 r., po kompromitującej radzieckich „doradców” wojnie izraelsko-arabskiej, na polecenie Moskwy rozpoczęto w LWP III czystkę. Polecił szef Zarządu Wydawnictw i Drukarni Wojskowych płk Michał Friedman, także płk Henryk Aszkenazy z Wojsk Lotniczych, także gen. Jan Frey-Bielecki, który ponoć miał „żonę Żydówkę”. Ale fakt, że polecił szef sztabu Wojsk Lotniczych płk Wincenty Heinrich (bez „żydowskich korzeni”), fakt, że wyrzucono z lotnictwa do Aeroklubu bohatera bitwy o Anglię płk. Stanisława Skalskiego (już w 1948 r. otrzymał wyrok śmierci, niewykonany wskutek protestów Anglii) oraz przypadek usunięcia kilkunastu innych wyższych oficerów lotnictwa – wszystko to każe uważnie spojrzeć na przeprowadzane czystki. Dodajmy, że utracił także stanowisko szef sztabu Mary-

narki Wojennej kontradmirał Jan Wiśniewski, który nie miał niesłusznych „korzeni”, a naraził się w październiku 1956 r., gdy nie pozwolił sowieckim okrętom wejść do Gdyni. Polecił również szef sztabu Wojsk Lądowych, również „bezkorzennego” pochodzenia – Zygmunt Duszyński. Gdy dokładnie policzyć te dymisje, okazuje się, że wyrzuconych „bezkorzennych” Polaków było kilkakrotnie więcej niż tych z żydowskimi korzeniami!

► Dramat za dwiema kurtynami

W oficjalnym żargonie belkotano o „poprawie stanu kadry” – to była pierwsza zasłona dymna. W szeptanej propagandzie – o usuwaniu Żydów. Oskarżano ich o brak lojalności i szpiegostwo – to była druga zasłona. W rzeczywistości chodziło o usunięcie z armii elementów nie dość prosowieckich, tych z akowskim, a nawet jeszcze przedwojennym rodowodem. Na czele komisji „czyszczącej” postawiono generała Jaruzelskiego² („Wolskiego”) – zasłużonego dla służb sowieckich i PRL-owskich.

Pod koniec 1967 r. sekretarz partii Gomułka otrzymał notatkę gen. Stanisława Wytyczaka – członka tej „czyszczącej” komisji Jaruzelskiego. (Jej treść przedstawił Dariusz Wilczak w „Newsweeku”, w 2007 r.). Z notatki wynikało, że zaplanowano zwolnienie około 2 tys. oficerów (w tym 17 generałów i 180 pułkowników). Tylko niespełna 200 z tych 2 tys. miało żydowskie pochodzenie. Planu nie wykonano – akcję wyhamowano na polecenie Gomułka, tuż po wydarzeniach marcowych. Zwolniono 1381 oficerów, w tym niespełna 200 (podawane są liczby 181 i 189) pochodzenia żydowskiego i 1200 – polskiego pochodzenia. Spośród zwolnionych wyjechało z Polski „aż” 55 oficerów, w większości – rzeczywiście żydowskiego pochodzenia. Reszta przeszła na inne lukratywne stanowiska (np. znany oprawca Salomon Morel) lub na „mundurowe”, niemałe emerytury.

Antysemityzm został do tych zwolnień dodany jako zasłona dymna. A o co naprawdę chodziło? W 1967 r. komunizm nie tylko przegrał na Bliskim Wschodzie. Przegrywał także w centrum Europy. W tym kontekście mówi się o kryzysie w Czechosłowacji, ale rzeczywiste źródła przemian pulsowały na południu, w Jugosławii. Ten kraj od 1948 r. pozostawał formalnie poza blokiem radzieckim – zachowując model zbliżony do socjalizmu. Sprawdział się system samorządów i akcjonariatu, poluzo-

² Jaruzelski dość szybko zaczął dogadywać się z Moczarem, który wyrastał na przywódcę frakcji natolińskiej („Chamów”). Demonstrując ten sojusz, Jaruzelski wystąpił jako świadek na ślubie Moczara – 24 VII 1969 r.

wano planowanie, dopuszczono obcy kapitał. Jednocześnie – ze względów propagandowych – Zachód pomagał Jugosławii, dostarczał technologii, o których gospodarka socjalistyczna mogła tylko marzyć. W latach 1965–1967 nasiliła się kolejna fala reform. Biblią reformatorów stała się „Nowa klasa wyzyskiwaczy” (1957 r.) Milovana Đilasa, byłego partyzanta i wiceprezydenta Jugosławii. Wydana w 1957 r. w Londynie została błyskawicznie przetłumaczona na 40 języków, w tym na polski – przez „Kulturę” Giedroycia. Đilas był wprawdzie szykanowany, nawet internowany i w końcu skłoniony do emigracji, lecz jego książka dokonywała stopniowego podboju środkowej Europy. Stała się natchnieniem dla czeskich dysydentów.

Na tle przemian zachodzących w Europie (a nawet tylko w Jugosławii) sytuacja Czechosłowacji jawiła się relatywnie i faktycznie jako zła i z roku na rok gorsza. Po 1966 r. kryzys objął jednocześnie bazę i nadbudowę. Złe działało się w gospodarce, po raz pierwszy od lat nęda zaczęła doskwierać masom robotniczym, nie dawała już sobie rady do absurdu skolektywizowana wieś. Nawet partyjni ekonomiści zaczęli przebąkać o „socjalistycznej gospodarce rynkowej” i odważyli się zachwycić Jugosławią.

W nadbudowie nie było lepiej. Pisarze i publicyści coraz głośniej zaczęli krytykować politykę partii, a zwłaszcza osobę jej I sekretarza Antonína Novotného. Krytyka osiągnęła kulminację na IV Zjeździe Związku Pisarzy Czechosłowackich, na którym potępiono okres 20-letnich rządów komunistów. Organem reformatorów stały się „Literární Noviny”, które osiągnęły nakład 140 tys. egzemplarzy. Redaktorzy pisma należeli do czołowych krytyków Novotného i komunizmu. Zostali wprawdzie wyrzuceni z partii, pismo podporządkowano Ministerstwu Kultury, lecz wrzenia to nie uciszyło.

Do literatów dołączyli studenci, którzy pod koniec października 1967 r. zorganizowali demonstracje w Pradze. Coraz częściej domagano się „socjalizmu o ludzkim obliczu”.

Z początkiem 1968 r. partia zaczęła przechodzić na pozycje swoich krytyków. 4 stycznia ze stanowiska I sekretarza został usunięty Novotný (zachował stanowisko prezydenta), zastąpił go Słowak Alexander Dubček, który publicznie przyznał się do wypażeń i zapowiedział reformy. 22 marca pod naciskiem opinii publicznej Novotný ustąpił także ze stanowiska prezydenta Czechosłowacji, w jego miejsce 30 marca Zgromadzenie Narodowe wybrało słowackiego generała Ludwika Svobodę. Zapowiedziano zmiany prowadzące do federalizacji państwa, publicznie domagano się systemu wielopartyjnego i przywrócenia zwierzchnictwa rządu nad partiami. Ivan Sviták żądał na łamach „Studenta” odtworzenia

partii socjaldemokratycznej, Václav Havel – stworzenia niezależnej partii chadeckiej.

Rosja patrzyła na te zmiany z niepokojem tym większym, że w Czechosłowacji, podobnie jak w Jugosławii, jej wojska nie stacjonowały. Czeska zaraza zaczęła się szerzyć w innych krajach. Nawet w Polsce powtarzano hasło: „Polska czeka na swego Dubczeka”. Bojąc się powtórki z Jugosławii, Rosja wołała powtórzyć Węgry. W marcu 1968 r. na spotkaniu przywódców partii komunistycznych w Dreźnie ekipa sowiecka narzuciła uznanie zmian w Czechosłowacji za kontrrewolucję. Interwencja była już tylko kwestią czasu. 26 czerwca 1968 r. w Czechosłowacji zniesiono cenzurę. To był ostatni dzwonek.

► Operacja „Dunaj”

14 i 15 lipca w Warszawie odbyło się spotkanie przywódców państw socjalistycznych. Wezwali oni rząd czechosłowacki do wycofania się z reform, wydania zakazu działalności nowo powstałych organizacji uznawanych za wrogie i, rzecz jasna, przywrócenia cenzury. Potem zaczął się okres gry na czas: władze sowieckie udawały, że dążą do politycznego rozwiązania kryzysu, wysuwały coraz to nowe żądania, a jednocześnie szykowały wojska do agresji.

W nocy z 20 na 21 sierpnia 1968 r. zaczęła się operacja „Dunaj”. Ponad 600 tys. żołnierzy ZSRS, Polski, NRD, Węgier i Bułgarii wkroczyło na terytorium Czechosłowacji. Wsparcie stanowiło 6,5 tys. czołgów. Czesi na ogół nie stawiali oporu, wyjątek stanowiły potyczki z Rosjanami, w wyniku których po stronie najeźdźców było 12 zabitych, po stronie obrońców – 108. Największa grupa, licząca 15 osób, zginęła, broniąc radia. W trakcie inwazji z Czechosłowacji uciekło około 300 tys. obywateli, po niej – jeszcze około 100 tys.

Ze strony polskiej w agresji udział wzięły oddziały 2. Armii WP pod dowództwem gen. Floriana Siwickiego. W przyszłości Siwicki został ostatnim ministrem obrony PRL i pierwszym ministrem obrony III RP w rządzie Mazowieckiego.

Kontyngent polski liczył 24 tys. żołnierzy w dwóch rzutach, wspierało go 647 czołgów, 566 transporterów oraz 400 armat, moździerzy i dział różnego typu. Polacy zajęli rejon miasta Hradec Králové.

Nie była to akcja w pełni dobrowolna, niemniej była to akcja haniebna.

W przeciwieństwie do Rosjan Polacy nie napotkali oporu. Dwie osoby cywilne zostały zabite i cztery ranne w wyniku akcji pijanego żołnierza. Polacy stracili 10 żołnierzy, którzy zginęli wskutek niewłaściwego posługiwania się bronią, i dwóch, którzy popełnili samobójstwo.

I tu kończy się wstęp do wiersza „Za naszą wolność i waszą”.



Piotr Lisiewicz

Moje pokolenie, dzisiejszych czterdziestoparolatków, nie marzyło nigdy o służbie w wojsku, inaczej niż większość polskich pokoleń. W latach 80. miganie się od służby wojskowej było dla wielu buntem przeciwko komunie, bo odmawiali przysięgi, w której zobowiązywano się strzec „Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przed zakusami imperializmu”, a także „stać nieugięcie na straży pokoju w braterskim przymierzu z Armią Radziecką”. Niektórzy za odmowę wypowiedzenia tych słów szli nawet do więzienia.

Również w III RP armia z poboru, rządzona przez „starych trepów” z PRL, dysponująca posowieckim uzbrojeniem, nie była dla nas przez wiele lat atrakcyjna. A ci, którzy wyjeżdżali na zagraniczne misje, po powrocie dostawali propozycje pracy za 2 tys. zł, bo komuna w wojsku nie chciała konkurencji.

Zazdroszczę młodym, którzy dziś mogą służyć w wojsku, w tym w Obronie Terytorialnej w czasach, w których ministrem obrony jest Antoni Macierewicz. Przedrukujemy dziś fragmenty niezwyklej

książki „De Virtute Militari. Zarys etyki wojskowej”, która była obowiązkową lekturą polskich żołnierzy z lat 1938–1939, autorstwa wybitnego filozofa i logika, rektora uniwersytetu we Fryburgu, o. Józefa Bocheńskiego. Czytałem ją w latach 90., jeszcze za życia jej ponad 90-letniego już autora, który udzielił wywiadu „Gazecie Polskiej”.

Czytało się to z zapartym tchem, ale jako coś z kompletnie innego świata. Dziś tamto przesłanie i tamte wartości wracają. Książka ta świetnie porządkuje bełkot, który w najbardziej ekstremalnej wersji zaprezentował jakiś czas temu w rozmowie z Moniką Olejnik Maciej Maleńczuk: jak wiara w Boga może mieć coś wspólnego z zabijaniem?

Myślę, że ten wykład o. Bocheńskiego o tym, dlaczego czasem mamy obowiązek zabijając naszych braci, którzy są chwilowo wrogami, i o tym, jak ważny oraz wzniosły jest to obowiązek, powinien wrócić na nowo jako lektura przydatna w szkoleniu polskiego wojska.

A poza tym o. Bocheński apelował: czytajcie Sienkiewicza i grajcie w piłkę nożną. Miłej lektury.

Józef Bocheński

De Virtute Militari. Zarys etyki wojskowej

Zawód wojskowy powinien być ubocznym zawodem każdego mężczyzny. Tak jest przynajmniej w krajach, które z racji geopolitycznego położenia są narażone na częste wojny – jak np. w Polsce.

Etyka wojskowa jest etyką specjalną ludzi, którzy na stałe poświęcają się przygotowaniu i prowadzeniu wojny. W ścisłym słowa znaczeniu jest to więc etyka żołnierzy służby stałej.

Ponieważ jednak warunki nowoczesnej wojny wymagają, by udział w niej brali wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni i ponieważ przygoto-

wanie do tej służby wymaga długiego okresu wychowawczego, etyka wojskowa obowiązuje nie tylko żołnierzy służby stałej, ale wszystkich mężczyzn w ogóle.

Innymi słowy można to samo wyrazić mówiąc, że zawód wojskowy powinien być ubocznym zawodem każdego mężczyzny. Tak jest przynajmniej

w krajach, które z racji geopolitycznego położenia są narażone na częste wojny – jak np. w Polsce.

W tych krajach etyka wojskowa posiada więc szerszy zasięg niż jakakolwiek inna: jej zasady obowiązują wszystkich mężczyzn. Nadaje to etyce wojskowej szczególnie wielkie znaczenie i wyróżnia ją spośród innych etyk specjalnych.

► Unikać „odbrązowniczych” pism

Nie można dzielnie walczyć o coś, czego się nie zna i nie ocenia należycie. Stąd podstawą miłości ojczyzny jest dobra znajomość swojego kraju, jego dziejów, kultury i wartości, których jest nosicielem. Żołnierz bardziej niż każdy inny obywatel powinien znać swoją ojczyznę i to nie tylko opisowo i zewnętrznie (np. wiedzieć ile jego kraj ma mieszkańców i kilometrów kwadratowych), ale także pod względem duchowym i kulturalnym, aby mógł ocenić wzniosłość wartości przez nią reprezentowanych. Tylko taka znajomość umożliwi spełnienie czynów naprawdę bohaterskich, które na wojnie będą potrzebne.

Wynika stąd z kolei, że żołnierz powinien posiadać dobre wychowanie obywatelskie, oparte m.in. na lekturze prac z zakresu historii własnej ojczyzny. W doborze tej lektury konieczne jest właściwe nastawienie: trzeba wybierać te rzeczy, które oświełają dodatnie strony naszych dziejów i uwypuklają wartości przez naszą ojczyznę reprezentowane.

Natomiast trzeba unikać tzw. odbrązowniczych pism, które mają dążyć do poniżania przeszłości i kultury własnego kraju. Kto by nieostrożnie oddawał się przez dłuższy czas tego rodzaju studiom, najprawdopodobniej straciłby szacunek dla własnej ojczyzny, a – co za tym idzie – jego miłość ku niej uległaby pomniejszeniu, powodując kolejno obniżenie jego wartości bojowych. [...] Ze stanowiska etyki wojskowej należałoby żądać, aby ze szkół były bezwzględnie wyeliminowane wszystkie książki poniżające własną ojczyznę [...]

Poza wyszkoleniem rozumu konieczne jest także wychowanie woli. Nie wystarczy mieć wyraźny i jasny ideał, ale trzeba mieć także siłę, aby za nim iść. Otóż tę siłę zdobywa się przez ćwiczenie sprawności. [...] Dlatego w wojsku stosuje się pieśń i uroczystości patriotyczne, czyli się pamięć poległych itp. Wszystkie te rzeczy, choć na pozór podrzędne, mogą być doskonałą pomocą w pracy nad wytworzeniem nastawienia zasadniczego stosunku do kraju. [...]

► Obowiązek niszczenia wroga w imię miłości

Cel wojny określa również, jakim powinien być stosunek do nieprzyjaciela. Na wojnie chodzi miano-

wicie o zniszczenie żywej siły jego wojsk i o to tylko, a chodzi o nie dlatego, że chcemy bronić praw naszej ojczyzny i tylko dlatego. W tym zdaniu zawarte są wszystkie zasady etyczne dotyczące stosunków z nieprzyjacielem.

Zasadniczo reguluje stosunek do nieprzyjaciela nakaz zniszczenia jego siły bojowej; stosowanie się do tego nakazu jest naczelną normą etyczną wojny. Kto powodowany względem na sympatię, litość czy tym podobne uczucia zaprzestaje ognia albo nie wykonuje jakiejś akcji, zdradza cel wojny i grzeszy ciężko przeciw zasadom etycznym, bo nie wykonuje obowiązku, którym w danej chwili jest: zniszczyć siły nieprzyjacielskie.

Z tej zasady wynika, że żadne względy osobiste nie mogą wchodzić w rachubę w polu: nawet gdyby w szeregach przeciwnika stał najbliższy przyjaciel, trzeba z nim walczyć; nawet gdy wiemy, że podtrzymywanie ognia sprawia żołnierzom nieprzyjacielskim wielkie cierpienie, przerwać go nie wolno, o ile ten ogień jest potrzebny ze względu na przedmiot akcji.

Tym bardziej oczywiste jest wartość artystyczna budynków, w których się nieprzyjaciel kryje, ani tym podobne względy nie mogą stać na przeszkodzie działaniu. Naczelnym obowiązkiem jest – powtarzamy raz jeszcze – zniszczenie nieprzyjaciela.

Niemniej ta norma podlega ograniczeniu przez inne normy – tak zresztą jak wszystkie nakazy etyczne. Gdziekolwiek mianowicie wykonanie jej byłoby sprzeczne z wyższymi zasadami, musi ona ustąpić. Takimi zasadami wyższego rzędu będą wszelkiego rodzaju umowy, czy to dwustronne, czy też międzynarodowe, których gwałcić w żadnym wypadku nie wolno – zwłaszcza gdy zostały zawarte właśnie na wypadek wojny. [...]

Co do nieprzyjaciela, miłość nie sprzeciwia się bynajmniej zasadzie walki: bo ta walka jest obowiązkiem, który właśnie w imię miłości trzeba spełnić. Ale równocześnie żąda od nas, abyśmy naszym braciom, którzy chwilowo są nieprzyjaciółmi, pomagali tam, gdzie będziemy mogli i gdzie pozwoli obowiązek. [...]

W bitwie etyka nakazuje podporządkować siebie oddziałowi i ojczyźnie. Zachodzi tu jednak następujące pytanie: jeśli wolno dla celów taktycznych narażać się na prawdopodobną śmierć, czy wolno jest także iść na śmierć pewną? Czy wolno np. wysadzić materiały wybuchowe, wiedząc, że się przy tym zginie? Trudność polega na tym, że podobne czynny mają pozór samobójstwa, które ze stanowiska etyki ogólnej jest zawsze niedopuszczalne, jako czyn zasadniczo nieetyczny

Niemniej jest to tylko pozór. Żołnierz wysadzający materiały wybuchowe wykonuje czynność, która nie ma na celu własnej jego śmierci i bezpośrednio w niego nie godzi: chodzi o zniszczenie jakiegoś innego obiektu. Z owego zniszczenia wyniknie przede wszystkim korzyść zamierzona przez wykonawcę względnie dowódcę – a w związku z nią dopiero, ubocznie i oczywiście wbrew woli działającego, śmierć. Nie ma tu więc samobójstwa pod względem etycznym i akcja niedozwolona nie jest. [...]

► Mężny żołnierz jak pianista

Cztery cechy składają się zatem na pojęcie męznego czynu. Taki czyn musi być odważny, ale poza tym rozumny, etyczny, połączony z wielkim niebezpieczeństwem. Do pojęcia odwagi nie wchodzi ani rozumność, ani etyczność i wystarcza jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Nawet i tego nie potrzeba, ściśle mówiąc. I tak można nazwać „odważnym” (choć lepiej mówić tutaj o śmiałości) chłopca, który idzie śmiało do zimnej wody, choć ciarki po nim chodzą. Męstwo jest zatem pojęciem bogatszym niż odwaga.

Powyższe określenie męstwa nie jest jednak jeszcze zupełne. Wśród ludzi idących do boju rozumnie, zgodnie z nakazami etyki i z narażeniem życia, znajdują się dwie kategorie: jedni idą wprawdzie, ale z największym wysiłkiem woli: cała ich natura buntuje się przeciw temu i muszą z niebywałym wysiłkiem panować nad sobą. Inni idą również, ale spokojnie, trzymając pewnie w wodzach swoje uczucia i zajęci wyłącznie przebiegiem akcji. Zachodzi pytanie, która z tych kategorii składa się z ludzi naprawdę męжных, a która z jednostek tylko odważnych. [...]

Pod wpływem Kanta także i nasze społeczeństwo wyżej ceni sobie, przynajmniej teoretycznie, tego, kto gwałtem nad sobą panuje, od spokojnego i pewnego swej natury żołnierza.

Ale jeśli tak jest w masach cywilnych, ludzie wojny nigdy podobnie nie myśleli i myśleć nie mogli. Jedyną teorią, którą żołnierz uznać może, jest tradycyjna nauka tomistyczna oparta zresztą na pracach starogreckich, według których właśnie ów opanowany i pewny siebie żołnierz jest mężny, a wcale nie tamten nowicjusz, który tyle ze sobą musi walczyć, aby działać. [...]

Człowiek mężny musi więc być nim nie tylko w woli, ale także w uczuciach: nie odczuwać zbyt silnego strachu. [...]

Możemy na podstawie powiedzianego wygłosić już definicję czynu męznego: mężnym nazywamy czyn podjęty z etycznych pobudek i nakazu rozumu, połączony z wielkim, uświadomionym sobie

niebezpieczeństwem, a wykonany z mocą wynikającą z opanowania uczuć bojowych przez stały charakter. [...]

Gdy pianista zaczyna się uczyć grania, przychodzi mu ono z największym oporem i wysiłkiem; potem, gdy już posiada sprawność, gra stanie się dla niego łatwa i przyjemna. Nie inaczej ma się rzecz z męstwem: mężny czyn będzie dla normalnego początkującego trudny; gdy nabierze już właściwej sprawności męstwa, przyjdzie mu z łatwością i pewnie. [...]

► Wielkoduszność według Arystotelesa

Wielkoduszność jest, jak sama nazwa wskazuje, sprawnością dysponującą człowieka do wykonywania wielkich rzeczy, tak że posiadający ją ma skłon-

NIE MOŻNA DZIELNIE WALCZYĆ O COŚ,
CZEGO SIĘ NIE ZNA I NIE OCENIA
NALEŻYCIE. STĄD PODSTAWĄ MIŁOŚCI
OJCZYZNY JEST DOBRA ZNAJOMOŚĆ
SWOJEGO KRAJU, JEGO DZIEJÓW,
KULTURY I WARTOŚCI, KTÓRYCH JEST
NOSICIELEM. ŻOŁNIERZ BARDZIEJ NIŻ
KAŻDY INNY OBYWATEL POWINIEN ZNAĆ
SWOJĄ OJCZYZNĘ.

ność do działania w imię wielkich celów i w obliczu wielkich niebezpieczeństw. Wielkoduszność jest nieodzownym warunkiem męstwa, zwłaszcza wojskowego [...]

Warto przytoczyć tutaj niezrównaną charakterystykę człowieka wielkodusznego, pozostawioną nam przez największego geniusza starożytności, Arystotelesa. Człowiek wielkoduszny, zdaniem jego, posiada następujące cechy: (1) nie przejmując się zbyt wiele pochwałami, nawet wielkimi, wyżej ceniąc same czyny niż nagrody za nie; (2) jednakowo zachowuje się w powodzeniu i niepowodzeniu: jest wyższy ponad te rzeczy; (3) chętnie innym udziela pomocy, ale sam nigdy albo prawie nigdy o nią nie prosi – bo pomagać komuś jest oznaką wielkości, przyjmować pomoc znakiem słabości; (4) przestając z wielkimi nie

pochlebia im, ale śmiało wyraża swoje zdanie, czując się sam wielkim; za to nie narzuca swego zdania małym, ale jest w stosunku do nich skromny; (5) nie jest ambitny i nie dba o zaszczytniejsze funkcje i stanowiska; (6) posiada odwagę cywilną, swoje zdanie każdemu mówi w oczy; (7) nie pamięta doznanych krzywd, uważając się za wyższego ponad wszelkie zło, jakiego od ludzi doznać może; (8) nie mówi źle o innych, i w ogóle mało się nimi interesuje; (9) porusza się bez nerwowości i działa bez pośpiechu, gdyż nie miesza się do małych sprawek, ale zajmuje się wielkimi i lubi wielkie ryzyko; (10) woli uchodzić za mniejszego niż nim jest rzeczywistość.

Nietrudno stwierdzić, że powyższy ideał dość dokładnie odpowiada ideałowi żołnierza honorowego w ściślejszym tego słowa znaczeniu. Wielko-duszość można też nazwać „zdrową ambicją”. Jest ona jedną z najbardziej typowych sprawności żołnierskich. [...]

► Czytajcie Sienkiewicza i grajcie w piłkę

Wolę wychowuje się tylko przez ćwiczenie. Nic nie pomogą najpiękniejsze ideały, jeśli się jej nie zaprawi do wysiłku: nie ma pod tym względem żadnej różnicy między sprawnościami etycznymi a technicznymi: nie wystarczy wiedzieć, jak się robi, dajmy na to, podkowę, aby potrafić ją zrobić, i trzeba sporo żelaza napsuć, zanim się nabierze potrzebnej wprawy. [...]

Niestety czynów męstwa specyficznie wojskowego w czasie pokoju demonstrować nie możemy, a w czasie wojny są one rozproszone po polach walki i nie wszyscy mogą je podziwiać. Radzimy sobie w ten sposób, że żywe osobistości zastępujemy przez życiorysy wielkich wojowników i ich ideały kreślone przez wybitnych pisarzy. Czytanie tego rodzaju pism jest zasadniczą metodą przy szkoleniu do męstwa wyobraźni.

Warto położyć na to szczególny nacisk, gdyż, jak się zdaje, ten punkt jest na ogół mało uwzględniany. Ludziom się zdaje, że mogą bezkarnie czytywać wyłącznie defetystyczne i nerwy rozstrajające powieści, nigdy nie zaglądając do literatury wojennej, i mimo to nie tracąc męstwa, a nawet go nabierać. Jest to fatalne złudzenie i defetystyczni pisarze kształcą w duszy czytelnika silne obrazy przedstawiające jaskrawo ciemne strony wojny: cierpienia, brzydotę, możliwe nadużycia – co musi w chwili potrzeby zwiększyć nacisk uczuć ujemnych i paraliżować akcję. [...]

W pewnym okresie nawet usunięto ze szkół „Trylogię” Sienkiewicza, jedno z najpiękniejszych

dzieł batalistycznych jakie istnieją, napisane z niezrównanym znanstwem żołnierskiej psychologii, opisujące w dodatku walki polskie – a w zamian za to daje się książki, malujące możliwie jaskrawo charaktery bezsilne i zmarniałe. Trzeba być ślepym, aby nie wiedzieć, co z tego wyniknie: wychowa się pokolenie ludzi może fizycznie zdrowych, ale którzy nie będą mieli moralnych sił do chwytności za broń w chwili niebezpieczeństwa i nie potrafią zasłonić Rzplitej. [...]

Nie mogąc wywoływać sztucznie wielkich niebezpieczeństw, musimy się tu zadowolić mniejszymi. Doskonale służy do tego celu sport, idealna jak na czasy pokojowe szkoła męstwa. Sport, w ścisłym tego słowa znaczeniu jest czynnością połączoną z ryzykiem, które należy pokonać przytomnością umysłu, w zawodach z przeciwnikiem. Sport tak pojęty, zwłaszcza jeśli chodzi o sport drużynowy – jak piłka nożna – jest walką na małą skalę, wymagającą tych samych zalet, co walka serio. Istnieją jednak pod tym względem niekiedy nieporozumienia: uważa się za sporty w tym samym znaczeniu różne ćwiczenia, które nie łączą się z ryzykiem, i stawia się je na równi ze sportami niebezpiecznymi, oczywiście dlatego, że się ma na myśli głównie wyszkolenie siły woli i mięśni. Ze stanowiska teorii męstwa ćwiczenia te posiadają jednak małą wartość, bo nie dają sposobności do usprawniania odwagi, tak że bardziej celowe byłoby kładzenie nacisku raczej na sporty „wysokie”, jak konna jazda, piłka nożna itp., które wymagają właśnie opanowanej odwagi, a zarazem ćwiczą także inne sprawności (decyzję, solidarność) specyficznie wojskowe. [...]

W pracy nad wychowaniem męstwa ważną rolę odgrywają u żołnierza chrześcijanina środki nadprzyrodzone. Łaska nie tylko nie znosi natury, ale ją podnosi i jeśli jakiś czyn jest obowiązkiem, tym samym liczyć możemy na pomoc Bożą w jego wykonaniu. [...] Kościół katolicki posiada specjalny sakrament, którego celem jest przygotowanie wiernych do walki: jest nim sakrament bierzmowania. [...]

► Posłuszeństwo jako realizacja wolności

Trzeba z całym naciskiem podkreślić, że posłuszeństwa wymagamy w wojsku nie ze względu na wyższość człowieka nad człowiekiem, ale dlatego, że człowiek winien się podporządkować temu, co wyższe od niego: normie etycznej, a w ostatecznej analizie jej źródło – Bogu. Tylko ci, którzy uważają człowieka za najwyższą wartość, nad którą nie ma niczego, mogą temu prze-

czyć. Ale ta teoria, którą, jakśmy widzieli, nie da się pogodzić z prawem obrony orężnej, jest najzupełniej bezpodstawną. Trzeba być ślepym na wartości, aby móc twierdzić, że człowiek jest miernikiem i celem wszystkiego. W rzeczywistości jesteśmy tylko nieznaczoną częścią kosmosu, podległą jego prawom i mającą swój cel poza sobą w Absolutie – Bogu. [...]

Posłuszeństwo nie znosi bynajmniej wolności psychologicznej, ale przeciwnie: ją zakłada. Tylko ten może słuchać, kto jest wolny, tj. kto by mógł wybrać nieposłuszeństwo. Otóż wolność, która jest wysoką wartością i podstawą etyki, to właśnie wolność psychologiczna, nie wolność od zobowiązań; ta ostatnia jest nawet sprzeczna z etyką. Zatem posłuszeństwo nie tylko nie znosi owej wartości, ale przeciwnie, zakłada ją, i aby ktoś mógł być naprawdę po ludzku posłuszny, musi być w wysokim stopniu wolny. [...]

► Autorytet dowódcy

Dowódca ma po wtóre obowiązek rozkazywać jasno i stanowczo. Rozkaz powinien być, innymi słowy, prawdziwym rozkazem, nie radą, wskazówką, dyrektywą czy tym podobnym. Chodzi tutaj najpierw o to, aby podwładny nie miał żadnych wątpliwości, że ma do czynienia z rozkazem, a więc z nieodwołalną wolą przełożonego, a łącznie z tym, aby wiadomo mu było dokładnie, co przełożony bierze na swoją własną odpowiedzialność. Rozkazywanie niejasne i niestanowcze jest szkodliwe nie tylko ze stanowiska techniki dowodzenia, bo wywołuje zamieszanie, ale stanowi także dowód miernoty duchowej, gdyż jego przyczyną jest zazwyczaj parokrotnie już wspomniana chęć uchylecia się od odpowiedzialności. Pewną rolę odgrywa tutaj oczywiście także umiejętność jasnego wyrażania swojej myśli, którą dowódca będzie musiał osiągnąć w wyższym stopniu niż inni.

Jednym z podstawowych warunków stanowczości rozkazu jest wydanie go dopiero w chwili, gdy decyzja została możliwie najdokładniej, jak na to okoliczności pozwalają, przemyślana i powzięta. Rozkaz, będąc przekazaniem decyzji ze strony dowódcy, powinien, jak każde wykonanie, nastąpić dopiero po przygotowaniu, ale też wówczas paść musi energicznie, stanowczo i nieodwołalnie. [...]

Wreszcie konieczne jest na wojnie by prócz siły decyzji, rozkaz był poparty autorytetem charakteru. Nie wystarczy samo poprawne i mocne decydowanie, jeśli dowódca zachwiał pokładane w sobie za-

ufanie przez okazaną mierność moralną, np. brak wytrwałości albo męstwa. [...]

Wszystko to sprawia, że na dowódcy – a więc także na tym, który ma nim zostać, czyli na wszystkich oficerach rezerwy, wychowankach szkół podchorążych itp., innymi słowy na całej niemal inteligencji naszego kraju – ciąży szczególnie wielki obowiązek wyteżonej pracy nad swoim charakterem bojowym. Kto choć znośnego poziomu tego charakteru nie osiągnie, ten nie ma w sumieniu prawa podejmować się dowództwa najmniejszej nawet jednostki: jego obowiązkiem jest służyć jako szeregowiec. Ale potrzeby państwa są takie, że także od dowodzenia nikomu z powołanych do tego uchylać się nie wolno. Dla tych, którzy nie nabyli jeszcze potrzebnej tężyzny i sprawności moralnej, pozostaje więc tylko jedna droga: nieprzerwana praca samowychowawcza.

POSŁOWIE

Rozprawa „De Virtute Militari” („O cnocie wojkowej”) została napisana w r. 1938–39 w przewidywaniu nadchodzącej wojny i była drukowana odcinkami w „Rozkazy wewnętrzne Biskupa Polowego”. Wydania książkowego się nie doczekała z powodu okupacji. W międzyczasie danym było autorowi zebrać stosunkowo wiele nowych doświadczeń, a zwłaszcza obserwacji zarówno żołnierzy, jak i dowódców w boju; miał też sposobność przemyśleć na nowo rzeczy, o których w tej książce mowa. Mimo to po przeszło pięćdziesięciu latach nie wydaje mu się, by tekst potrzebował zasadniczych zmian. Co prawda, autor zajmuje dziś inne stanowisko niż wówczas, gdy chodzi o pojęcie etyki i parę innych czysto teoretycznych zagadnień [...]. Natomiast wszystko co praktyczne – a o to tu przecież chodzi – pozostało w myśli autora bez zmian. Nic zresztą w tym dziwnego, bo te praktyczne wskazania są związane z samą naturą ludzką, która się nie zmienia. Gdyby autor rozprawy miał ją pisać na nowo, sformułowałby wiele szczegółów inaczej, użyłby zapewne innej terminologii, styl byłby odmienny, ale myśli zasadnicze pozostałyby te same.

Nawiasem mówiąc, wszystko co istotne w tej książce zostało powiedziane ponad siedemset lat temu przez jednego z największych myślicieli dziejów, Tomasza z Akwinu. Autor przypisuje sobie tylko usystematyzowanie, unowocześnienie (przykłady) i spolszczenie.

Fryburg Szwajcarski, 10 stycznia 1992. ■

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP”.

Kiler wyklęty i obroża Skiby



Krzysztof Karnkowski

W jeden
z czerwcowych
wieczorów Internet
został mocno
rozgrzany politycznym
występem wokalisty
Elektrycznych Gitar,
Kuby Sienkiewicza,
na festiwalu w Opolu.
Moje zaciekawienie
(koncertu nie
oglądałem!) szybko
zmieniło się
w rozczarowanie
i zaskoczenie reakcją
przeciwników
i zwolenników
artystycznej
wypowiedzi
Sienkiewicza.

Artysta wplótł w starą piosenkę kilka wersów dotyczących bieżącej sytuacji politycznej. Ani obraźliwych, ani błyskotliwych. Sienkiewicz ponoć zawsze w piosence z filmu „Kiler” pozwala sobie na krótką improwizację, w Opolu, dla dużej publiczności, zaznaczył przy okazji swoje sympatie polityczne. Sympatie niebędące żadnym zaskoczeniem, muzyk znany był z poparcia dla Unii Wolności, zaś w początkach KOD-u dał w Warszawie koncert dla tworzącego się ruchu. Z drugiej strony jednak potrafił nagrać nie tak dawno płytę z utworami poświęconymi najnowszej historii Polski, na której znalazł się robiący piorunujące wrażenie „Dywizjon 303”. Stąd kiedy w oświadczeniu wydanym później mówi o innych niż pomniki sposobach kultywowania pamięci historycznej, wydaje się mniejszym od wielu swoich kolegów po fachu hipokrytą.

► UW – zawsze wierni

Niestety, na tym nie kończy. Sympatycy artysty oddali mu po opolskim występie wiele hołdów, a jego wygłup (przy czym nie używam tego określenia pejoratywnie, a jedynie po to, by przywrócić temu zdarzeniu odpowiednią skalę) urósł do rangi bohaterstwa. Sienkiewicz, porwany najwyraźniej tym entuzjazmem, postanowił wykreować się na męczennika. Czytanie niepochlebnych czy obraźliwych komentarzy (a takich pojawiło się sporo, ponieważ brak panowania nad nerwami i klawiaturą nie jest przypisany do jednej strony) na pewno nie jest rzeczą przyjemną, jednak porównywanie się do osób prześladowanych w PRL, co uczynił lider Elektrycznych Gitar w rozmowie z „Rzeczpospolitą”, to krok za daleko. Zwłaszcza jeśli sam deklaruje równocześnie „wielki podziw” dla ich „niezłomności i konsekwencji”. A ja nie mam podstaw, by mu w tym przypadku nie wierzyć.

Sienkiewicz, autor piosenek lekkich, sympatycznych i ironicznych, które w swoim czasie stały się wielkimi przebojami, jest w pewnym sensie typowym przedstawicielem tej części inteligencji, która wierna pozostała dawnej UW. Dał wyraz swoim poglądom, a reszta rozegrała się już niejako sama. Sam artysta stwierdził, że dawno nie poczuł takiej fali zainteresowania, nic dziwnego więc, że dał się jej ponieść. Warto jednak mieć świadomość, że po 1989 r. powstało o wiele więcej, o wiele bardziej niesprawiedliwych i powielających fałszywy obraz świata z „Gazety Wyborczej” tekstów. W 2006 r. zespół T. Love zamieścił na swojej płycie mocny atak na

Lecha Kaczyńskiego, któremu w utworze „Mr. President” zarzucano ciągoty do inwigilacji, nietolerancję, a nawet aspiracje militarne („Twoja kamera śledzi mnie teraz/Twoja ustawa pewnie mnie dopadnie zaraz/Może za mało cię przytulała mama/Może Cię tata przekładał przez kolana” – nie wiem, czy dziś Muniek Staszczuk, który wypisał się z bieżących walk politycznych, chętnie wraca do tego tekstu). W radiu Lady Pank martwiło się natomiast, że wrzucając głos do urny, wybiera się drób, z piosenki zapamiętano jednak głównie frazę: „Prokurator wytłumaczy ci to”. Dziś zespół deklaruje natomiast: „Każda władza nam przeszkadza”. Myśl tę muzycy dusili w sobie zapewne od czasów późnego PRL i jest zwykłym przypadkiem, że akurat teraz dzieli się nią z nami w piosence.

► Robotnik, Leszczer's i inni

Jeszcze w latach 90. polscy muzycy rockowi, jakkolwiek w sprawach światopoglądowych głos zabierali z reguły z pozycji lewicy obyczajowej (kwestia aborcji pojawiała się w wielu utworach i z reguły z pozycji lubiącej określać się jako *pro-choice*, zaś antyklerykalizm w tekstach to temat na doktorat, nie krótki artykuł), jeżeli personalnie atakowali polityków, na ogół byli to politycy SLD. Od tej zasady zdarały się oczywiście wyjątki, ponieważ i prawica nie cieszyła się tutaj żadną sympatią. Zespół Robotnik z Nowego Tomysła śpiewał bardzo obraźliwie o zapomnianym już chyba Henryku Goryszewskim, zaś znany z przeboju „Mój jest ten kawałek podłogi” Mr Z'ooob słuchaczom przypominał się piosenką, w której Markowi Jurkowi obrywało się za arobate dla kar cielesnych. Kilka lat wcześniej warszawski zespół The Leszczer's, złożony zresztą z bardzo młodych muzyków, ostrzegał przed grozącą Polsce faszystowską dyktaturą... Leszka Moczulskiego. Przed faszyzmem i przemocą w życiu politycznym, bez podawania nazwisk, w utworze „La” ostrzegał Lech Janerka, który podobnie jak Kuba Sienkiewicz znany był z sympatii do Unii Wolności. Tu jednak nie padały nazwiska i nazwy partii, tekst uznać można za uniwersalny. Mniej więcej w tym samym czasie wywodzący się z okolic Pomarańczowej Alternatywy Big Cyc nagrał płytę „Nie wierzę elektrykom”. Później, po przegranych przez Wałęsę wyborach, śpiewali jeszcze o tym, że „Kwas jest żrący”.

► Śliffocia z KOD-em

Skibie i jego kolegom nie przeszkadza to razem z Wałęsą i Kwaśniewskim firmować dziś marszów KOD. Marzy im się odzyskanie dawnej popularno-

ści – tym razem jako głos społecznego buntu. Ponoć sprzedało się 1000 egzemplarzy okolicznościowej płyty „Czarne słońce narodu” ze złowrogim konturem postaci Jarosława Kaczyńskiego (oczywiście z kotem) na okładce. Promujący ją utwór „Antoni wzywa do broni” na oficjalnym profilu w serwisie YouTube lansowała Platforma Obywatelska, kapela zaś dała swój koncert na marszu KOD 7 maja, przy okazji sprzedając płytę demonstrantom. To chyba pierwszy przypadek tak jaskrawego i jednostronnego zaangażowania się zespołu rockowego w politykę, nie licząc mało znanego epizodu, jaki przytrafił się zespołowi Psy Wojny, który w 2011 r. nagrał utwór na cześć Janusza Palikota. Bic Cyc po jednej stronie sporu ustawił się już w 2006 r., wydając płytę „Moherowe berety”, a później dorzucając do niej album „Szambo i perfumeria”. Pierwszą z nich reklamowano jako „zakazaną”, oczywiście robiąc to we wszystkich największych mediach. Ciekawe, że oprócz dwóch utworów poświęconych PiS (poza tytułowym jeszcze „Atakują klony” o braciach Kaczyńskich) znajdziemy tam całkiem trzeźwy utwór o lustracji „Tajni agenci” („Nowak, Olin, Zapalniczka/ Politycy z pierwszych stron/Gdy komuną siła prysła/W europejski biją dzwon” – nie słyszałem tej piosenki na koncercie po majowym marszu).

W 2010 r. Big Cyc nagrał kolejny utwór poświęcony prawicy, tym razem obiektem ataku stał się Jan Pospieszalski wraz z widzami audycji „Warto rozmawiać”. Poza epitetami i idiotycznymi zarzutami („Ksenofobia, nacjonalizm i pochwała szowinizmu/prosta droga od prawicy, do nowego prenazizmu”) zespół posunął się w tym przypadku również do manipulacji – w teledysku wykorzystano wyrwaną z kontekstu wypowiedź Pospieszalskiego dla niszowej internetowej TV Narodowej, z której można wysnuć wniosek, że prezydent obawia się ataku wojsk Izraela na Polskę. Teledysk w serwisie YouTube obejrzało 175 tys. ludzi, film oryginalny, na którym widać, że Pospieszalski zwyczajnie wyśmiewa Eugeniusza Sendeckiego, ma tylko 32 tys. odsłon.

Chociaż dziś jego zespół nawet w wykonywane przez siebie piosenki ze stanu wojennego potrafi wpieść odniesienia do PiS (w jednej „sowiecka obroza” zmieniła się w „pisiorską obrozę”), Skiba wciąż chętnie pokazuje się w „reżimowej” TVP, do której często jest zapraszany, występuje też w programie „W tyle wizji”. Dłuższa analiza tekstów zespołu, wywiadów i koncertowej konferansjerki („Dobra zmiana wkracza do mojego sracza” – cieszy się Skiba, grający dla KOD) sprawia, że o wiele cieplej myślę o Kubie Sienkiewicz i jego „etosowym ukąszeniu”. ■



Ryszard Czarnecki

Namibia niejedno ma imię

Co łączy Namibię z Mongolią? Co może łączyć dwa kraje z różnych geograficznych i politycznych bajek: postsowieckie państwo Mongołów i postkolonialny kraj, w którym niemieckie wpływy w dawnej ich kolonii wyczuwa się na każdym kroku? Otóż są to dwa państwa o najmniejszej na świecie liczbie mieszkańców na kilometr kwadratowy.

Łatwo się o tym przekonałem, gdy byłem w Namibii w ostatnim czasie i usiłowałem nawiązać kontakt z polskimi misjonarzami i zakonnicami w tym kraju Afryki Południowo-Zachodniej. A jest ich sporo, bo aż czternaścioro. Co prawda, nasi dyplomaci w RPA mówią mi o dwóch naszych zakonnikach, ale Episkopat Polski jednak na pewno wie lepiej. Są więc zakonnice:

Episkopatu do spraw Misji, mocno ograniczają moją mobilność. Jako misjonarz świecki otrzymuję roczną dotację w wysokości 3500 zł (słownie trzy tysiące pięćset złotych polskich) na rok! Jeśli Pan Przewodniczący nie wierzy, proszę spytać się u źródła lub w Centrum Formacji Misyjnej ul. Byszevska 1 w Warszawie. Jak uważa europosłanka Bieńkowska, w Polsce za 6000 zł miesięcznie pracuje tylko frajer. Dlatego jestem tu, gdzie jestem, robię to, co robię, bo inaczej w oczach posłanki Bieńkowskiej uchodziłbym za frajera do kwadratu [...] Jacek Sowiński".

Kościółów tu dużo, bo chrześcijanie stanowią ponad 91 proc. obywateli. Przeważają protestanci, których jest prawie dwie trzecie ogółu mieszkańców, po-

—
PONIEWAŻ NAMIBIA JEST KRAJEM „POSTĘPOWYM”, NIE DZIWI MNIE FAKT, ŻE KOŚCIÓŁ, SKĄDINĄD PODAWANY W INTERNECIE JAKO KATOLICKI, ALE TAK NAPRAWDĘ PROTESTANCKI, ZNAJDUJE SIĘ PRZY ULICY... FIDELA CASTRO.
—

Agnieszka Błasiak (pielęgniarka), Małgorzata Dziadkowiec, Barbara Firszt (nauczycielka), Jadwiga Lasocka, Anna Sarzyńska, Łucja Mazurkiewicz oraz świecka misjonarka Katarzyna Maćkowska oraz księża: proboszcz Andrzej Cieszkowski, Marek Fischer, Henryk Juszczak, Mariusz Skowron, Jerzy Szurgot, proboszcz Kazimierz Wróbel oraz świecki misjonarz Jacek Sowiński.

Stąd trudno się dziwić, że dostaję takie oto maile: „Dziękuję serdecznie za zaproszenie, ale nie mam możliwości, by wziąć udział w spotkaniu, ponieważ do Windhuku mam prawie 1000 km. [...] ks. Andrzej” albo: „Ja jestem w Namibii niespełna rok i pracuję na Misji Katolickiej pw. Świętej Rodziny w Andarze. Misja ta znajduje się w Regionie Kavango. Dystans, jaki dzieli mnie do stolicy Namibii, to 850 km, co stanowi znaczącą barierę dla mnie, osoby nieposiadającej tutaj żadnych dochodów. [...] Katarzyna Maćkowska”, albo: „[...] Jestem misjonarzem świeckim z Diecezji Warszawskiej od 2010 roku pracującym na Misji Andara w Regionie Kavango (Namibia Północno-Wschodnia). Zarówno odległość, jak i czas, nie pozwalają mi dojechać do Windhuku o czasie. Również skromne środki finansowe, jakie dostaję za pośrednictwem Komisji

tem są katolicy, stanowiący niespełna jedną piątą. Ale co dwudziesty mieszkaniec Namibii wyznaje cały czas tradycyjne wierzenia plemienne. Ponieważ Namibia jest krajem „postępowym”, nie dziwi mnie fakt, że kościół, skądinąd podawany w Internecie jako katolicki, ale tak naprawdę protestancki, znajduje się przy ulicy... Fidela Castro. Ulica Roberta Mugabe, okrutnego, wieloletniego dyktatora w sąsiednim Zimbabwie, budzi u mnie zdecydowanie większy niesmak niż ta na cześć Kubańczyka.

Kontrast. Jak to w Afryce. W ramach podróży po Windhuku i okolicach wiozą mnie do budynku starego browaru, gdzie dziś jest luksusowy sklep jubilerski. Dwanaście wielkości: od jednej dwudziestej karata do czterech karatów. Sześć kształtów. Od okrągłego „brylantu” przez owal, „brzoskwinie”, „markizę”, „serce” po emerald w kształcie stadionu. Nigdy nie słyszałem, że brylanty mają tyle oficjalnych kolorów: niebieski, biały, lodowy biały top white, handlowy biały, top silver, srebrny, cape oraz fancy colour yellow. Ludzie zostawiają tu na zakupach równowartość paru tysięcy euro. Na biednych nie trafia. Parę ulic dalej jest szpital dla niedożywionych dzieci. Namibia niejedno ma imię. ■



Tristan i Izolda na Titanicu



fot. Jan Naj/Gazeta Polska

Sylwia Krasnodębska

(Polskie Radio)

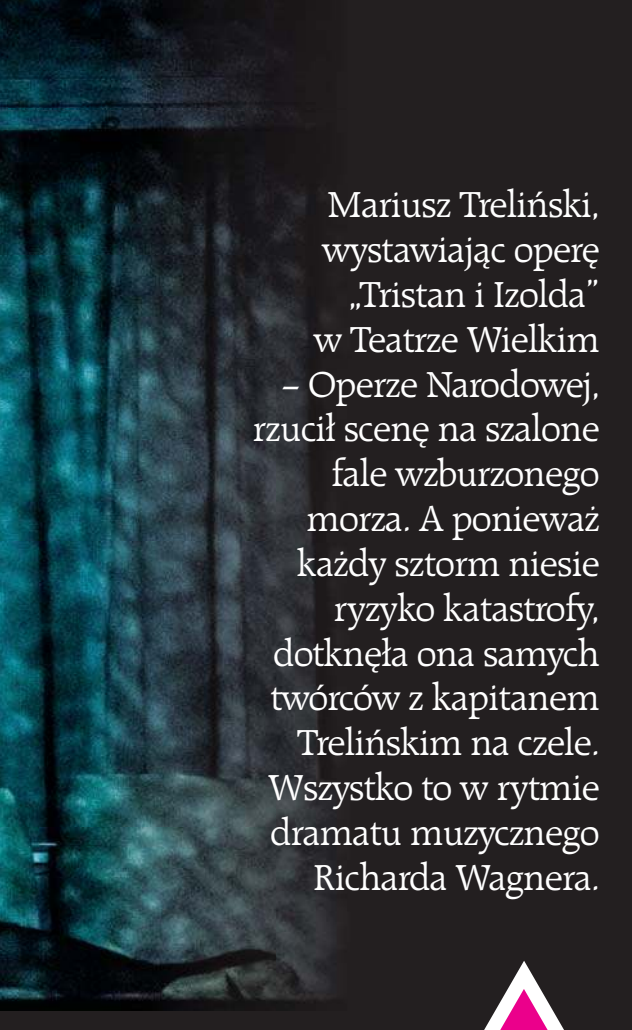
Kolosalnych rozmiarów statek pasażerski przecina monstrualnej wielkości morskie fale. Treliński udowadnia, że scenę taką, za pomocą spektakularnych wizualizacji, można zaprezentować w spektaklu na tradycyjnej scenie bez większego wysiłku. Walka z żywiołem to swego rodzaju punkt wyjścia. Trzy akty dramatu w wizji Trelińskiego to próba sił.

► Mordercze zapasy tradycji z nowoczesnością

Z jednej strony, arogancja współczesnych twórców z zapleczem brawurowych efektów specjalnych dających wręcz nieograniczone możliwości. Z drugiej – klasyczne dzieło muzyczne, które nie znosi ignorancji i powierzchowności. W te mordercze zapasy tradycji z nowoczesnością wpisał Treliński losy Tristana i Izoldy.

„Zaślubionych nocą” tragicznych kochanków. Splątanych miłością niepoprawną i niemożliwą. Skazanych na cierpienia w mrokach wrogiej im rzeczywistości.

Wagnerowski dramat muzyczny w trzech aktach powstał w 1859 r. Niemiecki kompozytor stworzył dzieło na podstawie arturiańskich legend. Pierwsze pisemne wersje legendy datowane są na XII wiek. Rycerz Tristan, zaufany króla Kornwalii Marka, postanawia znaleźć królowi godną żonę. Wybór pada na Izoldę Jasnowłosą. Ta, zaopatrzona przez matkę w eliksir miłości, na statku wiozącym ją do króla Marka, wypija płyn z Tristanem. Tak rozpoczyna się tragiczna miłość Tristana i Izoldy. Mroczne wnętrze statku staje się miejscem rodzącej się, gorącej miłości. Ale droga kochanków nie jest usłana różami. Wiedzą oni, że nie są sobie pisani, a ich uczucie ściągnie im na głowy wielkie kłopoty, zemstę i cierpienie.



Mariusz Treliński,
wystawiając operę
„Tristan i Izolda”
w Teatrze Wielkim
– Operze Narodowej,
rzucił scenę na szalone
fale wzburzonego
morza. A ponieważ
każdy sztorm niesie
ryzyko katastrofy,
dotknęła ona samych
twórców z kapitanem
Trelińskim na czele.
Wszystko to w rytmie
dramatu muzycznego
Richarda Wagnera.

► Umiłowani w żałobie

O ile pierwszy akt spektaklu w reżyserii Mariusza Trelińskiego wprowadził widzów w meandry nieprzychylnego przyszłym kochankom świata, o tyle drugi nie spełnił swojej roli. Miał on bowiem zachwycić widza miłosnymi uniesieniami tragicznych bohaterów. Tymczasem był jedynie stateczną prezentacją ich śpiewaczych talentów. Poprowadzenie tej części opowieści o Tristanie i Izoldzie właściwie bez ruchu scenicznego i minimum aktorskiej gry jest więcej niż nieporozumieniem. Trudno odczytać pobudki, którymi kierował się reżyser. Ciężka i gęsta atmosfera spektaklu dobrze współgra z dramatycznym losem Tristana i Izoldy. Duszny klimat sztuki stoi w porządku kontrze do widoku morza wyświetlanego na scenie. Oddać należy twórcom, że ocalił legendarne

dzieło od banału harlequina. A jednak to za mało, by utrzymać na właściwym poziomie dramaturgię opowieści. Czy miłosne uniesienia można pokazać innymi środkami wyrazu niż miłosnymi scenami właśnie? Z pewnością. Ale Treliński nie zadał sobie tego trudu. Jakby celowo i z pełną premedytacją pozbawił widza tej satysfakcji. Może to zabieg przeanalizowany, ale koszty tej operacji okazały się zbyt wysokie, a potrzeby widza i miłośnika opery zignorowane.

► Śpiewacy w morskich falach, Treliński w ogniu krytyki

Reżyser wyrывa bohaterów z ich rzeczywistości, stawia przed skrzywionymi lustrami i umieszcza w nowo wykreowanym dla nich świecie. Taka brawura interpretacyjna to zawsze rodzaj eksperymentu, niosącego duże ryzyko, które można określić mianem gwałtu na klasyce. Ale nie to jest największą kontrowersją twórcy. Muzycy i krytycy zarzucają Trelińskiemu niezrozumiałość muzyki. Śpiewacy często snują się po scenie bez celu. Chyba po to tylko, by pojawił się na niej czasem jakiś ruch. Teatr Wielki daje ogromne możliwości realizacyjne, a mimo to często muzyka zagłuszała śpiewaków, a nagłośnienie sceny wydawało się źle uregulowane. O ile każdy ma prawo do interpretacyjnego szaleństwa, to jednak przy tak dużym wystawieniu aż trudno uwierzyć w tak banalne potknięcia. Dramat w reżyserii Mariusza Trelińskiego przygotowany jest w koprodukcji z polską Operą Narodową, Metropolitan Opera, Festspielhaus Baden-Baden i National Centre for the Performing Arts w Pekinie. Stąd też premiera wywołała reakcję krytyków z całej Europy. Zarzucali oni złą realizację, niewykorzystanie potencjału śpiewaków i brak jasnej koncepcji. Jeden z najcięższych zarzutów sformułowany w „Der Tagespiegel”. Isabel Herzfeld napisała: „Reżyser pochodzący z branży filmowej chce przykroić wydarzenie operowe zgodnie z wymaganiami filmu. Niszczy jednak pożądaną całość przez nadmiar materiału wizualnego pochodzącego ze współczesnego świata medialnego, który pozostawia zbyt mało przestrzeni na prowadzenie postaci i przede wszystkim w uderzający sposób przeczy muzyce”. Diwa operowa Alicja Węgorzewska na łamach „Gazety Polskiej Codziennie” napisała o amatorskim podejściu Trelińskiego do opery i braku zrozumienia postaci. Wytyka nieznajomość muzyki i brak wyobraźni reżyserskiej.

Jedno jest pewne. Treliński swoją wizją „Tristana i Izoldy” uderzył widza miłosnymi torturami tragicznych kochanków. Ale odpowiedź na pytanie, czy to dobrze, czy źle, nie jest już taka jednoznaczna. ■

Królowa bluesa zaśpiewa w katowickim Spodku

Shemekia Copeland, jedna z najbardziej utalentowanych wokalistek bluesowych ostatnich lat, pojawi się w gronie gwiazd 36. edycji Rawa Blues Festival. W jednej ze swoich piosenek śpiewa: „poślubiłam bluesa”. Przed pięciu laty została ogłoszona jego nową królową



nych gatunków, takich jak soul – co wokalistka potrafi znakomicie, wymaga odwołania się do kanonów i tradycji. A ona czyni to porażającą siłą głosu i wyrafinowaniem wokalnym, w pełnych niuansów i odcieni interpretacjach piosenek, w których dominuje tak wyrazista u niej emocjonalność.

Shemekia Copeland sukcesywnie umacniała swoją pozycję na muzycznej scenie. Ma za sobą tysiące koncertów w klubach, na festiwalach i scenach całego świata. Śpiewała z Erikiem Claptonem, B.B. Kingiem, Buddym Guyem, Carlosem Santaną i innymi wielkimi współczesnej muzyki popularnej. Dostała również zaszczytu występu w Białym Domu.

Urodzona w 1979 r. w nowojorskim Harlemie, debiutowała jako dziecko w słynnym Cotton Club. Przez następne lata stawiała na scenie obok swojego ojca – bluesmana Johnny'ego Copelanda. Szybko osiągnęła artystyczną dojrzałość i mając 18 lat, nagrała debiutancki album „Turn the Heat Up!” dla słynnej wytwórni Alligator Records, z którą związała się na 10 lat. Płyta odniosła sukces – uznanie krytyków i przede wszystkim fanów. Niezwykle udany start do kariery w dzisiejszym świecie bluesa!

Wydawać by się mogło, że bogata, ponadstuletnia historia gatunku, pisana z udziałem śpiewających pań, nie pozwala na nowość i jakość. A jednak trudno powiedzieć, że Shemekia Copeland stała się kopiai którejś ze swoich poprzedniczek. Oczywiście śpiewanie bluesa i pochod-

mów, trzykrotnie nominowana była do nagrody Grammy, w tym również za najnowszą płytę „Outskirts Of Love”. Tym albumem powróciła do współpracy z legendarną wytwórnią Alligator Records. Dodajmy do tego jeszcze inne trofea: 8 Blues Music Awards oraz tytuł „Bluesowej Artystki Roku” przyznany przez pismo „Living Blues”.

Spotkanie z Shemekią Copeland – 1 października, podczas drugiego dnia festiwalu Rawa Blues w katowickim Spodku.

Bilety na 36. Rawa Blues Festival (30.09.–1.10.) dostępne są w całym kraju, w sieci Ticketpro. Szczegółowe informacje o cenach wejściówek: www.rawablues.com oraz na oficjalnym fanpage'u Rawy Blues Festival na Facebooku. ■

Rawa Blues



THE WORLD'S BIGGEST INDOOR BLUES FESTIVAL

NOSPR 30.09.2016 GODZ. 19.30

**KEB' MO' & NOSPR
COREY HARRIS SOLO**

SPODEK 1.10.2016

**JJ GREY & MOFRO
SHEMEKIA COPELAND
ALBERT LEE
TORONZO CANNON
SHAKIN' DUDI
DŻEM**

**KRZYSZTOF GŁUCH OSCILLATE ★ JOE COLOMBO FEAT. KASIA SKOCZEK
HOT TAMALES ★ CHEAP TOBACCO ★ F*CK THE PEOPLE ★ JANUSZ HRYNIEWICZ**

SCENA GŁÓWNA OD GODZ. 15.00

*Pokój Numer 3, Levi, Black Job, Black Bee, Blues Drawers
Elephant's Escape, Forsal, Jurajski Oddział Bluesowy*

SCENA BOCZNA OD GODZ. 11.00

Prowadzenie koncertów Piotr Baron, Jan Chojnacki i Marek Jakubowski.

info: www.rawablues.com bilety: www.ticketpro.pl





Propaganda 7/9

Film dokumentalny Michała Jaskulskiego i amerykańskiego Żyda Lawrence'a Loewingera pt. „Przy Planty 7/9” poświęcony jest pogromowi kieleckiemu. Bohater obrazu to Bogdan Białek, pokazany tu jako człowiek, który walczy ze stereotypami na temat relacji polsko-żydowskich. Kłopot w tym, że film „Przy Planty 7/9” te stereotypy Polaka-antysemity tylko utwierdza.



Sylwia Krasnodębska, POLSKIE RADIO

„Doszedłem do bramy. Ktoś krzyknął: »To Żyd!«. Zaczęli mnie bić kamieniami i karabinami. Rozbili mi głowę. Tędy wyszły zęby” – mówi, wskazując na brodę, starszy mężczyzna ze zdeformowaną twarzą. To wstrząsająca relacja ocalałego z pogromu Barucha Dorfmana, bohatera filmu pt. „Przy Planty 7/9”.

► W hołdzie ofiarom i zgodnie z historią

Pogrom kielecki był bestialskim mordem na 37 Żydach i trzech Polakach. Tragiczne wydarzenie z 4 lipca 1946 r., które rozegrało się przy ul. Planty 7, przyczyniło się do rozpowszechnienia stereotypu o Polakach-antysemitytach.

W filmie jest wiele cennych treści, a twórcy zadali sobie duży trud, by dotrzeć do świadków pogromu, również do tych, którzy tę kielecką masakrę przetrwali i odtwarzają w opowieściach traumatyczne zdarzenia z Kielc sprzed 70 lat. Jednak twórcy pokazali bardzo wąski obraz historii. Bez szerszego kontekstu historycznego obraz ten jest zwyczajnie zafałszowany. Popularna jest narracja, że pogrom kielecki miał się na polskiej ziemi, a Żydów mordowali Polacy. Czy takie stwierdzenie zamyka nas na szukanie przyczyn? Czy dociekanie prawdy stoi w sprzeczności z upamiętnianiem ofiar pogromu?

► Gross kontra wariaci

Bohaterem filmu jest Bogdan Bialek, prezes Stowarzyszenia im. Jana Karłowicza i współprzewodniczący Polskiej Rady Chrześcijań i Żydów. Był on organizatorem spotkania autorskiego w 2008 r. z Janem Grosse, autorem książki „Strach”. Spotkanie to pokazane jest w filmie jako atak wrzeszczącego tłumu na zrównoważonego pisarza. Ci, którzy pytają o prowokację sowiecką, przedstawieni są jako rozjuszeni wariaci.

Tymczasem już w 1981 r. w prasie opozycyjnej pojawił się artykuł mówiący o tym, że pogrom był prowokacją UB. W programie „Warto rozmawiać” na antenie TVP1 na początku czerwca historyk dr Ryszard Śmietanka-Kruszelnicki z IPN stawiał kluczowe pytania, na które wciąż nie ma odpowiedzi. Wskazywał na fakty, które dowodzą, że doszło do prowokacji, a nie rzekomego spontanicznego upustu polskiego antysemityzmu. Choć i ten, w kieleckiej masakrze, z pewnością odegrał jakąś rolę.

► Tylko prawda jest ciekawa

Jednym z wątków filmu jest udział robotników z huty „Ludwików”, którzy spontanicznie mieli dołączyć do żołnierzy mordujących Żydów. Warto wiedzieć, że huta wytwarzała elementy wyposażenia wojskowego. Również pojazdy Hydromil I i Hydromil II produkowane dla Milicji

Obywatelskiej do rozpędzania demonstracji. Huta była objęta specjalnym wojskowym nadzorem. Trzy dni przed pogromem kieleckim właśnie robotnicy z huty z ramienia partii brali udział w komisjach przy referendum 30 czerwca. I co ciekawe, żaden z tych robotników nie był oskarżony w komunistycznym procesie, który ruszył w 1946 r. Doktor Śmietanka-Kruszelnicki wskazał też na świadectwo kobiety, która zeznała, że żołnierze, po wtargnięciu do budynku przy ul. Planty 7, zdejmowali mundury i strzelali do tłumu przez okna, pozorując, że są Żydami. – Ja w tym nie widzę nic spontanicznego. To są działania celowe – mówił w programie Jana Pospieszalskiego historyk.

NARRACJA, ŻE ZA POGROM
ODPOWIADAJĄ POLACY, JEST
ZADZIWIWAJĄCA I SKRAJNIE KRZYWDZĄCA.
NA TAKIEJ SAMEJ ZASADZIE MOŻNA
BY UZNAĆ, ŻE POLACY OWŁADNIĘCI SĄ
MANIĄ ANTYPOLSKOŚCI, BO MORDOWALI
SIĘ W STANIE WOJENNYM.

Niebagatelne jest to, że w bliskiej okolicy budynku przy Planty 7 było kilka siedzib UB, jednostek NKWD, jednostek wojskowych i posterunków Milicji Obywatelskiej. W sumie 29 jednostek, którym dotarcie na miejsce, gdzie odbywał się sześciogodzinny zbiorowy mord, zajęłoby od kilku do kilkunastu minut. Zmilitaryzowane jednostki jednak nie interweniowały... Niezmiennie istotny jest kontekst międzynarodowy. Akty przemocy przeciwko Żydom rozpoczęły się w Związku Sowieckim już we wrześniu 1945 r. od pogromu w Kijowie. Potem pogromy odbyły się na Słowacji i na Węgrzech. Wpisywały się w krajobraz rysowany przez sowiecki terror.

► Filmowy sposób na antysemityzm

Ale nawet jeśli twórcy mieli na celu przedstawienie tylko *human story* Bogdana Białka, to nie do przyjęcia jest, by wybiórczo traktowali historię najnowszej Polski. Taka narracja, że za pogrom odpowiadają Polacy, jest zadziwiająca i skrajnie krzywdząca. Na takiej samej zasadzie można by uznać, że Polacy owładnięci są manią antypolskości, bo mordowali się w stanie wojennym. Problem w tym, że – uogólniając – opinia publiczna na świecie nie sięgnie po historyczne opracowania książkowe. A obejrzy ten film. ■



TAK SMAKUJE LAOS



tekst i zdjęcia

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

**Jest taka kraina. Daleko stąd.
Za górami, za lasami. Za
kolejnym meandrem rzeki.
Za kolejnym wodospadem.
Kraina, do której nie
prowadzą już żadne szutrowe
ani gliniaste drogi. Gdzie
nie ma dworca ani nawet
przystanku. Nic, tylko kilka
drewnianych chałupek
w cieniu wysokich mogotów...**

To kraina, do której można dostać się już tylko łodzią. Bo to jedyna droga. I tak też się tutaj dostałem. Kombinowałem, szukałem, ale, niestety: ostatecznie nie było innej możliwości. Przede mną dwa dni płynięcia – wpierw Mekongiem, a potem Nam Ou. Dwa dni na twardych drewnianych deseczkach imitujących siedziska na chybotałej łódce. W pozycji nisko kucającej. Dwa dni. Może jednak po kolei...

► Gdy ktoś cię zapyta...

– Asiu, jak będziecie w Laosie, to koniecznie, ale powtarzam: koniecznie, powinniście poświęcić kilka dni, aby się tam dostać – nie cierpię kogokolwiek do czegoś zmuszać ani tym bardziej ingerować w czyjeś plany, ale gdy dziewczyna zapytała mnie, czy mam jakieś „swoje” miejsce w tym dalekim i mało znanym państwie Azji Południowo-Wschodniej, dobrze wiedziałem, że ta rozmowa nie może potoczyć się inaczej. Że zrobię wszystko, aby zmienić ich plany i namówić na choćby najkrótszą wizytę w mojej krainie. Tej „zza gór i lasów”. Tej z „drewnianymi chałupkami w cieniu mogotów”. Zatem kontynuowałem. – Wyobraźcie sobie wioseczkę na końcu świata. Ona nie leży nawet przy głównym nurcie Mekongu. Nie! To by było zbyt proste. Trzeba odbić w jeden z jej dopływów. I płynąć dalej. Dwa dni. Ale wiercie mi... Wiercie mi, że warto. Przemęczycie się, to pewne. Będziecie kłąć, na czym świat stoi. To też pewne. Wygniotą wam pośladki. Ale w jednej chwili poczujecie, że wszystko to było warte wysiłku. Zresztą, ja do dziś pamiętam moment, w którym tam dopłynęliśmy. I wiecie co? Nie mam dziś najmniejszych wątpliwości, że czegoś piękniejszego i bardziej sielskiego w Laosie już nie znajduję.

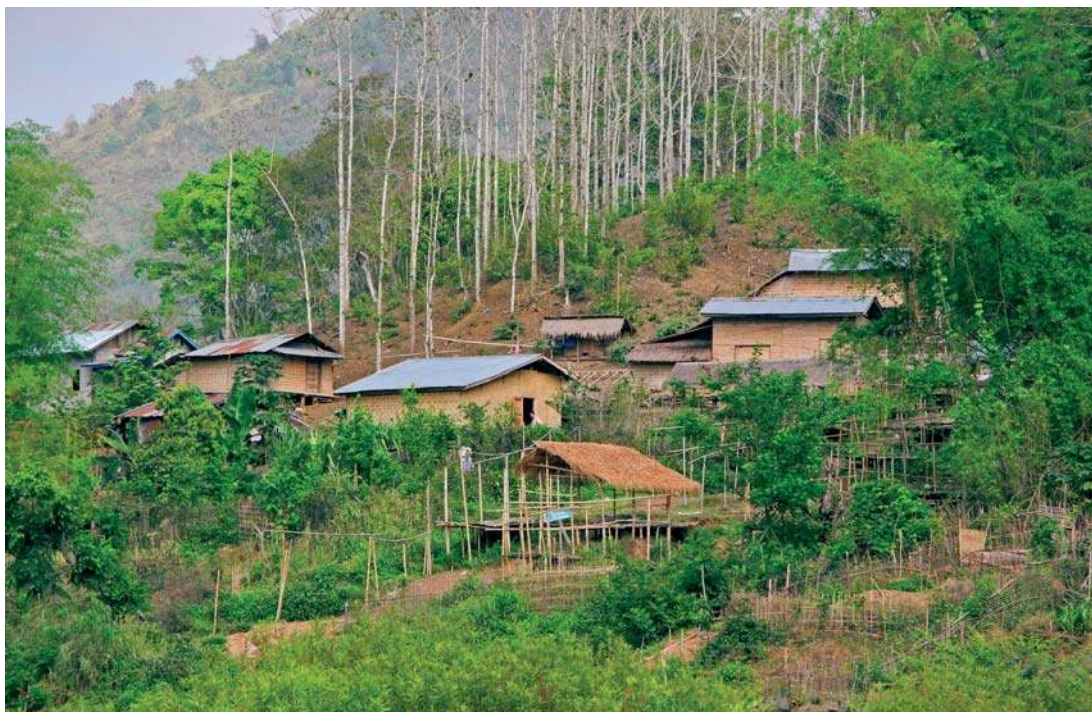
– No dobrze, Stefan – Asia wydaje się przekonana. – Ale czy my sobie poradzimy z tym dopłynięciem tam? Skoro to takie skomplikowane i poza głównymi szlakami rzecznymi...

– A kto powiedział, że to skomplikowane? Owszem, poza głównym nurtem Mekongu. To się zgadza. Ale, wierz mi, dla Laotańczyka znalezienie rzeczki Nam Ou to czysta przyjemność. Poradzicie sobie. Zresztą, już wam tłumaczę co i jak...

► „Hok” znaczy „szósta”

Mamy dziś środę. 30 marca 2011 r. Noc w Luang Prabang, bylej stolicy Laosu, minęła jakby jej nie było. Nie pamiętam, kiedy usnąłem. Za dużo emocji. Historii o smokach, które śpią pod tutejszym wzgórzem

Polawiacze metali szlachetnych na Mekongu



Jedna z laotańskich wioszek na wschodnim brzegu Mekongu

Phu Si. A które to mają wstać, gdy nastanie dzień, gdy mieszkańców nie obudzą dźwięki klasztornej gongu.

O szóstej rano kazali nam być w porcie. Tutaj ma nas czekać... po prostu „ktoś”. Od razu przypominam sobie wczorajszą rozmowę w przystani nad Mekongiem, gdy to próbowaliśmy ustalić warunki przewozu w górę rzeki.

– Dobrze, to co? Czyli wszystko ustalone, tak? Da radę nas ziąć? – próbuję podsumować efekty trwającej już od ponad kwadransa rozmowy. Skośnooki pan usadowiony w starym hotelu w przegniłym od wilgoci pokoju zdaje się jednak nie do końca wszystko rozumieć.

– Da, a jakże – powtarza jak mantrę. Wcale mnie to nie uspokaja. Mało tego. Nie postawiłbym nawet złotych, że zrozumiał cokolwiek z tego, co mu usiłuję od pewnego czasu wytłumaczyć.

– To już ustaliliśmy, drogi panie – próbuję po raz kolejny odnieść się do jakichkolwiek ustaleń. Póki co bowiem nie widzę żadnego oprócz powtarzanego w kółko „Da, a jakże”. – Co mamy teraz zrobić, przyjacielu?

– Bądźcie tutaj jutro.

– Ale o której? Konkretnie.

– Rano.

– Aha... Nie pomagasz, kolego – wyrzywa mi się w rodzimym języku.

– Wszystko jasne? – Laotańczyk ma chyba powoli dość naszej dyskusji.

– Nie! Nie wiem, ile zapłacimy. Ile czasu będziemy płynąć. Czy możemy zabrać bagaże? Wreszcie nie mam pojęcia, o której godzinie musimy się jutro stawić na miejscu?

– Spokojnie, spokojnie. Wszystko omówimy...

– Robimy to już od ponad dwudziestu minut... To jak? O której mamy się stawić?

– Tak, tak... Da radę...

Dopiero teraz łapię się na pewnym szczególe, który jakoś do tej pory do mnie nie dotarł. Ten pan nadal się uśmiecha. I nadal spokojnie obserwuje mnie swymi pogodnymi oczkami. Wszystko pięknie, tylko co ja mam mu właściwie teraz powiedzieć? Ja po laotańsku nie znam ani słowa. Z kolei on po angielsku kojarzy tylko kilka podstawowych zwrotów. Szczęście, że mamy już chociaż ustalone, że nas weźmie. Dobra, zaczynam od nowa.

– OK, przyjacielu. Jutro płyniemy w górę rzeki Mekong, prawda?

– Tak, tak. Da radę.

– Zatem jutro rano wstajemy i przychodzimy tutaj, tak?

– Tak, tak. Da radę.

– O której godzinie? – pytam wskazując na mój nadgarstek. Nie ma nim wprawdzie zegarka, ale ufam, że pan i tym razem wykaże się bystrością umysłu.

– Aaaaa... Dthawn sao. Dthawn sao – odpowiada mi.

– Hm... – próbuję więc na palcach. Rozkładam jedną dłoń i dodaję kciuk drugiej – O szóstej będzie OK?

– Hok?

– Tak! Hok! Może być i „hok”! – powtarzam bezmyślnie, nie mając póki co pojęcia, że to słówko po laotańsku oznaczające „sześć”.

– Dobrze, jesteście więc umówieni – dodaję wyczerpany. Macham sympatycznemu Laotańczykowi na pożegnanie i ruszam w kierunku wynajmowanego przez nas domku. Powoli robi się ciemno. Skoro mamy być w porcie już o szóstej, wypadaloby się wkrótce położyć. Za dużo tych emocji jak na jeden wieczór.

► Zapoznanie

Zatem szósta rano. Jesteśmy. Czekamy na „coś”. Może na „kogoś”. Żadne z nas nie wie. Budka, w której wczoraj rozmawiałem z moim przyjacielem, zamknięta na cztery spusty. Musimy czekać. Czekamy więc... Czekamy... Czekamy...

Nad miasteczkiem powoli zaczynają unosić się pojedyncze odgłosy życia. A to gospodyni wyjdzie na ganek wylać do ulicznego rynsztoka jakąś maź z wiadra. To znów zaszczeka pies. Po pewnym czasie słychać pewien głuchy stukot. Coś jakby wzajemne obijanie się drewnianych młoteczków. To znak, że łąda moment mnisi zaczął swój okolicyasteczkowy obchód. Dziś jednak nie mamy czasu, by się im przyglądać. Czekamy na...

– Halo!

– ... – Znudzeni i wsłuchani w kolejne odgłosy z miasteczka nie rejestrujemy cichego głosu dochodzącego gdzieś spod nas, znad rzeki.

– Halo! Halo! – powtarza się.

– Słuchajcie, to chyba do nas – Kuba reaguje pierwszy.

– Halo! Halo! – tak, to chyba do nas. Trzy razy z rzędu. Dłużej nie możemy na siebie czekać. Schodzimy nad rzekę.

Tutaj zaś niespodzianka. Okrzyki w naszym kierunku artykułował nasz wczorajszy znajomy. Czyli jednak zrozumiał!

– Hok! – mówię na powitanie.

– Hok, hok! – śmieje się, pokazując mi sześć palców.

Asi, naszej towarzysze, nie jest jednak do śmiechu. Właśnie zobaczyła, czym mamy płynąć przez najbliższe kilka godzin. Nasz *low boat*, jak to nazywają tutejsi, faktycznie nie wygląda zachęcająco. Wąska. Chybotliwa. Z pojedynczymi rzędami drewnianych krzesełek po obu

stronach burt. Już samo wejście na pokład wymaga akrobatycznych zdolności w utrzymaniu równowagi.

– Stefan, ja nie płynę – wypala wreszcie. Widać, że jest zdenerwowana.

– Oj, Asiu, chociaż spróbuj.

– Zapomnij. Mam spędzić kilka godzin w takim czymś? Prędzej umrę ze strachu.

– Spoko, będziemy płynąć blisko brzegu. Na wypadek tonięcia będzie blisko – śmieje się Kuba, a ja mam wrażenie, że jego specyficzne poczucie humoru tylko zaognia i tak napiętą już sytuację.

– Nie ma mowy... – Asia wydaje się przekonana do swych słów.

– I co? Tak sama tu zostaniesz? – próbuję ją przekonać.

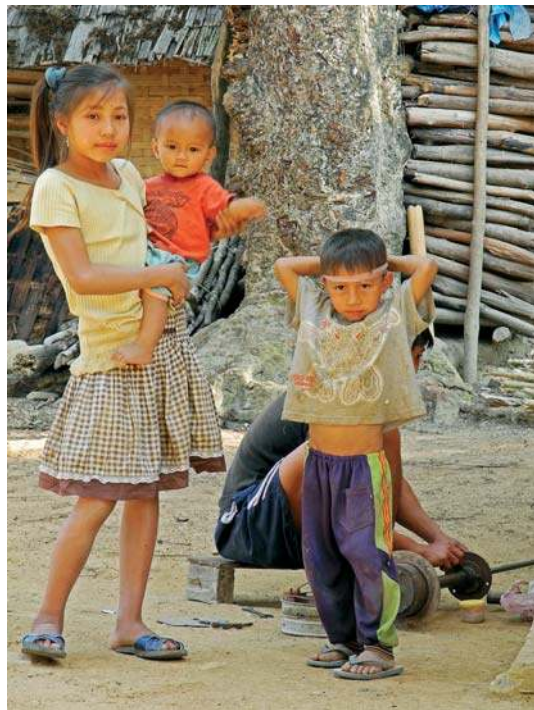
– Nie wiem... Ale... Czy naprawdę nie można się tam dostać drogą lądową?

– No właśnie cały ambaras w tym, że nie można.

Nasz dyskurs przerywa mało sympatyczny głos.

– Wchodźcie czy nie? – obawiam się, że to nasz nowy kapitan. W czapce z daszkiem i wielkim wiosłem oczekuje aż banda nie zdecydowanych turystów ułokuje się na pokładzie jego łajby.

– Nasza koleżanka chciałaby dostać jakiś kapok. Czy będzie możli...



Rozrywka w Muang Noi

– Będzie. Wchodźcie. Nie mamy czasu – przerywa mi zdecydowanie.

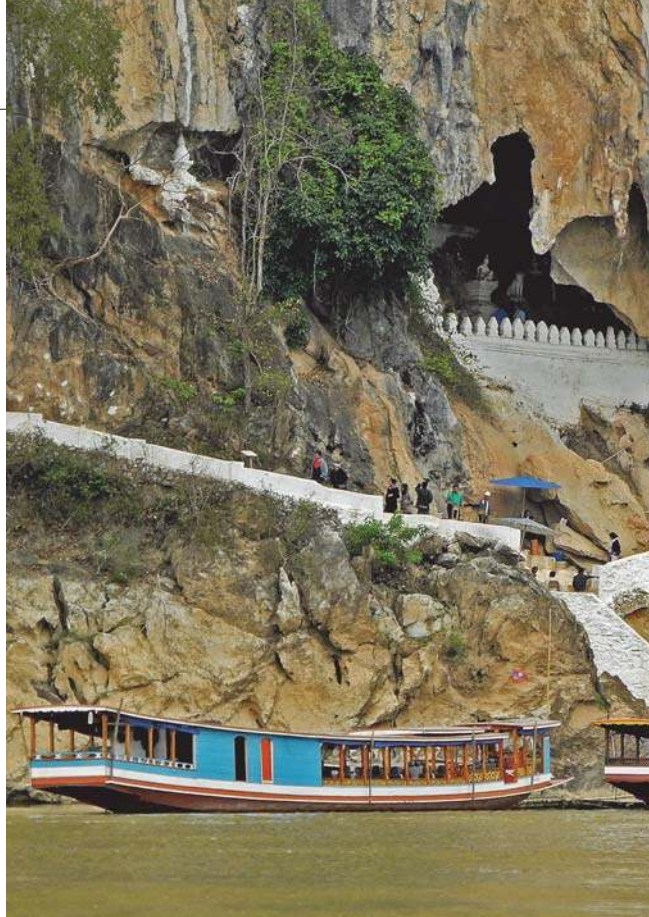
► Stary wyjadacz z papierosem w dłoni

W ten oto sposób łądujemy wszyscy na niepewnej barce, którą jeszcze bardziej niepewny facet ma nas przemieścić w górę rzeki. Przed nami kilkanaście godzin płynięcia w jej górę. Można się zatem umościć. Alé! Próbując oprzeć plecy na niewielkim oparciu, nadziewam się na wystający gwóźdź. O wyciągnięciu nóg także zapomnijmy. Bądź co bądź to środek transportu dla najuboższych mieszkańców Laosu. A nie dla turystów. Ci pływają szybszymi łodziami. Często z obsługą na pokładzie. Decydując się na opcję „ekonomiczną”, postawiliśmy się jednocześnie w pozycji Laotańczyka. A że to naród raczej niskiego wzrostu, to.... To i małe siedzonka. I niewielkie oparcia. I tyle miejsca na nogi, co kot napłakał. Wypływamy.

Łódka ma dobre osiem metrów długości. I tylko ten chybota... Co tu wiele ukrywać – nie jest to najstabilniejszy środek transportu, jakim miałem okazję płynąć. Każda kolejna fala wprowadza kadłub w niebezpieczne kołysanie. Z przodu niewielka kabinka z pękniętą na pół szybą. I skośnooki starzec w czarnej kurtce. Żujący gumę. Jakby zupełnie nieobecny. W naszą stronę zerknął tylko raz. Gdy jego kumpel z imitacji portu rzucił w stronę Asi umówiony kapok. Od tej pory jest już zajęty.

I faktycznie. Ma czym. Im bardziej w górę rzeki, tym rośnie mój szacunek wobec naszego kapitana. Co tam że gbur. Co tam, że ma nas za kompletnych imbecyli. Ale za to jak on tę łajbę prowadzi! Gdy na horyzoncie lustro wody zaczyna się marszczyć, znak, że będzie się działo. I rzeczywiście. Naraz kamień obok kamienia. Głaz za głazem. Woda przedziera się, obmywając wszystkie po kolei. Co rusz tworząc spiętrzenia, bystrza czy nawet niewielkie wodospady. Nasza łódź coraz intensywniej przechyla się to na lewo, to na prawo. Mam coraz większe wątpliwości, czy aby na pewno dopłyniemy do celu bez wywrotki. Zresztą, co tu wiele ukrywać. Na jego miejscu sam już dawno podpłynąłbym do brzegu i kazał ludziom wychodzić. Niech idą ten odcinek na piechotę. Sam zaś przepłynąłbym płyciznę na lekko. A ludzi odebrał po drugiej stronie. To jednak nie nasz kapitan. Jedyne, o co prosi, to o pomoc swego dotychczas drzemającego na rufie współnika.

- Eeeee! – krzyczy, odwracając się w naszą stronę.
- Słucham? – przekrzykuję plusk obijających się o nasze burty kolejnych fal.
- Eeeee!! – powtarza, wskazując palcem na śpiocha odpoczywającego za nami na rufie.
- Chyba chce, abyśmy go obudzili – zauważa Kuba i podchodzi do spokojnie utulonego snem chłopaka.





Kilka szturchnięć i obudzony od razu wie, co robić. Nawet nie pyta. Wstaje, bierze drewniane wiosło, z którym kapitan witał nas na pokładzie, i udaje się na dziób barki. Nadchodzi jego czas. Podczas gdy my, obserwując kolejne bałwany i wiry kręcące się pomiędzy głazami, w które wpływamy, tylko czekamy na wyrok, ta dwójka przed nami dokonuje prawdziwych cudów. Widać, że dokładnie wiedzą, którądy chcą przepłynąć. Podejrzewam, że to jedyna możliwa droga. Pozostaje im zaufać. Nawet wówczas, gdy kapitan płynie dokładnie prosto pomiędzy największe głazy. Tam, gdzie kotłuje się najbardziej. Z tym, że gdy jest tuż przed, nasz wyspany pomocnik momentalnie wkłada kij od lewej strony dziobu, kapitan robi nagły zwrot, a my mijamy gigantyczne spiętrzenie o – ja wiem? – może kilkanaście centymetrów. Znowu się udało. Po kilku tego typu manewrach zaczynam się wreszcie uspokajać. Ci dwaj chyba wiedzą, co robią.

Teraz wiem, że wybór tzw. *low boat* był strzałem w dziesiątkę. Wielu turystów zapędzających się w te rejon przestrzega przed wchodzeniem na ich pokład. Że „niebezpieczne”, że „wolne”, że „z tubylcami” itd. Nic bardziej błędnego! Szybkie łodzie, tzw. *fast boat*, mają ponoć znacznie więcej wywrotek niż te stare, zdezelowane barki. Pewni siebie sternicy co rusz wpływają na schowane pod taflą wody kamienie, nie mając przy tej prędkości wystarczającego czasu na reakcję. I dochodzi do wypadków.

Za to nasz sternik... Prawdziwy szaleniec. Właśnie „łyknął” kolejny niemożliwy do normalnego ominięcia wir. Mało tego, w pękniętym na wpół lusterku dostrzegam, że wreszcie zaczął się uśmiechać. Wszystko jasne. On dopiero teraz zaczyna żyć! Wreszcie czuje się w swoim żywiole. Stary wyjadacz. W lewej dłoni papieros. W prawej koło od steru. Raz na jakiś czas splunie za burtę, uprzednio głośno charcząc i zbierając ślinę w tak charakterystyczny dla Laotańczyków sposób. Jest na tyle głośno, że zupełnie nam to nie przeszkadza.

► Poławiacze

Jest wreszcie czas na podziwianie widoków. Problem w tym, że poki co krajobraz nie powala. Ot, nagie stoki porośnięte pojedynczymi drzewami. Kilka łodzi zacumowanych u piaszczystych skarp. Do tego te słynne wschodnioazjatyckie niebo. Permanentnie pokryte delikatną smugą ledwie widocznej mgiełki. Nuda. Kolejne piaszczyste skarpy z wypaloną przez rolników trawą. Nic szczególnego. Momentalnie pojawia się w głowie pytanie: „Czy było warto?”

W jaskiniach Pak Ou pod Luang Prabang znajduje się ok. 4 tys. posągów Buddy. Tak smakuje Laos

Po godzinie wychodzi słońce. Wreszcie. Wkrótce na horyzoncie dostrzegam jakiś ruch. Coś się zmienia. Pojawiają się tratwy. Drewniane platformki konstrukcją przypominające leśne szalasy. I mnóstwo postaci. Nasza łódź nadal intensywnie walczy z naporem kolejnych fal, a tymczasem kilka metrów od nas, na tym samym gwałtownym odcinku rzeki odbywa się prawdziwy kocioł. Walka z żywiołem. To jakaś dwójka mężczyzn obraca wielkim kołowrotem, na który naciągnięta jest długa, stalowa linka. To znów inni próbują ustabilizować rozkołysaną tratwę. Kobiety pochylone nad wielkimi półmiskami zamoczonymi w rzece. Wszyscy są tak zaangażowani swą pracą i walką z żywiołem, że nie zauważają, jak blisko nich płyniemy.

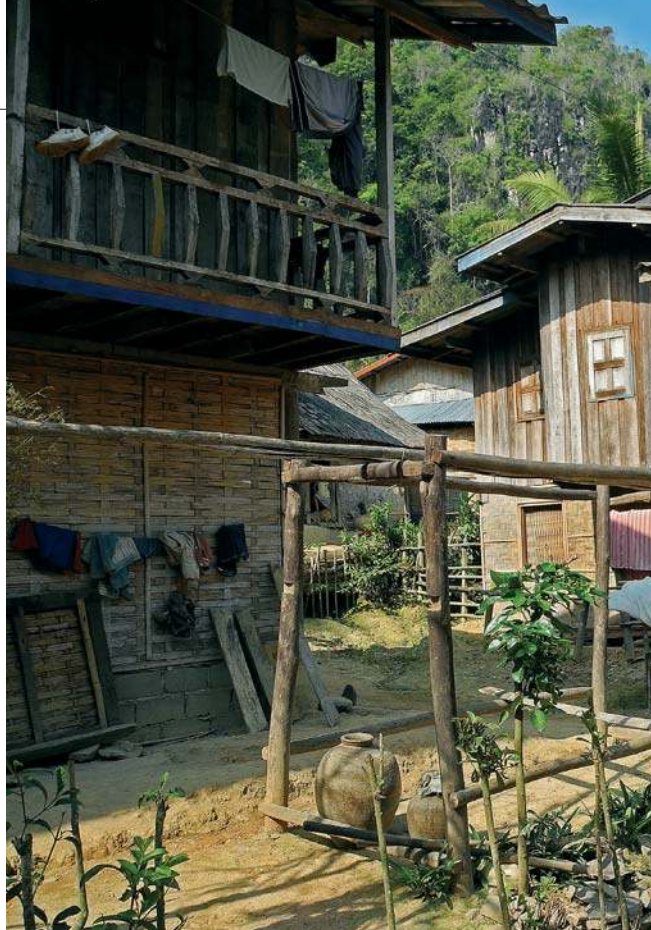
To poławiacze metali szlachetnych. Część stoi po pas w wodzie. Na głazach. Płycznach. Część na wspomnianych platformach. Widok, jaki pojawił się przed nami tak znieenacka, przypomina raczej jakiś gigantyczny bazar na wodzie. Ktoś kogoś pogania. Ktoś krzyczy. Wyścig z czasem. Wola przetrwania. Dopiero po pewnym czasie część macha nam na powitanie. Ciężka praca każdego dnia. Rzeka stanowi dla tych ludzi jedyną, ostatnią nadzieję. W jej brudnych odmętach być może znajdzie się coś cennego. O diamentach mało kto tu marzy. Raczej o kilku gramach metali szlachetnych. A sam widok jak szybko się pojawił, tak szybko znika. Postacie są coraz mniejsze. Rozmyte. Wreszcie znikają za kolejnym meandrem. Nasz kapitan nie próżnuje. Dobrze wie, że ewentualne zwolnienie tempa może być tragiczne w skutkach. I w żadnym razie nie wolno łodzi stawiać w poprzek nurtu. To oznaczałoby koniec. Płyniemy dalej.

► Osiem godzin, dzięki którym pokochałem Laos

Słońce coraz odważniej jawi się ponad otaczającymi nas pagórami. Zaczyna się teatr. Spektakl, w którym jesteśmy nie tylko widzami, lecz także uczestnikami. Wpływamy na jedną z najpiękniejszych scen świata. A zaprasza sam Nam Ou, lewy dopływ Mekongu. Nasz nowy przewodnik po fascynującej scenie północnego Laosu.

Wpierw zaczynają pokazywać się góry. Pionowe ściany. Niczym mogoty znad wietnamskiej zatoki Ha Long. Wapienne skały ustawicznie wymywane przez niespokojne wody Nam Ou. Stepowe skarpy ustępują miejsca pagórom szczelnie pokrytym wiecznie zielonymi lasami równikowymi. Prawdziwa puszcza. I jeszcze jedno... Tło. Niezwykłe pasmo. Plastikowy łańcuch górski domykający tę cudną krainę w szkatułę piękna. Kształtem przypominający nieco skały w amerykańskim parku Yosemite.

Uroku dodaje szklane odbicie tych masywów w tafli wody. Symetria. Spokój. Idealna kompozycja. Wręcz



kicz. Idealny kicz. Kolejne godziny stanowią dopełnienie. Na brzegach pojawiają się cierpliwi rybacy. Z ręcznie tkаныmi sieciami. Stojący stabilnie na wążiuteńkich czółnach zarzucają je na kolejny już połów. Jeszcze dalej kobiety kąpiące dzieci. Półnagie malce wbiegające z piskiem do wody. Osiem godzin raj.

To jest ten czas, w którym wyłącza się wszystko inne. Nieważne stają się twarde i wąskie siedzenia na barce. Nieistotny brak toalety na łajbie. Człowiek zapomina także o ściśniętych mięśniach. Te widoki nadrabiają wszystko. Ci ludzie. Te góry. Te odbicia. Ta dżungla. Osiem godzin to i tak za mało. Mijają jak pstryknięcie palcami.

► Na zawsze

– Dopływamy – widzę, jak mama siedzącej obok mnie dziewczynki wskazuje osadę, której kształty domków stają się coraz wyraźniejsze.

Szkoda. Naprawdę szkoda. „Pluski”. Jeszcze jedna fala dostała się do środka. Jednocześnie miło chłodząc rozpalone od słońca policzki. Tak smakuje Laos. Jesteśmy na miejscu.



Koniec świata, czyli wioseczka Muang Noi. Kilka drewnianych chałupek w cieniu wysokich mogotów

Wystarczy wyjść na brzeg, by szybko przekonać się, że to dopiero początek. Znajdujemy się w wiosce Muang Ngoi. Wszystko tutaj jest takie... zwykłe. Naturalne, codzienne. Ot, choćby ta pani uszczelniająca ujęcie wody, aby z długiego gumowego sznura w jej gospodarstwie znów popłynęła woda. Ubrana w sięgającą łydek bordową spódnicę, białą koszulkę i z przerzuconą przez ramię lnianą torbą. Jest w tym tak naturalna, tak piękna. Nie zwraca na mnie nawet najmniejszej uwagi. Odkręca kurek, sprawdza, czy woda znów leci. A po chwili wraca do swego ogrodu.

Hm... „Ogród” to może faktycznie za dużo powiedziane. Ot, kilka palm, roślinek między stojącymi na wyschniętej glebie glinianymi garnkami. Nad wszystkim drewniane poprzeczne belki imitujące wieszaki na pranie. Zresztą, z drewna robią tutaj niemal wszystko. Domy, strychy, piwnice, kosze na śmieci, stoły, wózki, werandy, przenośne ścianki do osłony pod prysznic (ten, rzecz jasna, zlokalizowany jest na zewnątrz).

Również łodzie. I tu akurat mam szczęście. Przecho-
dząc obok tutejszej stoczni. Właśnie rzeźbią kolejny ka-
dlub. Dwóch mężczyzn z długą na dobre dwa metry piłą
tnie kolejne, przywalone wielkim kamieniem deski. Je-
den siedzi w cieniu. Drugi na słońcu – za to w przepięk-
nym laotańskim kapeluszu na głowie. Widać, że obaj są
już zmęczeni.

Znaleźliśmy się w odległej krainie odgradzonej pa-
smem gór od znajdujących się dalej na północ Chin
i Wietnamu. W enklawie ciszy i spokoju. Wioski nie ma
nawet na wertowanej przeze mnie mapie, na której kar-
toografowie nanieśli naprawdę niewielkie osady i przy-
czółki. Może tak właśnie miało być? Może Muang Ngoi
takie ma pozostać?

Na obrzeżach osady stoją dwie bramki do gry w pił-
kę. Pomiędzy nimi potężny kawał polany z nienatural-
nie ciepłozieloną trawą. Gdzieś tam widać ziemiste
kopczyki po kretach. To szkolne boisko. Niedaleko sły-
chać dziecięcy chichot. W szkole chyba jest teraz prze-
rwa. Na ułożonym z bambusowych drzewek płocie sie-
dzą dwie dziewczynki. Niedaleko trzech urwisów wy-
glupia się pod drzewem. Gdy zaczynam robić im zdjęcie,
stroja głupawe miny.

Wracam do wioski. Obok nowo budowany dom.
Jeszcze nieskończony. Póki co stoi wielki dach, pod-
trzymywany grubymi drewnianymi belami. Robotni-
cy chyba na dziś już skończyli. Skrętnie korzysta z te-
go dwóch gagatków. Grają w tzw. klapka. Zdążyłem
już zauważyć, że wśród tutejszych dzieci to dość po-
pularna zabawa. Staje dwóch takich urwisów pod
jedną ze ścian, zdejmują obuwie i na takiej samej za-
sadzie, jak u nas puszka się kaczki po wodzie, tak
oni płasko rzucają po ziemi swój kłapek. Czyj kłapek
dosunie się najbliżej celu (którym z reguły jest wyty-
powany tabor bądź krzesło), ten wygrywa. A że ma-
my dwa klapki, to można przesuwając tego wyrzuc-
nego za pierwszym razem. Genialna zabawa.

► Upgrade 2016

Rok 2016. Asia z towarzystwem wraca z podróży po
Laosie. Wychodzę im na spotkanie, chcąc znów zarazić
się atmosferą „mojej” krainy. Nie mogę doczekać się ich
opowieści. Wiem, że będą zachwycające. Jednak widząc
Asię z daleka, domyślam się, że nie wszystko poszło jak
trzeba. Dziewczyna niby się uśmiecha. Niby macha na
powitanie. Ale widać w tym wszystkim jakby delikatny
wstyd. Jakby chciała przeprosić, wytłumaczyć się...

– Nie dopłynęliśmy do Muang Ngoi... – wypala od-
razu, gdy jest przy mnie.

– Jak to „nie dopłynęliśmy”?! To niemożliwe! Co się stało?

– Budują tam tamę. Wszystko się pozmieniało.
Nie ma kursów barką. Nie ma już tej krainy. Miałeś
szczęście. ■

Hanna Shen



Chiński mariaż partii i biznesu

W Chinach to nadal partia zapewnia sukces w biznesie. Dzięki dobrym relacjom z komunistycznymi aparaczkami zrodziło się wiele fortun. Bogaci przedsiębiorcy potrafią się odwdziaczyć i z reguły w swoich firmach oferują intratne posady krewnym rządzącym Państwem Środka. Jednak nawet wśród chińskich bogaczy odzywają się głosy niezadowolenia z polityki prowadzonej przez władzę.



Z mediów społecznościowych w Chinach, takich jak Sina Weibo czy WeChat, cenzura bardzo szybko usuwała wszystkie informacje o wycieku nazwanym Panama Papers, a dotyczącym materiałów z kancelarii Mossack Fonseca o ukrywaniu przez bogaczy z całego świata pieniędzy w rajach podatkowych. Komunistyczna partia robiła wszystko, co mogła, aby dane pokazujące, jakie majątki zgromadziła czerwona burżuazja w Chinach, nie trafiły do wiadomości przeciętnego Chińczyka. Na co dzień przecież partia walczy z korupcją.

► Przedsiębiorcza elita rządząca

W materiałach ujawnionych przez Międzynarodowe Konsorcjum Dziennikarzy Śledczych (ICIJ) znalazł się Deng Jiagui, mąż Qi Qiaoqiao, czyli młodszej siostry obecnego prezydenta Chin Xi Jinpinga. W 2009 r. kancelaria Mossack Fonseca pomogła Dengowi założyć dwie zagraniczne spółki offshore w jednym z tzw. rajów podatkowych – Brytyjskich Wyspach Dziewiczych. Według ICIJ gdy Xi został prezydentem w 2013 r., obie spółki Denga były już uśpione.

Majątek Denga i jego żony wzbudza duże kontrowersje w Chinach, bo wiadomo, że zgromadzony został dzięki pozycji Xi Jinpinga.

Materiały ICIJ zawierają też informacje o Jasmine Li, wnuczce Jia Qinglina. Jia był burmistrzem Pekinu, a w latach 1997–2012 zasiadał w Komitecie Centralnym i Politbiurze KPCh. Wnuczka Jia Qinglina jeszcze jako nastolatka w czasie studiów w USA stała się jednym udziałowcem firmy Harvest Sun Trading Limited zarejestrowanej na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych.

Także członkowie rodzin Zhang Gaoli i Liu Yunshana są wymieniani jako dyrektorzy lub udziałowcy firm mieszczących się w rajach podatkowych. Zhang Gaoli od 2013 r. jest wicepremierem i w 2012 r. został wybrany na jednego z siedmiu członków Stałego Komitetu Biura Politycznego KPChL, czyli najważniejszego organu decyzyjnego w Chinach. Zhang Gaoli kieruje też komitetem odpowiedzialnym za projekt „Jedno pasmo, jedna droga”, czyli Nowy Jedwabny Szlak.

Liu Yunshan również jest członkiem Stałego Komitetu Biura Politycznego KPChL. W latach 2002–2012 kierował on Departamentem Propagandy.

Ale to tylko część ujawnionych nazwisk rodzin chińskich polityków próbujących ukryć swoje fortuny. O tym, że lista jest dłuższa, świadczy fakt, że Chiny to najważniejszy rynek dla firmy Mossack

Fonseca. Jej siedziba w Hongkongu jest najbardziej aktywna ze wszystkich innych oddziałów kancelarii działających na świecie. Mossack Fonseca ma również biura w ośmiu innych chińskich miastach. Według Międzynarodowego Konsorcjum Dziennikarzy Śledczych na koniec 2015 r. Mossack Fonseca pobierała opłaty od 16 300 spółek offshore założonych przez Chińczyków. To stanowi prawie 30 proc. wszystkich aktywnych firm reprezentowanych przez kancelarię.

► Partia biznesowi, a biznes partii

Wiele z chińskich fortun zrodziło się z bliskich relacji biznesmenów z aparatem partyjnym. Nie tak dawno w czasie wystąpienia na Uniwersytecie Harvarda Wang Jianlin, najbogatszy człowiek w ChRL, członek partii komunistycznej i parlamentu ChRL (tak jak 82 innych miliarderów w Chinach), przyznał, że jego firma odniosła sukces m.in. dzięki temu, że udziały w niej otrzymali Qi Qiaoqiao i Deng Jiagui, czyli siostra prezydenta Xi Jinpinga i jej mąż.

Inny chiński miliarder Wang Jing, także członek KPChL, mógł założyć swoją firmę Beijing Xinwei, ponieważ kapitał wyłożyło chińskie Ministerstwo Przemysłu i Technologii. Dziś Xinwei dostarcza sprzęt i usługi telekomunikacyjne Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (ALW).

Oficerem ALW jest Ren Zhengfei, czyli założyciel firmy Huawei. Skąd wojskowy miał wystarczający kapitał na uruchomienie tak dużego biznesowego przedsięwzięcia? Zdaniem ekspertów Komunistyczna Partia Chin wpompuwała miliardy dolarów w Huawei, a dziś chińska agencja szpiegowska ma swoją siedzibę w głównym biurze tego giganta telekomunikacji.

Inny znany chiński biznesmen Jack Ma, twórca Alibaby – firmy, która promuje i sprzedaje głównie chińskie produkty on-line – mówi o sobie, że jest self-made miliarderem. Oficjalna wersja jest taka, że to geniusz, który jako jeden z pierwszych w Chinach założył firmę internetową, mimo że sam nie potrafił nawet wysłać e-maila. „Pożyczyłem 2 tys. dolarów, by uruchomić firmę” – tak wspominał swoje początki w ChRL sam Ma, skromny nauczyciel, który bez żadnych koneksji partyjnych, a tylko dzięki wytrwałości i ciężkiej pracy odniósł sukces. Tyle wersja życiorysu rodem z „Baśni tysiąca i jednej nocy”. W 1997 r. Jack Ma, z wykształcenia anglista, rozpoczął pracę w chińskim Ministerstwie Handlu Zagranicznego i tam otrzymał zadanie rozwoju handlu chińskimi produktami on-line. W 1999 r. Ma opuścił ministerstwo i zało-

zył Alibabę. Biznes okazał się sukcesem, na którym skorzystało także wielu krewnych osób rządzących Chinami.

We wrześniu 2012 r. firma Jacka Ma ogłosiła, że za 7,6 mld dolarów odkupi 50 proc. udziałów, jakie Yahoo miał w Alibabie. Spółka zdobyła pieniądze, sprzedając swoje udziały 16 instytucjom, w tym China Investment Corporation (CIC), China Development Bank Capital (CDBC), Citic Capital i Boyu Capital. Według raportu opublikowanego w „The New York Times” w lipcu 2014 r. czołowe pozycje w tych instytucjach zajmowali członkowie rodzin obecnych i byłych przywódców KPChL, w tym wnuk byłego prezydenta ChRL Jiang Zemina. Ten sam raport stwierdzał również, że firma New Horizon Capital, której współzałożycielem jest Wen Yunsong, syn byłego premiera Wen Jiabao, w ostatnich dwóch latach zwiększyła swoje udziały w Alibabie.

► Nie wszyscy płyną z prądem

Ale wśród biznesowej elity, która korzystała na bliskich relacjach z rządzącymi Chinami, pojawiają się czarne owce. Są to przedsiębiorcy, którzy zaczynają coraz bardziej krytykować zwiększającą się za rządów prezydenta Xi Jinpinga kontrolę nad różnymi aspektami życia. Jednym z najbardziej zażartych oponentów chińskiej głowy państwa jest Ren Zhiqiang. Ojciec Rena, tak jak ojciec Xi Jinpinga, był prześladowany w czasie rewolucji kulturalnej, a on sam został wysłany do pracy na wsi. Po służbie w armii Ren rozpoczął pracę w biznesie. W 2010 r. jako prezes grupy deweloperskiej Huayuan był najlepiej zarabiającym szefem firmy w Państwie Środka (dane pochodziły z 258 przedsiębiorstw w Chinach, które ujawniły zarobki swoich szefów). Roczna pensja Rena wyniosła ponad 1 mln dolarów. W 2014 r. biznesmen przeszedł na emeryturę i zajął się prowadzeniem bloga, na którym często ostro komentował politykę KPChL. Pisał m.in. o tym, że system polityczny danego kraju powinien być wybrany przez jego obywateli, i atakował rządzących Chinami za ich walkę z tzw. wartościami zachodnimi¹. Twierdził, że ta obsesja władz na punkcie tzw. wartości Zachodu jest rodem z okresu rewolucji kulturalnej. Wpisy Rena

¹ W 2014 r. dziennikarka Gao Yu ujawniła tajny dokument nr 9 opracowany na wewnętrzne potrzeby KPChL, w którym wymieniono siedem zagrożeń dla rządów komunistów w Chinach, czyli tzw. wartości zachodnie. Są nimi m.in. zachodnia demokracja konstytucyjna, uniwersalne prawa człowieka, społeczeństwo obywatelskie i niezależność mediów.

śledziło ponad 37 mln Chińczyków, a dziennie ukazywało się pod nimi ponad 5 tys. komentarzy.

Na początku tego roku prezydent Xi Jinping odwiedził siedziby ogólnopanstwowej telewizji CCTV oraz czołowej gazety należącej do partii Renmin Ribao i wezwał dziennikarzy tam pracujących do całkowitego posłuszeństwa wobec partii. Na reakcję Ren Zhiqiang nie trzeba było długo czekać. W komentarzu na swoim blogu napisał, że media powinny służyć czytelnikom, a nie partii. Cenzura szybko zablokowała wpis w Internecie, a także liczne wyrazy poparcia, które się pod nim pojawiły. Pod koniec lutego 2016 r. blog Rena został całkowicie usunięty. Jak stwierdziły władze, Ren „rozpowszechniał nielegalne informacje”. Ogłoszono także, że członkostwo w partii emerytowanego przedsiębiorcy zostało zawieszone.

Głos zabrał też sam prezydent Xi. Zwrócił się on do biznesmenów, aby pamiętali, że ich zadaniem nie jest po prostu zarabianie pieniędzy, lecz „miłość do ojczyzny, do obywateli i miłość do partii komunistycznej, a także czynne praktykowanie podstawowych wartości socjalistycznych”. Ostrzegł też, że to właśnie niektórzy przedsiębiorcy „mimowolnie stają się krzewicielami zachodniej, kapitalistycznej ideologii”. Szybko w podobnym tonie zaczęły się wypowiadać czołowe komunistyczne media. Gazety pisały o „wykrzywionym myśleniu” niektórych przedsiębiorców i o ich „braku wiary w marksizm, socjalizm i komunizm”.

Ale Ren zyskał ogromne poparcie i to nie tylko internautów. W obronie biznesmena zaczęli wypowiadać się dziennikarze, ludzie nauki, a nawet niektórzy z prominentnych członków partii. W Internecie krążył list popierający to, co napisał Ren na swoim blogu. Pod nim znalazł się podpis m.in. jednego z pracowników państwowej agencji prasowej.

„Ten zryw poparcia dla Rena pokazał uczucia tłumione od dłuższego już czasu” – powiedział dla „The New York Timesa” Zhang Lifan, biznesmen z Pekinu. „Myślę, że wiele osób czuło, że ma już dość i że w końcu ktoś to powiedział. Gwałtowna reakcja na ataki na Ren Zhiqiangą wykroczyła poza to, czego władze się spodziewały”.

Ren stał się symbolem rosnącej frustracji w różnych kręgach: biznesmenów, dziennikarzy i prawników.

Wszyscy oni odczuwają – jak mówi Mao Yushi, znany chiński ekonomista, laureat Nagrody im. Milтона Friedmana za promocję wolności i wolnego rynku – jak w Chinach zmniejsza się przestrzeń do wyrażania własnych opinii. ■

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w AZJI

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, ale są ważne.



► Tajwan

20 maja odbyło się zaprzysiężenie nowej prezydent Tajwanu Tsai Ing-wen. To historyczna chwila dla mieszkańców wyspy, gdyż po raz pierwszy u sterów władzy staje kobieta. Podczas inauguracji chór złożony z młodych tajwańskich aborygenów zaśpiewał nowej głowie państwa utwór zaczynający się od słów: „Módlmy się, by Bóg dał odwagę i mądrość w kierowaniu naszym krajem”.

Zaraz po uroczystościach Tsai Ing-wen przeszła do działania. W ciągu 24 godzin od zaprzysiężenia odwołała przedstawiciela wyspy w Waszyngtonie, Shen Lyu-shuna, bo nie cieszył się on zaufaniem nowych władz, a w dodatku był krytykowany przez Tajwańczyków w Stanach Zjednoczonych.

Nowa prezydent postawiła też na poprawę relacji z Japonią. W ostatnim miesiącu prezydentury poprzednika Tsai, Ma Ying-jeou, doszło do starcia na linii Tajpej-Tokio. 25 kwietnia tego roku Japonia zatrzymała tajwańską łódź rybacką, która przebywała na wodach w okolicy Okinotori na Oceanie Spokojnym. Tajwan traktuje Okinotori jako atol (wyspa koralowa), a według Japonii to wyspa, która należy do Kraju Kwitnącej Wiśni (podobnie jak wyłączna strefa ekonomiczna szerokości 200 mil morskich wokół niej). Po zatrzymaniu tajwańskiej załogi łodzi rybackiej Tokio zapowiedziało jej uwolnienie po wpłaceniu przez Tajwan kaucji w wysokości około 54 tys. dolarów. Rząd Ma Ying-jeou odmówił i wysłał w sporny teren łodzie patrolowe. Uważa się, że Ma, prowadzący politykę zbliżenia z Chinami, celowo doprowadził do zaostrenia relacji z Japonią tuż przed objęciem prezydentury przez Tsai postulującą silny sojusz z USA i Japonią. Do takiego zbliżenia nie chce dopuścić nie tylko Ma Ying-jeou i jego partia Kuomintang, lecz także Pekin.

Tsai Ing-wen kilka dni po objęciu urzędu rozpoczęła rozmowy z Tokio. W ich wyniku wypracowano mechanizm współpracy i dialogu dotyczący kwestii morskich. Podkreślono, że wszystkie sporne zagadnienia będą rozwiązywane na drodze negocjacji. Szybka reakcja Tsai mająca na celu poprawę relacji z Krajem Kwitnącej Wiśni odebrana została jako sygnał, że poza USA Japonia to ważny sojusznik dla wyspy.

W ciągu pierwszego tygodnia urzędowania rząd Tsai Ing-wen odwołał też zmiany wprowadzone przez poprzednią władzę w programie nauczania historii (reformę poprzedników krytykowano za propagowanie zbyt prochińskiego punktu widzenia).

Tsai zapowiedziała też pracę nad reformą systemu sądowego. Tajwańczycy wśród grup zawodowych obdarzonych najmniejszym zaufaniem wymieniają sędziów. Z zadowoleniem przyjęto decyzję nowej władzy o wycofaniu oskarżenia wobec 126 organizatorów „rewolucji słoneczników” w 2014 r., czyli protestu młodych Tajwańczyków przeciwko ratyfikacji umowy handlowej

z ChRL i coraz większemu uzależnianiu wyspy do komunistycznych Chin. Demonstrujący przez ponad trzy tygodnie okupowali tajwański parlament. Ten zryw nieposłuszeństwa obywatelskiego przyczynił się do pobudzenia świadomości politycznej, zwłaszcza wśród młodego pokolenia na wyspie, wzrostu poczucia tożsamości tajwańskiej, a także do porażki najpierw w wyborach samorządowych, a następnie prezydenckich i parlamentarnych partii Kuomintang, która od lat realizowała politykę zbliżenia z Pekinem.

W połowie czerwca Narodowa Rada Rozwoju przyjęła opracowany przez Tsai czteroletni plan stworzenia w okolicach Tajpej azjatyckiej doliny krzemowej, która ma być centrum innowacyjności dla regionu Azji i Pacyfiku. Już w trakcie kampanii wyborczej w zeszłym roku Tsai zapowiadała, że nowa dolina krzemowa ma skupić się na inwestycjach w takie dziedziny gospodarki, jak obrona narodowa, biotechnologia i medycyna, urządzenia inteligentne i energia odnawialna.

► Filipiny

W połowie czerwca Abu Sayyaf, organizacja terrorystyczna działająca przede wszystkim na południu Filipin, zamordowała Kanadyjczyka, Roberta Halla, porwanego we wrześniu 2015 r. dla okupu. Dwa miesiące wcześniej Abu Sayyaf zabiła innego obywatela Kanady Johna Ridsdela. W rękach terrorystów pozostaje dwóch innych zakładników – Norweg Kjartan Sekkingstad i Marites Flor z Filipin.

Według Rohana Gunaratna, który kieruje centrum badań nad przemocą polityczną i terrorem na Uniwersytecie Technologicznym Nanyang w Singapurze, Aby Sayyaf ma bardzo bliskie kontakty z dżihadystami w Syrii i Iraku, a Państwo Islamskie chce utworzyć na Filipinach dużą bazę operacyjną, a z czasem kalifat w Azji Południowo-Wschodniej.

Gunaratna w wypowiedzi dla tajwańskiego portalu internetowego The News Lens International stwierdził, że na Filipinach jest na razie kilkuset dżihadystów, ale ponieważ mają oni ścisły związek z centralnym dowództwem na Bliskim Wschodzie, to stanowią ogromne zagrożenie, które będzie szybko rosło. „Lider Państwa Islamskiego Abu Bakr al-Bagdadi wyznaczył Isnailona Hapilona na swojego przedstawiciela na Filipinach”. Hapilon to były zastępca przywódcy Abu Sayyaf, a teraz bezpośrednio kieruje IS w tym wyspiarskim państwie. Według Gunaratny jeśli dżihadystom powiedzie się misja stworzenia silnej bazy na Filipinach, będzie to duże zagrożenie dla całej Azji Południowo-Wschodniej.

Andrin Raj, dyrektor wydziału Azji Południowo-Wschodniej w Międzynarodowym Stowarzyszeniu do spraw Kontrterroryzmu i Bezpieczeństwa – Centrum Studiów nad Bezpieczeństwem (główna siedziba organizacji znajduje się w Waszyngtonie), uważa, że w Azji Południo-

wo-Wschodniej mamy już do czynienia z rosnącą popularnością ideologii Państwa Islamskiego i potrzeba bardzo zdecydowanych działań, aby powstrzymać te wpływy w regionie.

Rohana Gunaratna twierdzi, że teraz, już po wyborze Rodrigo Duterte na prezydenta Filipin, Manila powinna podjąć bardziej zaawansowane działania na rzecz wyeliminowania Abu Sayyaf, dżihadystów, a także wielu innych mniejszych grup terrorystycznych działających na Filipinach. „Filipiny zbyt długo tolerowały takie organizacje” – powiedział Gunaratna portalowi The News Lens International. „Wierzę, że teraz nastąpi punkt zwrotny, ponieważ jest nowy prezydent i jest wola polityczna. Istnieje także wola sił zbrojnych do współpracy z nową władzą w celu wyeliminowania tych grup”.

Także eksperci ds. terroryzmu w Malezji i Singapurze coraz częściej podnoszą kwestię zagrożenia ich państw ze strony dżihadystów, którzy nie tylko rekrutują, lecz także

m.in. w „rewolucji parasoli”, czyli proteście mieszkańców Hongkongu trwającym od września do grudnia 2014 r. Demonstrujący domagali się wtedy wolnych wyborów szefa administracji Hongkongu. Pekin początkowo wyraził zgodę, by takie wybory odbyły się w 2017 r., ale potem odwołał tę decyzję i zapowiedział, że wybór jest możliwy, ale tylko spośród niewielkiej liczby kandydatów zaakceptowanych przez wierny Pekinowi komitet nominacyjny.

Ale nie tylko udział Denise Ho w „rewolucji parasoli” rozłościł Pekin. Piosenkarka uważana jest także za osobę popierającą ruchy na rzecz niepodległości Tybetu.

Decyzję Lancôme o wycofaniu się ze sponsorowania koncertu hongkońska piosenkarka nazwała szokującą i dodała, że wie, iż podjęta została w głównej siedzibie firmy we Francji. Artystka zapowiedziała też zorganizowanie koncertu mimo wycofania się sponsora. „Zapraszam każdego, kto ma takie same poglądy; odpowiedźmi na próby ucisku i zastraszania, tu na kawałku ziemi,

ZARAZ PO ZAPRZYSIĘŻENIU NOWA PREZYDENT TAJWANU TSAI ING-WEN PRZESZŁA DO DZIAŁANIA. W CIĄGU 24 GODZIN OD UROCZYSTOŚCI ODWOŁAŁA PRZEDSTAWICIELA WYSPIY W WASZYNGTONIE, SHEN LYU-SHUNA, BO NIE CIESZYŁ SIĘ ON ZAUFANIEM NOWYCH WŁADZ, A W DODATKU BYŁ KRYTYKOWANY PRZEZ TAJWAŃCZYKÓW W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

przygotowują ataki terrorystyczne w Azji Południowo-Wschodniej.

► Hongkong

W Hongkongu odbywa się wielki protest konsumentów skierowany przeciwko francuskiej firmie kosmetycznej L’Oreal, właściciela m.in.: Lancôme, Shu Uemura i Body. Fala niezadowolenia uderzyła, gdy Lancôme w odpowiedzi na krytyczny artykuł, jaki ukazał się w chińskim, komunistycznym dzienniku „Global Times”, zrezygnowało z organizacji koncertu w Hongkongu miejscowej piosenkarki Denise Ho. Gazeta nazwała dziewczynę „trucizną Hongkongu” i żądała, by Lancôme odwołała współpracę z piosenkarką, która – według gazety – jest ośrodniczką niezależności Hongkongu i wolnego Tybetu. Partyjny periodyk zasugerował, że chińscy konsumenci nie mogą wspierać firm współpracujących z artystami szkodzącymi interesom Chin. Francuska firma uległa presji Chin i odwołała koncert, jako oficjalny powód podając „kwestie bezpieczeństwa”.

39-letnia Denise Ho jest gwiazdą kantońskiego popu (Cantopop), ale znana jest także ze swojego poparcia dla ruchów prodemokratycznych w Hongkongu. Brała udział

którą kochamy. Za pomocą muzyki i kultury zademonstrujemy nasze indywidualność i determinację” – napisała do swoich fanów.

Hongkończycy nie tylko pragną wziąć udział w koncercie Denise Ho, lecz także rozpoczęli bojkot produktów francuskiej firmy. Ze względów bezpieczeństwa Lancôme na początku czerwca zamknęła na kilka dni swoje sklepy w Hongkongu. Hongkońscy internauci publikują filmy, na których widać, jak wyrzucają kosmetyki firmy L’Oreal.

Decyzja francuskiego giganta kosmetycznego wywołała także falę oburzenia w samej Francji, gdzie pod petycją krytykującą Lancôme podpisało się w ciągu zaledwie czterech dni ponad 56 tys. osób.

Po całym wydarzeniu Richard Li, syn najbogatszego przedsiębiorcy z Hongkongu, Li Ka-shinga, zapowiedział, że jego firma telekomunikacyjna PCCW rozważa podpisanie kontraktu na stały sponsoring koncertów Denise Ho. Sam Li Ka-shing wycofał większość swoich inwestycji w Chinach i przeniósł je do Wielkiej Brytanii. Hongkoński miliarder nazywany jest Supermanem ze względu na dużą trafność przewidywań gospodarczych. Uważa się więc, że jego wycofanie się z ChRL to zapowiedź poważnych problemów gospodarczych i politycznych tego kraju. ■

Olga Doleśniak-Harczuk



Muezzin w Hagii Sophii

Gdy zaczął zapadać wieczór, ludzie instynktownie udali się do kościoła Mądrości Bożej. Żołnierze trwali na swych posterunkach wzdłuż murów. Reszta, wszystko jedno – grecy czy łacinnicy, tłoczyła się w wielkiej świątyni, zanosząc modły o oswobodzenie. Wspólny strach i niebezpieczeństwo sprawiły większy cud niż wszystkie sobory razem wzięte. Prawosławni biskupi, księża i mnisi, którzy zarzekali się głośno, że noga ich nie postanie w katedrze, póki nie oczyści się jej z rzymskiego skażenia, teraz podeszli do ołtarza, aby połączyć się z katolickimi braćmi we wspólnej liturgii.

Powyższy opis oddaje atmosferę ostatniego nabożeństwa, jakie odbyło się w murach świątyni Hagia Sophia, 28 maja 1453 r. Przynajmniej tak to wydarzenie opisywał brytyjski historyk, bizantynolog Donald MacGillivray Nicol (1923–2003). W tym ostatnim, z pewnością bardzo emocjonalnym na-

bożeństwie wzięli udział zarówno prawosławni, jak i katolicy obrońcy Konstantynopola. Wśród celebransów znalazł się kardynał Izydor (1385–1463), legat papieski, który pół roku wcześniej ogłosił unię Kościoła prawosławnego z rzymskokatolickim. Już za chwilę Izydor dostanie się w ręce otomańskiego najeźdźcy, ale nie zostanie

rozpoznany, więc sprzedają go jak zwykłego niewolnika, a po wielu perypetiach uda mu się nawet wrócić do Rzymu, gdzie w sędziwym wieku dokona żywota. Nazajutrz po ostatnim nabożeństwie w murach Hagii Sophii Imperium Osmańskie zdobywa Konstantynopol, świątynia przechodzi gruntowny remont i otrzymuje cztery minarety. Odtąd jest meczetem, stambulskim meczetem. Turkom pod wodzą sultana Mehmeda II zdobycie ówczesnego centrum wschodniego chrześcijaństwa zajęło siedem tygodni. To zwycięstwo dało początek ich panowaniu nad wschodnim basenem Morza Śródziemnego i pochodowi na „niewierną Europę”, powstrzymanemu dopiero w 1683 r. przez Lwa Lechistanu, Jana III Sobieskiego. Sytuacji Hagii Sophii nic już jednak nie udało zmienić. Świątynia, która przez 916 lat służyła chrześcijanom, stała się meczetem, dumą imperium osmańskiego, symbolem jego panowania nad ziemiami wydartymi „niewiernym” i zapowiedzią kolejnych podbojów. A najsłynniejszy i – nie ma co zaprzeczać – genialny architekt imperium, Sinan, całe życie z pewną zazdrością, ale i podziwem patrzył na kopułę tysiącletniego kościoła Mądrości Bożej i w duchu obiecywał sobie prześcignąć kunszt architektów cesarza Justyniana w swoich projektach meczetów: Şehzade, Süleymaniye i Selimiye. Z czego ten trzeci zdaje się nawet zaspokoili to pragnienie, skoro Sinan nazwał go swoim największym dziełem.

► Coraz dalej od Atatürka

W 1934 r. Mustafa Kemal Atatürk polecił, by świątynię przekształcono w muzeum. Ta decyzja nie wszystkim przypadła do gustu, ale krok po kroku zaczęto budynek przystosowywać do nowych zadań. Od kilku lat muzułmanie nasilają swoje żądania, by Hagia Sophia znowu zaczęła służyć jako meczet. W czerwcu tego roku Ankara zdecydowała się wysłuchać tych żądań. Na razie tylko częściowo, ponieważ zezwolono na recytację Koranu podczas ramadanu, a nie na całkowite przywrócenie budowli funkcji meczetu, którą utraciła ponad osiem dekad temu. Jednak już dziś słychać głosy, że los Hagii Sophii jest już przesądzony. Laickie państwo Atatürka pod rządami AKP coraz mocniej skłania z wyznaczonej przez Kemala drogi. W przypadku Hagii Sophii zaczęło się na dobre 11 kwietnia 2015 r., jak pisze Al-Monitor: „na dzień przed greko-ortodoksyjną Niedzielą Wielkanocną, która zbiegła się z urodzinami proroka Mahometa, po raz

pierwszy od 85 lat wybrzmiała w murach świątyni recytacja Koranu”. Następnie w listopadzie ubiegłego roku zwiedzający muzeum młody Turk odprawił w nim modły, a jego zdjęcie z hasłem „Wolność dla Hagii Sophii” zrobiło furorę w mediach społecznościowych. Ruszyła lawina muzułmańskich roszczeń.

► Krzyż już zdjęto

W parlamencie AKP zaproponowała ustawę przywracającą Hagii Sophii funkcję meczetu, a w maju tego roku tysiące muzułmanów odprawiły przed świątynią modły. Pod petycją o udostępnienie świątyni jako meczetu podpisało się 15 mln ludzi. Al-Monitor podkreśla, że po tym, jak niemiecki parlament podpisał rezolucję w sprawie ludobójstwa Ormian, politycy AKP zażądali, by w ramach rewanżu przekształcić bizantyjską świątynię w meczet i to jak najszybciej. Sprawa nabrała rozpędu. Telewizja turecka poinformowała 1 czerwca, że podczas ramadanu to właśnie z Hagii Sophii będzie nadawany „specjalny show” na okoliczność suhur (ostatni posiłek, jaki wolno spożyć muzułmaninowi przed świtem w okresie ramadanu, spożywany przed wschodem słońca) z czytaniem Koranu. Grecy i część Turków wyrazili swoją dezaprobatę dla tych planów, a jeden z greckich dyplomatów anonimowo powiedział, że Turcja w ciągu ostatnich pięciu lat zaadoptowała na meczety trzy inne kościoły noszące nazwę Hagia Sophia. Departament Stanu USA upomniał Ankarę, by „szanowała tradycję Hagii Sophii” i tylko z Berlina popłynął komunikat, że „Turcy mogą robić u siebie, co uznają za stosowne”. W innych kwestiach, takich jak sprawy mniejszości seksualnych czy dyskryminacja antyrządowych dziennikarzy, Berlin zazwyczaj jako jeden z pierwszych bije na alarm, że rząd Erdoğan’a „łamie prawa, demokrację, dobry obyczaj” etc. W przypadku Hagii Sophii oburzenia jednak nie widać. Powód jest banalny. W samym tylko Hamburgu dwie chrześcijańskie świątynie przemianowano w ostatnich latach na meczety. Luterkańska Kapernaumkirche nie ma już wieżyczki z krzyżem, tylko podświetlony na zielono minaret zakończony złotymi literami składającymi się w słowo „Allah”. Budynek stał pusty latami, ludzie przestali uczęszczać na nabożeństwa, dziś jest pelen. Tyle że jako meczet. Hagia Sophia też nie będzie stała pusta. Muzułmanie wiedzą, do czego służą świątynie. I nie wyzbijają się ich za garść euro. ■

opracował

Stefan Czerniecki



Ostatni krzyk Maduro?

O tym, że w sklepach w Caracas brakuje już cukru, a woda jest stukrotnie droższa od benzyny, już kiedyś było w tej rubryce. Podobnie jak o tym, że w całej Wenezueli coraz częściej brakuje prądu, klientom sklepów racjonowane są niektóre produkty, a na ulicach pojawia się coraz więcej niezadowolonych. Jednak do tej pory w depeszach agencyjnych nie pojawiały się informacje o tym, że w kraju coraz częściej łupem Wenezuelczyków padają bezdomne psy czy gołębie. Ludzie łapią je z głodu.

A taką właśnie informację podał choćby angielskojęzyczny portal townhall.com. Autor tekstu pt. „Dystopia” Matt Vespa pisze m.in.: „Socjalizm nie potrafił zapewnić jedzenia swoim rodakom. Wenezuelczycy zaczęli więc masowe polowania na psy, koty i gołębie. Są głodni”.

► Dwa dni pracy w tygodniu

Dalej w tekście czytamy: „Ceny ropy nadal spadają. A to dla Wenezueli – światowego eksportera tego surowca – oznacza koszmarną dziurę budżetową. W rezultacie powstałego kryzysu podstawowe potrzeby, jak choćby papier toaletowy, zaczęły być racjonowane i obecnie sprzedaje się je na kartki. Podobnie ograniczony został dostęp do telewizji oraz międzymiastowych rozmów telefonicznych. W kolejnych regionach państwa pojawia się problem z niedoborem energii. Rząd, chcąc przeciwdziałać skutkom kryzysu energetycznego, decyduje się ograniczyć czas pracy dla pracowników sektora publicznego do zaledwie dwóch dni w ty-

godniu [przy utrzymaniu tych samych pensji – przyp. tłum.]. [...] Wskutek czego supermarkety są zaopatrywane nieregularnie. Zaczyna brakować żywności. Ludzie są głodni. Aby przeżyć, coraz większa część z nich ucieka się do grabieży. Inni poszukują pożywienia na ulicy. [...] Ramón Muchacho, burmistrz Chacao, jednej z dzielnic stołecznego Caracas, poinformował, że na ulicach miasta widać pełno ludzi zabijających zwierzęta dla zdobycia pożywienia. Swoją komunikat Muchacho wyśtosował za pomocą serwisu Twitter, gdzie opisaną sytuację nazwał »bolesną rzeczywistością«. [...]

Desperacja ludzi, by zdobyć pożywienie, rośnie z dnia na dzień. Również w armii. Niedawno sześciu wenezuelskich żołnierzy zostało aresztowanych za kradzież kozy. Uprawdzili zwierzę, bo w ich bazie wojskowej Fort Manaure nie było już co jeść. Wenezuelska Izba Żywności wydała komunikat, że bardzo wiele firm produkujących żywność ma w swoich magazynach zapasy zaledwie na 15 dni”.

Obraz dramatu pogłębia wciąż panująca w kraju susza. Wszystko przez wyjątkowo intensywny

w tym roku prąd El Niño. To przez niego obecna susza jest największą od 200 lat. Mówił o tym w swoim przemówieniu transmitowanym w telewizji prezydent Nicolás Maduro. Przestrzegł jednocześnie przed tym, co może nadejść po El Niño: „Musimy opracować plan zapobiegający konsekwencjom straszliwych deszczów i przedsięwziąć środki, żeby zgromadzić wodę”. Chodzi o następującą zwykle po El Niño inną pogodową anomalie nazywaną dla odróżnienia La Nini. Wówczas ochładzają się wody Pacyfiku, przez co nad Atlantykiem powstają wielkie huragany. Zwykle dla Wenezuelczyków oznacza to okres intensywnych opadów deszczu. Póki co jednak o powodzi nikt tutaj nie myśli. Obecna susza spowodowała obniżenie poziomu wody na zaporze Guri, pokrywającej dwie trzecie zapotrzebowania kraju na energię.

wego referendum w sprawie odwołania prezydenta Maduro”.

Pod wnioskiem, o którym pisze „Las voces del Mundo”, podpisało się już do tej pory 1,8 mln Wenezuelczyków. Lider opozycjonistów Henrique Capriles podkreśla, że minęło już 10 dni od dnia, w którym złożony został wniosek i władza wykonawcza powinna już dawno rozpocząć procedurę weryfikacji zawartych tam podpisów, aby przejść do kolejnego etapu wdrażania referendum. Już bez tych utrudnień regulamin referendum odwoławczego jest w Wenezueli niezwykle złożony. W innym miejscu artykułu opublikowanego w „Las voces del Mundo” zostały przytoczone wypowiedzi kilku ekspertów. Wśród nich m.in.: „Maduro widzi w obecnie trwającej społecznej mobilizacji ludzi groźbę przeprowadzenia referendum jeszcze w 2016 r. Ufa więc, że poprzez przeprowadzaną przez siebie społecz-

DESPERACJA LUDZI, BY ZDOBYĆ POŻYWIENIE, ROŚNIE Z DNIA NA DZIEŃ. RÓWNIEŻ W ARMII. NIEDAWNO SZEŚCIU WENEZUELSKICH ŻOŁNIERZY ZOSTAŁO ARESZTOWANYCH ZA KRADZIEŻ KOZY. UPROWADZILI ZWIERZĘ, BO W ICH BAZIE WOJSKOWEJ FORT MANAURE NIE BYŁO JUŻ CO JEŚĆ.

► Zdestabilizować, aby odłożyć wyrok

O sprawie kryzysu wenezuelskiego pisze szereg hiszpańskojęzyczny „Las voces del Mundo”: „Prezydent Maduro nakazał przeprowadzenie kolejnych ćwiczeń i manewrów wojskowych, argumentując swą decyzję »zagrożeniem zewnętrznym« i uzasadniając tym samym wprowadzenie w Wenezueli stanu wyjątkowego. Od czasu rozkazu Maduro wenezuelska opozycja jest w pogotowiu. Warto dodać, że działania prezydenta sparaliżowały od 30 kwietnia pracę Polaru, największego producenta żywności i napojów w kraju. Opozycja podejrzewa, że celem tych działań jest demontaż społecznych protestów. »Jeśli blokuje się drogę do demokratycznego wpływu na kraj, to pod znakiem zapytania stają przyszłe jego losy. Wenezuela jest w tej chwili bombą, która może wybuchnąć w każdej chwili« – powiedział lider opozycjonistów Henrique Capriles. Opozycja, która kontroluje wenezuelski parlament, żąda od pewnego czasu przeprowadzenia ogólnonarodo-

wą demobilizację uda mu się przełożyć referendum na 2017 rok» – twierdzi Rosy Sanmiguel, analityk i ekspert do spraw bezpieczeństwa”.

► Na pomoc Watykan

Opozycja nie próżnuje. Nie tak dawno w siedzibie prywatnej rozgłośni wenezuelskiej Union Radio gościł Henrique Capriles. Udzielając wywiadu, zapowiedział m.in. oficjalne wystąpienie z prośbą o mediację w sprawie planowanego referendum do samego sekretarza watykańskiego ds. relacji z państwami Paula Richarda Gallaghera. Nie musiał czekać długo na odpowiedź. Kilka dni później kardynał Pietro Parolin, watykański sekretarz stanu (swoją drogą w latach 2009–2013 był nuncjuszem apostolskim w Wenezueli) oficjalnie potwierdził, że abp Gallagher złoży w Wenezueli wizytę w związku z uroczystością ordynowania nowego biskupa. Opozycja raczej nie przepuści takiej okazji. Już teraz Capriles zaprasza arcybiskupa na społeczną demonstrację, której celem będzie wywarcie presji na Krajową Radę Wyborczą, aby ta przyspieszyła wdrażanie procedury odwoływania prezydenta. ■



Marcin Wolski

Po pierwsze: bezpieczeństwo!

Kiedy mówi się o bezpieczeństwie Polski, to przy całym szacunku dla sojuszów – te zawodziły nas niejednokrotnie – najważniejsza jest własna siła. I nie musi być to od razu siła zbrojna, porównywalna ze środkami potencjalnego agresora. Na arsenał atomowy szanse mamy raczej niewielkie. Dlatego tak ważna jest determinacja. Potencjalny napastnik też musi liczyć się z kosztami. Pokorny słabeusz jest świetnym kandydatem na „klasową ofermę”, ale bitny kurdupel zachęca do zaczepki. Lepiej z nim nie zadzierać.

Umiejętność tworzenia sojuszków, choćby tylko chwilowych, też należy do abecadła demokracji. Wróg naszego wroga jest potencjalnym przyjacielem. Nadto w chwili zagrożenia zadawnione animozje (np. polsko-litewskie czy polsko-ukraińskie) muszą bezwarunkowo zniknąć.

Kolejna ważna sprawa to perspektywa. W historii rzadko zwroty dokonują się nagle, nieoczekiwanie, a zarazem niekoniecznie bywają sumą połowicznych sukcesów. Anglicy w wojnie stuletniej wygrali większość bitew, ale ostatecznie musieli wycofać się z kontynentu. „bóg wojny” Napoleon wygrywał, jak chciał, wszystkie batalie, parę (Borodino, Lipsk) zremisował, a przegrał jedną – pod Waterloo. I wystarczyło, by skończył na Świętej Helenie.

Bardzo często o powodzeniu w polityce decyduje również prestiż państwa. Panuje opinia, że rozbiory Polski o cały wiek opóźniło zwycięstwo Sobieskiego pod Wiedniem, podobnie determinacja Powstania Warszawskiego sprawiła, że Stalin nie zdecydował się zrobić z Polski sowieckiej republiki. W dodatku im wyższy prestiż i poczucie narodowej dumy, tym słabsze bywają efekty militarnego sukcesu. Starożytny Rzym podbił wprawdzie Grecję, ale uległ jej kulturze. W trakcie zaborów mogliśmy się obawiać germanizacji, a rusyfikacji mniej. Trudno masowo utożsamiać się z nacją, którą się gardzi.

Niestety, w kwestii autopropagandy jesteśmy marni – to nie te czasy, kiedy konie z naszego poselstwa gubiły złote podkowy. Wyśmiewani chętnie przez Polaków Czesi potrafili sprzedać jednorazowy akt oporu (zamach na Heydricha) stokroć lepiej niż my nasze największe w historii powszechnej Państwo Podziemne. Nie wykorzystaliśmy sukcesu „Solidarności”, efekt polskiego papieża też przemija.

Dobra polityka nawet słabość może przekuć w siłę. Od dość dawna doświadczamy wielkiego upustu krwi w postaci kolejnych fal emigracji. Co gorsza, wyjeżdżają młodzi, najbardziej rzutcy i przedsiębiorczy. Ciągłe też nie widać udanych prób wykorzystania naszej gigantycznej emigracji. Czy jednak trzeba patrzeć na to wyłącznie jak na narodową tragedię? Oczywiście można ubolewać, że tylu ludzi opuściło kraj, ale jeśli już to zrobili, błędem byłoby ich nie wykorzystać.

Potencjalnie dysponujemy gigantycznym lobby w postaci polskiej diaspory. Emigracji dawnej i tej całkiem świeżej. W sumie jest to kilkanaście milionów ludzi mogących wpływać na politykę w kraju osiedlenia. Gdyby tylko byli solidarni i konsekwentni, którzy z kandydatów na prezydenta USA, zabiegający dziś o głosy Kubańczyków czy emigrantów z Azji, pozwoliliby sobie na narażenie się Polakom?

Śmiało kłapać coś o „polskich obozach koncentracyjnych”? Ale gdzie trzech Polaków, tam pięć skłóconych stronnictw. Nie udało nam się nigdy zdobyć choćby stanowiska burmistrza w „polskim” Chicago.

A przecież wystarczy spojrzeć (z podziwem) na lobby żydowskie, pod którego dyktando rozgrywana jest cała bliskowschodnia polityka USA i to bez względu na cenę ropy naftowej. I westchnąć nad beztrością Polaków. Naprawdę potrzeba wielkiego zaniechania, żeby najważniejsze strategicznie pole na europejskiej szachownicy znajdowało się na dalekim miejscu amerykańskich priorytetów.

Rzecz w tym, że jeśli my o to nie zadamy, nikt za nas tego nie zrobi. Świat nie składa się z dobrych wujków, tylko jest dżunglą pełną drapieżników, bezwzględnie walczących o swoje interesy. „Solidarność” była czymś wielkim, ale wiara, że będziemy za nią chwaleni i nagradzani (wszystkie nagrody zgarnął już Wałęsa) bez autopromocji, jest czystą naiwnością. W sprawach obronności i polityki zagranicznej kraj i Polonia muszą mówić jednym głosem, kto tego nie akceptuje, jest durniem albo zdrajcą. Lub jednym i drugim!

Być może nie napisalibyśmy powyższego felietonu jeszcze kilka lat temu, kiedy byłoby to rzucanie grochem o ścianę. Dziś pojawiła się szansa – i na lepszą pozycję sojuszniczą, i na stanowczą politykę promocji Polski i jej dobrego imienia.

Nie zmarnujmy tych możliwości! ■



Tomasz Sakiewicz

Dlaczego sypie się niemiecka Europa

Czeka nas fala wstrząsów politycznych i ekonomicznych, które wymuszą zasadnicze reformy Unii albo doprowadzą do jej rozpadu.

Kolejne społeczeństwa Unii Europejskiej odpuszczają do głosu polityków, którzy są coraz bardziej eurosceptyczni. Polski PiS jawi się przy nich jako umiarkowana partia chętna do współpracy z UE. Siła buntu jest tak ogromna, że za kilka lat z obecnej struktury prawdopodobnie niewiele zostanie.

► Skąd ten bunt

Elity unijne były absolutnie przekonane o zadowoleniu mieszkańców UE z istniejącego stanu rzeczy. Stabilny poziom życia, wolność przemieszczania się i pracy dawały poczucie, że obywatele Unii powinni być najszczęśliwsi ludźmi na świecie. Tymczasem w milionach mieszkańców krajów Europy narastało przekonanie wyobcowania i braku łączności z decydentami w Brukseli, Berlinie i Paryżu. Unia zbudowała gigantyczne struktury marnotrawiące pieniądze podatników. Znaczna część tych funduszy trafiała wprost do kieszeni urzędników i polityków unijnych organizacji. Tymczasem poziom życia mieszkańców UE wcale szybko nie rósł. Zadowolenie więc ze wspólnej struktury było coraz bardziej jednostronne. Decydenci zamiast to zauważać, coraz mocniej spiskowali przeciwko ruchom domagającym się reform, próbując metodami propagandowymi i politycznymi zamknąć sceptykom usta. Udawało się to przez jakiś czas, szczególnie w biedniejszych krajach UE, uzależnionych od unijnych pieniędzy. „Płatnicy netto”, czyli ci, którzy dokładali do unijnej kasy, nie mieli powodu, by ulegać szantażowi.

► Europejczycy mają narodowe tożsamości

Drugim powodem silnego buntu był lewicowo-liberalny projekt likwidowania narodowych tożsamości. Anglik, Polak czy Włoch miał się wyrzec swoich korzeni na rzecz nowej tożsamości europejskiej. Walkę o narodowe uczucia czy nawet narodowe interesy uznawano za starcie z Unią, a organizacje głoszące takie idee marginalizowano. Co ciekawe, działało się to jednocześnie wraz ze wzrostem aktywności Berlina w sprawie ochrony wła-

snych interesów. Widać było, że panuje tu pełna hipokryzja. Nie bez racji był zarzut, że Berlin wspiera projekt europejskiego państwa, by tym państwem samodzielnie zarządzać.

Europejskość nie okazała się aż tak atrakcyjna, jak bycie członkiem własnego narodu. Organizacje patriotyczne zaczęły przeżywać rozkwit, a parady unijne stały się anachronicznym świętem wąskiej grupy elit. Jedynym narodem, który dzisiaj z dumą nosi flagę UE, są Ukraińcy. Dla nich to symbol walki o wolność własnego narodu od rosyjskiej okupacji. Problem w tym, że walka Ukrainy o przynależność do UE jest też formą boju o ich narodową suwerenność. Drugi problem to to, że nikt do Unii ich wpuścić na razie nie zamierza. Narzucanie unijnej symboliki w państwowych urzędach nie tylko nie przyspieszyło integracji, lecz także bunt jeszcze wzmoгло. Gdyby politycy unijni mieli odrobić olej w głowie, zakazaliby masowego używania swojego logo, licząc, że wtedy przekorni Europejczycy sami go zaczną eksponować.

► Wielkie samobójstwo

Spółeczeństwa są w stanie znieść pewne ograniczenia w swobodzie decydowania, ale pod warunkiem, że autorytarna władza korzysta ze swoich nadzwyczajnych prerogatyw w ich interesie. Tymczasem elity unijne podjęły decyzję o wpuszczeniu milionów migrantów do UE bez liczenia się z dobrem mieszkańców. Można było uzasadniać tę decyzję najbardziej humanitarnymi przesłankami, ale nikt mieszkańców Europy nie zapytał, czy chcą być aż tak humanitarni. Gdyby spytał, może ktokolwiek by się zgodził. Chaos i zagrożenie terrorystyczne tylko przyspieszyły bunt. Unia musiała się zacząć rozpadać. Niemcy wypijają teraz piwo swojej autorytarnej polityki. Niewiele wskazuje na to, żeby wyciągnęli z tego wnioski. Jak na razie, zamiast dogadywać się z Warszawą, chcą obalać umiarkowany pod względem poglądów na UE rząd. Za chwilę kłopot mogą mieć jeszcze większy. Tym bardziej że partner polityczny Angeli Merkel – Władimir Putin – gra wprost na rozwalenie UE. ■

zależna niezależna niezależna niezale
należna niezależna niezależna

niezależna

niezależna niezależna niezależna n
zależna niezależna niezależna niezale

niezależna niezależna n
zależna niezależna niezale
niezależna niezależna n

zależna niezależna niezależna niezale

niezależna niezależna niezależna n
zależna niezależna niezależna niezale

